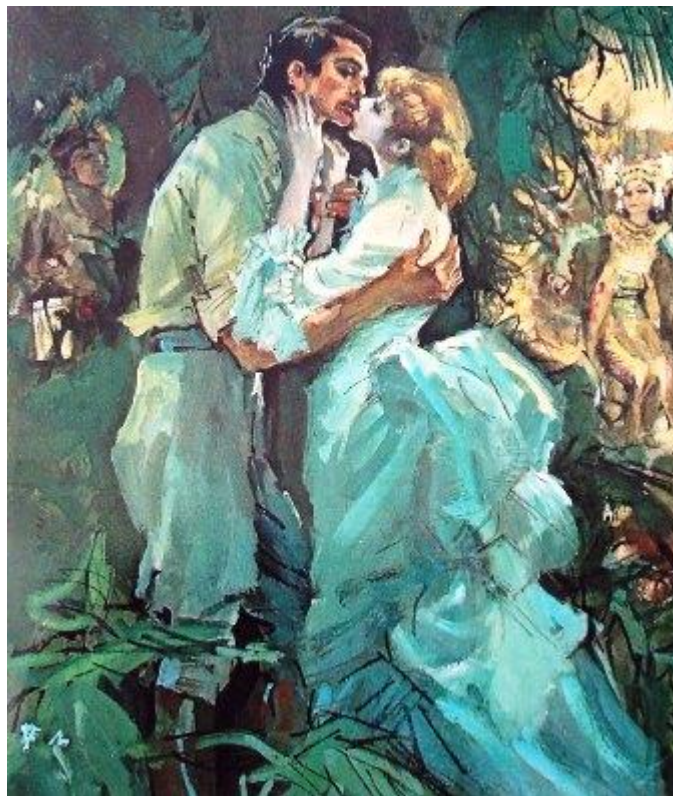


# Barbara Cartland

## Spotkamy się w San Francisco

Love Comes West



## Od Autorki

Kiedy w roku 1983 odwiedziłam San Francisco po raz pierwszy, byłam zaskoczona i zaintrygowana niezwykłością tego miasta. Zachwycało mnie wszystko: ulice wiodące w dół i w górę stromych zboczy, wspaniałe restauracje, port i dzielnica chińska. Czy w dzisiejszych czasach można gdzieś jeszcze jeść ostrygi, oglądając przez okna położonej na molo restauracji zatokę, w której zgromadzono przeróżne okazy fauny morskiej? Czy gdzie indziej na świecie istnieje wspaniała francuska restauracja urządzona jak staromodny burdelik?

San Francisco jest tak niecodziennym i fascynującym miastem, że zamiast próbować je opisać, zacytuję po prostu słowa pewnego poety:

Słońce zachodzi i wschodzi  
Na końcu każdej ulicy  
Popatrz tam, jeśli chcesz  
Zobaczyć maszty lub gwiazdy

## ROZDZIAŁ 1

1885

Hrabia Wentworth umierał. W namiocie było nieznośnie duszno, chociaż wykonany był z tej samej ciemnej tkaniny co te, które należały do beduinów, a zasłona przykrywająca wejście została uniesiona do góry. Liście rosnących w oazie palm trwały w zupełnym bezruchu, nie poruszane nawet najmniejszym tchnieniem wiatru.

Roberta nalała do miski odrobinę wody ze skórzanego bukłaka i zanurzywszy w niej czystą szmatkę przetarła zroszone potem czoło ojca. Woda była równie ciepła, jak powietrze w namiocie.

Dziewczyna spoglądała na ojca z troską. Od dłuższego już czasu trudno jej było określić, czy jest on nieprzytomny, czy pogrążony w głębokim śnie. Teraz jednak otworzył oczy.

- Czy chcesz pić, ojcze? - spytała Roberta.

Przez chwilę wydawało się, że chory nie zrozumiał jej słów. Potem jednak z widocznym wysiłkiem skinął głową.

Roberta wydobyła z naczynia z przygotowaną zawczasu wodą szklanekę rozcieńczonej brandy i podniosła ją do ust ojca, delikatnie podtrzymując mu głowę.

Patrząc na bladą z wycieńczenia twarz, dziewczyna pomyślała mimo woli, że nawet ciężka choroba i cierpienie nie zdołały ująć urody tym regularnym, doskonałym rysom. Hrabia Wentworth pozostał nadal niezmiernie przystojnym mężczyzną, za którym szalały kobiety wszędzie, gdzie tylko się pojawił.

Ojciec wypił kilka łyków płynu i na moment oczy umierającego załśniły żywiej. Podczas gdy Roberta układała powoli jego głowę z powrotem na poduszce, szepnęła:

- Bardzo mi przykro, moja droga...

- Nie denerwuj się, ojcze! Przecież nie poradziłbyś sobie sam w takim stanie!

- Wiesz dobrze, że... umieram - odparł jeszcze ciszej chory. - Szkoda tylko, że właśnie tutaj...

- Nie mów tak, ojcze! - zaprotestowała dziewczyna. - Wiesz przecież, że nie wolno ci mnie opuszczać. Co ja bym zrobiła bez ciebie?

Przymknąwszy na chwilę oczy, hrabia zaczerpnął głęboko powietrza, jak gdyby chciał zebrać wszystkie siły.

- Posłuchaj mnie uważnie - tchnął ledwo dosłyszalnym szeptem. - Mamy bardzo mało czasu. Kiedy umrę, każ mnie pochować tutaj, w piasku.

Roberta już otwierała usta, aby sprzeciwić się mówieniu o śmierci, kiedy nagle zrozumiała, że wysiłek, który podjął chory, aby wypowiedzieć tyle słów naraz, wart jest tego, aby zachować teraz milczenie.

- Hasam... dowiezie cię bezpiecznie do Algieru - mówił dalej hrabia przerywając co chwila dla nabrania oddechu. - Powiedz poganiaczom, że nie zapłacisz im, dopóki... nie dojedziecie na miejsce... To ci pozwoli uniknąć kłopotów.

- Zrobię tak, jak każesz - mruknęła Roberta.

Zapadła chwila ciszy. Chory leżał nieruchomo z zamkniętymi oczyma. W momencie, gdy dziewczyna myślała już, że znów stracił przytomność, odezwał się nagle:

- Myślałem dużo o tym... że nie byłoby dobrze dla ciebie... gdybyś wróciła do domu.

- Wiem o tym, ojcze - odparła ze smutkiem Roberta. - I właśnie dlatego nie możesz teraz umrzeć i zostawić mnie samej. Potrafisz sobie przecież wyobrazić, jak przyjęłaby mnie cała rodzina, gdybym zdecydowała się na powrót!

Hrabia skinął ledwie dostrzegalnie głową i dodał po chwili:

- Jedź do... ciotki Margaret. To najlepsza spośród moich sióstr. Myślę, że u niej... będziesz szczęśliwa.

Roberta milczała, zaskoczona do ostatnich granic.

- Musisz pamiętać o tym... że Margaret była mi najbliższa spośród całej rodziny - ciągnął dalej ojciec. - Ona... uciekła kiedyś z amerykańskim kaznodzieją...

- Tak, przypominam sobie tę historię! - wykrzyknęła Roberta.

- On... nazywa się Dulaine. W moich... papierach, które złożyłem w banku algierskim jest... list od Margaret. Dostałem go... chyba dwa lata temu.

- Ameryka jest bardzo daleko stąd, ojczy - szepnęła Roberta.

- Wiem - przyznał hrabia. - Daję ci więc możliwość wyboru. Albo... wrócisz do Anglii i... przez całe życie będziesz pokutować za moje winy, albo... zaczniesz całkiem nowe życie u boku... ciotki Margaret. - Jego bezkrwiste wargi skrzywiły się w ironicznym uśmiechu, gdy mówił: - Nie zawahałbym się będąc na twoim miejscu...

Czując, jak coś nieznośnie dławi ją w gardle, Roberta zmusiła się, aby powiedzieć:

- To byłaby istotnie wspaniała przygoda, ojczy, gdybyś pojechał razem ze mną!

- Żałuję, że... nie mogę tego uczynić - odparł chory. - Zawsze chciałem zobaczyć Amerykę.

Zamilkł nagle przymykając oczy i Roberta zrozumiała, ile trudu kosztowało go powiedzenie tego wszystkiego, co pragnął jej przekazać. Ponownie spróbowała napić go brandy z wodą, lecz chociaż zdołał wypić dwa małe łyki, widać było, że znów zaczyna tracić przytomność. Klękawszy przy łóżku na ułożonych wprost na piasku matach, które stanowiły podłogę namiotu, Roberta zastanawiała się gorączkowo, co powinna teraz uczynić. Wiedziała już, że ojciec nie myli się mówiąc, że umiera. Ta sama choroba zabiła miesiąc wcześniej jego kochankę, której ciało spoczywało teraz w bezimiennym grobie na skraju pewnej małej arabskiej wioski.

- O Boże, dlaczego nie dlaczego nie chcesz zabrać mnie do siebie razem z nimi? - pytała Roberta unosząc twarz ku niebu.

Oprócz Francine zmarło na tę samą chorobę jeszcze dwóch należących do karawany poganaczy wielbłądów. U wszystkich miała taki sam przebieg: najpierw przychodziła gwałtowna, bardzo wysoka gorączka, po której chory szybko opadał z sił, z godziny na godzinę stawał się coraz bledszy i bardziej wycieńczony, co prowadziło do nieuchronnej śmierci. Wspominając wszystkie miesiące niezwykle ciekawej i ekscytującej podróży po terenach północnej Afryki, Roberta uznała, że i tak przez bardzo długi czas udało się im uniknąć grożących zewsząd chorób...

Kiedy pewnego dnia odważyła się na ucieczkę z ponurego, nieprzyjaznego domu w Essex, dziewczyna nie przypuszczała, że jej życie odmieni się aż tak bardzo. Odziedziczywszy po swoim ojcu niezależną, pełną fantazji naturę i umiłowanie wolności nie mogła znieść atmosfery panującej w posiadłości swojej babki. Wszyscy członkowie rodziny bez przerwy dawali jej do zrozumienia, że hrabia Wentworth jest „czarną owcą” rodu. Zachowywali się przy tym zupełnie tak, jakby za wszelką cenę pragnęli przerzucić na nią ciężar odpowiedzialności za postępowanie ojca. Nie mogąc przywyknąć do ciągłych krytycznych uwag, Roberta zaczynała powoli rozumieć, dlaczego hrabia po śmierci jej matki wolał wyjechać z Anglii. Pewnego dnia opuścił dom w Worth Park, aby już nigdy do niego nie powrócić. Fakt, że razem z nim zniknęła żona lorda Bingham, namiestnika królewskiego w hrabstwie, spowodował, że w oczach całej rodziny jego ucieczka nabrała znamion występku, którego się nie wybacza.

Babka Roberty, hrabina - wdowa Worth przybyła natychmiast wraz ze swą niezameżną najmłodszą córką, lady

Emily, aby zabrać dziewczynkę do swej posiadłości w Essex. Roberta, która dwa lata wcześniej utraciła matkę, była zrozpaczona, kiedy zmuszono ją do opuszczenia rodzinnego domu, ukochanych koni i wiernych służących, dbających o nią aż do przesady. Co więcej, babka natychmiast zwolniła ulubioną guwernantkę dziewczynki twierdząc, że ubiera się zbyt frywolnie. Od tej pory lekcji udzielała Robercie lady Emily. Kiedy zaś pytania uczennicy stawały się zbyt dociekliwe, a jej żądza wiedzy nadmiernie natarczywa, wezwano z sąsiedniej wioski starego emerytowanego nauczyciela.

Roberta uznała wkrótce, że zarówno lekcje, jak i życie, które przyszło jej wieść w nowym miejscu, są przeraźliwie nudne. Trudno było wytrzymać w tym domu, gdzie jedyną więzią łączącą ze sobą obie starzejące się, zgorzkniałe kobiety wydawała się nienawiść do jej ojca. Każdego dnia dziewczynka musiała wysłuchać przynajmniej jednej tyrady skierowanej przeciwko jego nieodpowiedzialnemu zachowaniu. Kiedy zaś z typową dla swego wieku skłonnością próbowała stroić się, zmieniać fryzury lub chociażby tylko okazywać radość życia, prowokowało to pełne dezaprobaty uwagi, kończące się zawsze przypomnieniem „tego biednego, nierozważnego Duncana”.

Gdyby Roberta, przenosząc się do domu babki, była nieco młodsza, być może ziarno niechęci i potępienia padłoby na bardziej podatny grunt. Mogłoby się zdarzyć, że poddawana stałej presji ze strony starej hrabiny i jej córki, uwierzyłaby w końcu, że postępowanie jej ojca było grzeszne i godne pogardy. Jednak w wieku czternastu lat dziewczynka miała już własne zdanie na wiele tematów, a ponadto odziedziczyła po swych rodzicach dumną, niezależną naturę i umiłowanie prawdy. Zbyt żywo tkwiło w jej pamięci wspomnienie młodszej, niezwykle atrakcyjnej postaci ojca i wspaniałej

atmosfery, którą wnosił niegdyś do rodzinnego domu. Kiedy żyła jeszcze matka Roberty, co tydzień zjeżdżali do Worth Park krewni i przyjaciele, aby beztrąsko spędzać czas na polowaniach, wycieczkach łodzią po jeziorze i piknikach. Wtedy cały dom od piwnic aż po dach rozbrzmiewał gwarem wesołych głosów i śmiechów.

Rodzice Roberty byli jednym z najszcześniejszych i najlepiej dobranych małżeństw, jakie mogą zdarzyć się na świecie. I tylko dziewczynka wiedziała, jak wielkim ciosem była dla lorda Duncana nagła śmierć żony. Po jej stracie zaczęły się jego częstsze niż do tej pory wyprawy do Londynu, z których wracał niezwykle podekscytowany, opowiadając córce o wspaniałych przedstawieniach, które widział, i o wystawnych przyjęciach, w jakich brał udział. Słuchając jego relacji Roberta miała wrażenie, że ojciec nie obraca się w kręgach tych samych ludzi, którzy za życia matki tak chętnie odwiedzali Worth Park. Wydawało się, że szukając za wszelką cenę rozrywki, lord Duncan pragnie zapomnieć o swoim bólu i samotności. W jego opowiadaniach przewijały się najczęściej postaci dziewcząt z kabaretów i artystów teatrów rewiowych, wspomnienia wesołych nocy spędzanych w restauracjach, do których Roberta nie odważyłaby się nawet wstąpić na obiad... I nagle wszystko urwało się jak zły sen. Ojciec znów powrócił do cichego spokojnego życia w wiejskiej posiadłości. Jedyne jego rozrywką były teraz konne przejażdżki, w których towarzyszyła mu najczęściej lady Bingham, druga żona namiestnika królewskiego w tutejszym hrabstwie, śliczna jak obrazek i o wiele młodsza od swego męża. Roberta podziwiała ją skrycie całym sercem, pragnąc naśladować we wszystkim.

Czasami ojciec zabierał dziewczynkę na te spacerunki, po których wszyscy troje jedli lunch na świeżym powietrzu, w tak zwanej „greckiej świątyni” położonej w głębi ogrodu.



Robercie wydawało się wtedy, że powróciły dawne dobre czasy. Ojciec odzyskał dobry humor, a lady Bingham patrzyła na niego swymi ślicznymi dużymi oczyma, w których można było wyczytać coś więcej niż tylko przyjaźń.

I nagle, pewnego dnia, hrabia Wentworth zniknął bez śladu. Kiedy poprzedniego wieczoru przyszedł do pokoju córki, aby jak zwykle życzyć jej dobrej nocy, niespodziewanie pochwycił ją w ramiona, tuląc do siebie w długim, serdecznym uścisku.

- Jesteś już dużą dziewczynką, kochanie - powiedział z powagą. - Z radością obserwuję, jak z dnia na dzień rozkwita twoja uroda. Za kilka lat będziesz nie tylko najpiękniejszą panną, ale także jedną z najlepszych partii w kraju. Muszę zapewnić ci towarzystwo kogoś, kto wprowadzi cię w świat, gdy przyjdzie na to pora. Tylko w ten sposób będziesz mogła spotkać mężczyznę godnego zostać twoim mężem!

Słyszając te słowa, Roberta roześmiała się beztrudno.

- Mam jeszcze dużo czasu, tato, aby stać się dorosłą! - powiedziała. - Na razie o wiele bardziej wolę rozmawiać, tańczyć i przebywać z tobą niż z jakimkolwiek innym mężczyzną!

Ramiona lorda Duncana zacisnęły się na moment jeszcze mocniej, podczas gdy mówił:

- Dziękuję ci, moja kochana córeczko. To najpiękniejszy komplement, jaki zdarzyło mi się usłyszeć. Żałuję tylko, że swoim postępowaniem, nie zasłużyłem na takie przywiązanie z twojej strony!

Roberta niezbyt dobrze pojęła, co miały oznaczać ostatnie słowa ojca. Nie chciała jednak dopytywać się, co miał na myśli, gdyż czuła się już nieco śpiąca. Tego dnia pojechali konno razem z lady Bingham na długą, wspaniałą wycieczkę aż do granic hrabstwa. Ojciec żartował przez cały czas twierdząc, że od czasu do czasu musi dokonać inspekcji

swoich włości. Lunch zjedli w przydrożnej gospodzie, uznawszy, że zarówno podany tam chleb z serem, jak i jabłecznik są wyśmienite. Do domu wrócili późnym popołudniem.

Roberta zdziwiła się nieco widząc, jak długo tym razem pozostał ojciec w stajni, chodząc od jednego konia do drugiego tak, jakby nie mógł się z nimi rozstać tego dnia. Dopiero później zrozumiała, że hrabia Wentworth żegnał się w ten sposób z ukochanymi wierzchowcami, nie mając żadnej nadziei na to, że zobaczy je jeszcze kiedykolwiek w życiu. Potem zjedli tylko we dwoje kolację, którą podano im w jadalni. Roberta włożyła swoją najpiękniejszą suknię i czuła się taka szczęśliwa, jak gdyby na całym świecie znikły nagle wszystkie smutki i niepokoje. Przez cały czas posiłku ojciec odnosił się do niej jak do całkiem dorosłej panny i nawet nalał jej niewielki kieliszek szampana. Kiedy zaś po ucałowaniu córki na dobranoc opuszczał jej pokój, zatrzymał się jeszcze na chwilę, mówiąc:

- Uważaj na siebie, mój skarbie, i zawsze pamiętaj, że cię kocham!

- Ja też cię kocham, tato! - odpowiedziała sennie Roberta.  
- Jesteś najwspanialszym ojcem na świecie!

Wydało się jej, że wychodząc lord Duncan westchnął ciężko. W chwilę później już spała.

Rano znalazła zaadresowany do siebie krótki list, pisany jego ręką. Ojciec oznajmiał w nim, że wyjeżdża do Francji oraz że poprosił swoją matkę, aby zamknęła Worth Park i zabrała Robertę do swego domu w Essex. Przez chwilę dziewczynka nie wierzyła własnym oczom, gdyż zrozumiała, iż ojciec ją opuścił. Kiedy zaś okazało się, że wraz z nim zniknęła lady Bingham, Roberta pojęła, że nie mógł postąpić inaczej. Skandal wywołany przez ich wspólny wyjazd spowodował, że droga powrotna zamknęła się przed hrabią

Wentworthem na długie, długie lata. Co więcej, lord namiestnik odmówił udzielenia żonie rozvodu, co oznaczało, że nawet gdyby uciekinierzy zdecydowali się kiedykolwiek powrócić, nikt z ich sfery nie odważyłby się nigdy do nich nawet odezwać. Mówiąc o tym, hrabina dodawała zawsze:

- Na dworze królewskim nie wolno nawet wymawiać ich imion!

- Jak ojciec mógł zachować się w ten sposób? - pytała Roberta siebie samą wielokrotnie, podczas gdy do jej uszu dobiegały pełne oburzenia zdania:

„Mężczyzna o jego pozycji powinien wiedzieć, co mu przystoi czynić!”

„Zhańbił dobre imię całej naszej rodziny!”

„Powinien się wstydzić!”

Nawet gdy Roberta była sama, wydawało jej się, że wciąż słyszy wokół siebie pełne nienawiści słowa.

W dwa lata później dowiedziała się, oczywiście nie od babki, lecz od służby, że lady Bingham powróciła do domu męża, a on wspaniałomyślnie jej przebaczył. Jednakże nie było mowy o tym, aby pojawiła się kiedykolwiek na dworze, ponieważ - tak jak przewidywała hrabina - żadna z osób należących do wyższych sfer nie życzyła sobie mieć z nią do czynienia.

Pewnego dnia Roberta, zamierzając wejść do bawialni, usłyszała, jak ciotka Emily mówi do jednego z gości:

- Postąpił jak dżentelmen, niełatwo wybaczyć kobiecie, która udowodniła, że jest ladaczną!

- A co stało się z pani bratem? - spytał tamten. - Zawsze uważałem go za najbardziej przystojnego mężczyznę w Anglii!

- Obawiam się, że uroda Duncana przywodzi go do zguby! - oświadczyła sucho ciotka. - Bez wątplenia związał się teraz z jakąś inną kobietą!

- Nie sądzi pani, że chciałby powrócić do domu?  
- Bardzo wątpię! - stwierdziła lady Emily. Po chwili milczenia gość zagadnął:

- A gdzie przebywa teraz lord Duncan?  
- Widziano go w Hiszpanii - odparła ciotka. - Słyszałam jednak od jednego z naszych kuzynów, że na wiosnę zamierza osiąść w Paryżu. Podobno wynajął tam dom. Jeśli o mnie chodzi, uważam, że frywolna atmosfera, która panuje w stolicy Francji, będzie bardzo odpowiadała usposobieniu mojego brata!

W głosie lady Emily Roberta usłyszała tak dobrze jej znaną nutę gorzkiego sarkazmu. Rozbrzmiewała ona zawsze, ilekroć ciotka lub babka mówiły na temat jej ojca, co ostatnio zdarzało się jakby trochę rzadziej. Teraz zapewne cała kampania oszczerstw i narzekań miała rozpocząć się na nowo.

I nagle Roberta poczuła, że nie zniesie tego ani chwili dłużej. Miała pozostać w tym domu jeszcze przez dwa lata, po którym to terminie oczekiwano, że uda się ją szybko wydać za mąż. Dwa lata spędzone na wysłuchiwaniu krzywdzących ojca pomówień, bez najmniejszej możliwości stanięcia w jego obronie!

Nie wchodząc do bawialni, dziewczyna zawróciła w miejscu i poszła do swojego pokoju. Usiadłszy na łóżku, długo patrzyła przez okno. Patrzyła nie widząc jednak ani zielonych pączków na drzewach, ani żonkili rozsianych jak złote gwiazdy po trawnikach i innych zwiastunów budzącej się do życia wiosny. Przed oczyma Roberty pojawiła się wizja roześmianej twarzy ojca, jego zmrużonych szelmowsko oczu. Przypomniała sobie, że gdy była z nim, świat wydawał się jej piękny i ciekawy i że wtedy przepęłniała ją taka energia, iż gotowa była podskoczyć aż do księżycy.

„On jest teraz sam - mówiła sobie. - Mogłabym pojechać do niego i pozostać już z nim na zawsze!”

Licząc sobie szesnaście lat, Roberta przejawiała rzadko spotykaną u dziewcząt w jej wieku wyobraźnię i zdolność logicznego rozumowania. Stary nauczyciel, który przychodził do niej z wioski, napisał kiedyś niezwykle trafną jej charakterystykę, określając ją jako „osobę o ponad wiek rozwiniętej inteligencji” i dodając, że Jest to cecha niezbyt pożądana u tak młodego dziewczęcia...”

Roberta przygotowała swój plan niezwykle starannie. Wiedziała, że podróż do Paryża bez jakiegokolwiek opieki jest całkiem niemożliwa. Pamiętała jednak, że jedna ze starszych służących, która towarzyszyła jej w drodze z Worth Park do domu babki w Essex, osiadła na stałe w jednej z pobliskich wiosek, otrzymawszy od starszej pani w dożywocie niewielką chatkę z ogródkiem. Kobieta ta, imieniem Gracja, nie była jednak uszczęśliwiona z takiego obrotu sprawy i wciąż marzyła o powrocie do miejsca, w którym spędziła całe swoje życie. Wielu jej dawnych przyjaciół pozostało tam, aby nadal pracować w „dużym domu”, jak nazywała Worth Park służba. Hrabina odmówiła jednak odesłania jej do majątku syna, zleciwszy jego zarządzanie prawnikom i zastrzegając się, że nie chce mieć z Worth Park. nic wspólnego.

Dla Roberty Gracja była ostatnim ogniwem łączącym ją z domem, w którym spędziła dzieciństwo. Dziewczyna często odwiedzała staruszkę, spędzając z nią długie godziny na wspomnianiu starych, dobrych czasów, gdy żyła jeszcze młoda lady Worth. Poza tym staruszka uwielbiała ojca Roberty i nigdy nie powiedziała o nim złego słowa, co przy atmosferze panującej w domu babki stanowiło dla dziewczyny istny balsam na jej przepełnione tęsknotą serce.

Następnego dnia po podsłuchanej rozmowie ciotki Emily z jednym z gości Roberta udała się konno, w towarzystwie stajennego do wioski, w której mieszkała Gracja.

Przykazawszy chłopcu pilnować koni, weszła do niewielkiej chatki.

- Och, to moja panienka! - ucieszyła się starowina na jej widok. - Miałam nadzieję, że panienka mnie odwiedzi. Mam bardzo ważną wiadomość!

- Wiem już o wszystkim - odparła Roberta z uśmiechem. - Chcesz mi pewnie powiedzieć, że lady Bingham wróciła do męża!

- O, to panienka już wie - zmartwiła się Gracja, najwyraźniej srodze rozczarowana, że ktoś ją uprzedził w dostarczeniu niezwyklej wieści.

- Tak, słyszałam już o tym - powiedziała dziewczyna i przechodząc natychmiast do sedna sprawy, dodała: - Teraz kiedy ojciec został sam, mam zamiar pojechać do niego!

- Ależ nie może panienka tego uczynić! - wykrzyknęła staruszka z konsternacją. - Co by powiedziała na to starsza pani?

- O, ona powie na ten temat zapewne bardzo wiele - stwierdziła Roberta z gryzącą ironią w głosie. - Ale dopiero po moim wyjeździe!

- Chce panienka wyjechać nie mówiąc jej nic o tym?

- Pozostawię tę sprawę jej domysłom, jak również to, dokąd się udałam - oświadczyła dziewczyna beztrósco, po czym powiedziała tonem nie znoszącym sprzeciwu: - Jadę do Paryża, aby odnaleźć ojca, a ty, Gracjo, pojedziesz ze mną!

Gracja, która jak na swoje sześćdziesiąt dziewięć lat wykazywała niezwykle dużo energii i sprytu, tym razem jednak patrzyła na swoją panienkę z pełnym niedowierzaniem i zaskoczeniem.

- Czy panienka powiedziała, że mam jej towarzyszyć? - spytała po chwili, jakby nie wierząc własnym uszom.

- Dokładnie tak, Gracjo. Wiesz przecież doskonale, że nie mogę udać się sama w tak daleką podróż. Mama nigdy by się

na to nie zgodziła, więc musisz pojechać, aby się mną opiekować!

Gracja patrzyła na nią nadal w osłupieniu. W końcu jednak, obawiając się, że dziewczyna, aby dopiąć swego, gotowa jest udać się do Paryża sama, zgodziła się na wszystko.

Wprowadzenie planów w czyn nie było rzeczą łatwą. Jednak Roberta, podobnie jak jej ojciec, raz podjąwszy decyzję, nie miała zwyczaju zbaczać z wytyczonej drogi

Następny problem stanowiły pieniądze, bez których nie mogłaby wyruszyć. Roberta nie miała ich nigdy zbyt dużo przy sobie, gdyż rzadko zdarzało jej się dokonywać zakupów. Babka wypłacała jej co miesiąc niewielkie kieszonkowe, lecz były to śmieszne sumy. Dziewczyna postanowiła więc poczekać do końca miesiąca, kiedy to do posiadłości przyjeżdżał główny zarządca, aby wypłacić całej służbie należne jej wypłaty. Dzień ten nastał już wkrótce. Zarządca, flegmatyczny mężczyzna w średnim wieku, udał się jak zwykle do pokoju zwanego „biurem”, aby przeliczyć pieniądze, które miały zostać wypłacone następnego ranka. Po zapakowaniu każdej osobno w małe, opatrzone nazwiskami woreczki, umieścił je w sejfie i klucz wręczył pani domu. Roberta czekała na ten moment ukryta w niszy na korytarzu. Kiedy zarządca wyszedł, pożegnawszy się z hrabiną, dziewczyna usłyszała, jak babka wkłada klucz do prawej szuflady biurka, po czym idzie do swego pokoju, aby przebrać się do kolacji.

Niewiele czasu zajęło Robertcie zdobycie klucza, otwarcie sejfu i opróżnienie wszystkich woreczków do niewielkiej kasetki, którą przygotowała sobie zawczasu. W sejfie umieściła na widocznym miejscu kartkę podpisaną własnym nazwiskiem, na której napisała, co następuje:

„Oświadczam, że cała suma, którą stąd zabrałam, zostanie zwrócona przez mojego ojca, hrabiego Wentwortha.”

Zamknawszy starannie szafę pancerną, dziewczyna odłożyła klucz z powrotem do szuflady w biurku, po czym poszła do jadalni, aby życzyć dobrej nocy babce i ciotce Emily. Kolację zjadła sama w pokoju szkolnym, ponieważ z racji zbyt młodego wieku rzadko pozwalano jej w tym domu siadać do ostatniego posiłku razem z innymi domownikami. Roberta nie przejmowała się tym zbyt, przedkładając jedzenie kolacji połączone z czytaniem ciekawej książki nad przeraźliwie nudnymi ceremoniami odbywającymi się co wieczór w pokoju jadalnym.

Tej nocy jednak była zbyt podekscytowana, aby czytać. Nie jadła także wiele; większość przyniesionych jej przez pokojówkę dań odesłała nietknięte. Były one jak zawsze starannie przygotowane, niezwykle pożywne i podobnie, jak wszystko w tym domu, pozbawione odrobiny fantazji.

Po kolacji Roberta poszła do sypialni, gdzie starannie sprawdziła, czy wszystko jest przygotowane jak należy, aby rano przystąpić do wykonania dalszej części planu.

Największym problemem okazał sposób dotarcia do dość odległej stacji kolejowej. Roberta nie mogła przecież po prostu zamówić powozu, nie budząc podejrzeń babki. I tutaj przyszła jej z pomocą Gracja.

- Powiem, że jedna z moich krewnych zachorowała, i poproszę Toma Hansona, aby odwiózł mnie na stację swoim powozem - powiedziała. - Przyjedzie po mnie o godzinie, którą mu wyznaczę!

- Dziękuję ci, Gracjo! - ucieszyła się Roberta. - Mogłam sama wpaść na ten pomysł. Powiedz mu, żeby czekał przed twoim domem o wpół do piątej rano. Wiem, że pociąg do Londynu odchodzi o piątej!



- Zrobię dokładnie tak, jak panienka mówi - - zgodziła się z nią Gracja.

Kiedy pierwsze promienie wschodzącego słońca rozjaśniły niebo nad horyzontem, Roberta wymknęła się do stajni. Jedyne jej bagaż stanowił niewielki kuferek, do którego włożyła kilka osobistych rzeczy, trochę bielizny i dwie najłżejsze sukienki. Jak wszystkie inne ubrania Roberty, zostały one wybrane przez babkę i dziewczyna uśmiechała się na samą myśl o tym, jaką zgrozą ich widok napęli rozmówianego w pięknie kobiecych strojów ojca. Czasami myślała, że hrabina rozmyślnie kupuje jej tak nieatrakcyjną garderobę, jak gdyby chciała podkreślić, że uroda nie powinna stanowić powodu do dumy dla młodej panny. Chociaż zarówno suknia, jak i płaszcz, który Roberta włożyła na drogę stanowiły jej najlepsze niedzielne ubranie, dziewczyna wyglądała w nich jak sierota z przytułku dla ubogich.

„Ojciec na pewno każe oddać te suknie służbie, a sam kupi mi nowe” - pomyślała Roberta, siodłając konia, na którym zazwyczaj udawała się na przejażdżki. Galopując w kierunku chatki Gracji jedną ręką ujęła wodze, drugą zaś starannie przytrzymała leżący przed nią na siodle kuferek.

Dojeżdżając na miejsce, dziewczyna stwierdziła z bijącym sercem, że powóz Toma Hansona już czeka. Światło w oknie świadczyło o tym, że Gracja była gotowa do drogi. Tom stał na progu, pukając do drzwi chatki. Słyszając stuk kopyt konia Roberty, odwrócił się i zaskoczony zagapił na nią. Dziewczyna zsunęła się z siodła, przyciskając do boku kuferek.

- Dzień dobry, milady! - przywitał ją woźnica, kłaniając się grzecznie. Na jego twarzy wciąż jeszcze malowało się osłupienie. - Dokąd to panienka wybiera się o tak wczesnej porze?

- Jadę z wami na stację, Tomie - wyjaśniła swobodnie Roberta. - Doszłam do wniosku, że Gracja nie powinna wybierać się sama w tak długą podróż, i postanowiłam jej towarzyszyć!

- Bardzo panienska łaskawa dla starej sługi - powiedział Tom. - Ale co stanie się z koniem panienki?

- Puszczę go wolno na trawę - oświadczyła Roberta. - Nie odejdzie daleko. Byłabym ci wdzięczna, Tomie, gdybyś po powrocie ze stacji zechciał odprowadzić go do dworskiej stajni!

- Jestem do usług, panienko! - zapewnił ją woźnica, po czym, drapiąc się z zakłopotaniem w głowę, zapytał: - A dlaczego nie przyjechał z panienką któryś ze stajennych?

- Wszyscy jeszcze bardzo mocno spali, kiedy zeszłam do stajni - uśmiechnęła się Roberta. - Uznałam, że prędzej dojadę tutaj sama, niż zdołam któregoś dobudzić!

Tom roześmiał się hałaśliwie, uważając to za wspaniały żart, który będzie mógł później opowiedzieć całej służbie.

W ten sposób Roberta wraz z Gracją opuściły posiadłość w Essex, mając pewność, że minie co najmniej cztery lub pięć godzin, zanim ich nieobecność zostanie odkryta. Był to czas w zupełności wystarczający, aby nie musiały obawiać się pogoni, nawet jeśli babka zaczęłaby podejrzewać, dokąd naprawdę zamierza udać się uciekinierka. Roberta zostawiła bowiem hrabinie list, w którym tłumaczyła swój nagły wyjazd koniecznością odwiedzenia chorej przyjaciółki. Gdyby była na tyle nieostrożna, aby podać prawdziwy cel swojej podróży, babka mogłaby wpaść na pomysł zatelegrafowania do Dover z poleceniem zatrzymania dziewczyny w porcie. Ponieważ jednak Roberta wspomniała o tym, że zabiera ze sobą Grację, aby towarzyszyła jej w podróży, babce nawet przez myśl by nie przeszło, że wnuczka podjęła śmiały zamysł podróży do Paryża.

Wspominając później swoją ucieczkę, dziewczyna sama czuła się zaskoczona, że wszystko poszło tak gładko. Obydwie wraz z Gracją zdążyły przesiąść się w Londynie na poranny pociąg do Dover, skąd tego samego popołudnia odpływał parowiec do Calais. Pieniądze, które zabrała Roberta z domu babki, pozwoliły jej na wykupienie biletu pierwszej klasy, co sprawiło, że podróż okazała się wygodna i mało męcząca. Kłopoty zaczęły się dopiero rankiem następnego dnia, kiedy pociąg jadący z Calais do Paryża wjechał na stację końcową.

Należało teraz pomyśleć o odszukaniu w tym wielotysięcznym mieście lorda Duncana. Roberta nie miała pojęcia, jak się do tego zabrać. W chwili kiedy już prawie zaczęła żałować podjęcia nieprzemyślanej decyzji, przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

- Przypomniałam sobie dwie rzeczy - opowiadała później ojcu. - Po pierwsze, kiedy razem z mamą wyjeżdżaliście do Paryża, pisałam do was zawsze na adres Travellers' Club, i po drugie, mówiłeś mi kiedyś, że twój angielski bank znajduje się przy rue de la Paix.

Hrabia Wentworth spojrział na nią zaskoczony.

- Jak to się stało, że zapamiętałaś tak drobny szczegół? - spytał.

- W waszych opowieściach nazwa tej ulicy przewijała się tak często, że byłam pewna, iż to jest najważniejsza ulica w całym Paryżu!

- Sądzę, że dla twojej matki była ona istotnie najważniejsza - odparł śmiejąc się ojciec - przy rue de la Paix mają swoje pracownie najznamienitsi paryscy krawcy. Żadna kobieta nie może się oprzeć pokusie, aby przyjeżdżając do stolicy Francji, nie sprawić sobie choć jednej kreacji u któregoś z nich!

Roberta pomyślała, że muszą to być rzeczywiście mistrzowie w swoim fachu, gdyż kupowane w Paryżu suknie

jej matki wyróżniały się wyjątkową elegancją i dobrym smakiem.

Pozostawiwszy ledwie żywą ze zmęczenia Grację w hotelu, Roberta udała się do banku na rue de la Paix, gdzie po wyjaśnieniu, kim jest i skąd pochodzi, udało się jej bez trudu uzyskać adres ojca. O wpół do dziesiątej zajęła wynajętym powozem przed wysoki, bardzo porządnie utrzymany dom stojący w jednej z cichych, bocznych uliczek.

Hrabia Wentworth jadł właśnie śniadanie. Służący, który otworzył Robertcie drzwi, wprowadził ją wprost do jadalni, nie zadając sobie nawet trudu, aby zaanonsować gościa panu domu.

Kiedy dziewczyna weszła do pokoju, ojciec uniósł wzrok znad talerza i przez chwilę patrzył na córkę tak, jakby nie wierzył własnym oczom. Kiedy zaś Roberta zaczęła biec ku niemu, zaskoczony uniósł się zza stołu, pytając:

- Córeczko, czy to naprawdę ty?

- Tak, to ja, ojczy - odparła dziewczyna czując, że łzy napływają jej do oczu gorącą falą, - Nie poznajesz mnie?

Rzuciwszy mu się w ramiona, objęła go mocno za szyję i pocałowała w policzek. Tuląc ją do siebie, lord Duncan zarzucał ją bezładnymi pytaniami:

- Skąd się tu wzięłaś? Co się stało? Dlaczego nie dałaś mi znać, że przyjeżdżasz?

- Poszłam w twoje ślady, ojczy! - odparła Roberta niemal bez tchu. - Usłyszałam, jak ktoś mówił, że zostałeś teraz sam, a ja nie mogłam już dłużej znieść tego bezustannego krakania! Od czasu gdy lady Bingham wróciła do męża, babcia i ciotka Emily wprost prześcigały się wzajemnie w złośliwych uwagach na twój temat. Czuję, że nie wytrzymam tego ani chwili dłużej!

Słyszając to, hrabia Wentworth uściskał ją serdecznie.

- Ależ to czyste szaleństwo! - wykrzyknął. - Wspaniałe, niezrównane szaleństwo! Mój Boże, jak ja się cieszę, że cię widzę! Nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo za tobą tęskniłem!

- Chyba nie bardziej niż ja za tobą - szepnęła Roberta, a łzy płynęły jej po policzkach niemal bez przerwy.

Całowała ojca, przytulała się do niego i całowała znowu, jakby nie mogąc uwierzyć, że naprawdę jest przy niej. Wydawało się, że nigdy nie nacieszą się sobą. Mówili jedno przez drugie, tyle mieli sobie do powiedzenia! Tyle wspomnień czekało tylko na to, aby je odświeżyć...

Stało się tak, jak przewidywała Roberta: ojciec w pełni zaakceptował jej decyzję i nigdy nie napomknął o tym, że powinna wrócić do domu w Essex.

- Czy wiesz, moja droga, że zostając ze mną, nigdy nie będziesz mogła zadebiutować oficjalnie w wielkim świecie? - pytał. - Co więcej: jestem pewien, że stracisz szansę na przedstawienie cię na dworze podczas balu w pałacu Buckingham!

- Pragnę tylko być z tobą, ojczy! - odpowiadała dziewczyna. - Jeśli zostałabym z babką choć tydzień dłużej, umarłabym z nudów lub sama zamieniłabym się w straszną nudziarę. Wtedy i tak żaden mężczyzna nie zechciałby spojrzeć na mnie, nie mówiąc już o chęci zostania moim mężem!

- Pierwszą rzeczą, której musimy dokonać natychmiast - stwierdził hrabia z niesmakiem - to wyrzucić na śmietnik te okropne suknie! Nawet Afrodyta wydawałaby się w nich płaska jak deska i pozbawiona wdzięku jak kołek w płocie!

Słyszając słowa, których podświadomie spodziewała się od dawna, wypowiedziane tonem pełnym zjadliwej ironii, Roberta wybuchnęła serdecznym śmiechem. Nagle poczuła się tak, jakby otworzyły się przed nią bramy raju. Świat, w

którym przebywała do tej pory, wydał jej się ciemną, ponurą otchłanią, będącą już teraz coraz bardziej odległym wspomnieniem...

Jak można się było spodziewać, fakt, że córka zamieszkała wraz z nim, nie wpłynął w najmniejszym stopniu na zmianę stylu życia, jakie prowadził hrabia Wentworth. W jego domu pojawiały się coraz to nowe, piękne kobiety, w których towarzystwie spędzał mile czas, rozstając się z nimi natychmiast, kiedy tylko zaczynały go nużyć. Roberta nieraz zapraszana była do wspólnych posiłków lub na konne przejażdżki. Poza tym ojciec zawsze starał się poświęcić jej chociaż część dnia, jeśli planował spędzenie wieczoru poza domem. Zaangażował najlepszych nauczycieli, których zadaniem było uczenie Roberty języka francuskiego, śpiewu i tańca. Wraz z jednym z nich dziewczyna zwiedziła wszystkie paryskie galerie sztuki, Wersal, Fontainebleau i oczywiście katedrę Notre - Dame. Chodziła też do Opery, a także na te przedstawienia teatralne, które ojciec uznał za właściwe dla dorastającej panienki. Ten rodzaj zdobywania wiedzy niezwykle jej odpowiadał. Jak bardzo inna była to nauka od dukania tekstów łacińskich razem z ciotką Emily, ślęczenia pod okiem starego nauczyciela nad geometrią i algebrą i pisania nudnych wypracowań, co polegało zazwyczaj na przepisywaniu całych fragmentów książek! Tutaj, w Paryżu, Roberta chłoneła wszystko swym żywym, inteligentnym umysłem czując, jak z dnia na dzień poszerza się jej wiedza o świecie. Dopiero teraz zdolna była pojąć, jak wiele straciłaby pozostając przez resztę swojego życia wśród ludzi o ograniczonych horyzontach myślowych.

Kiedy Roberta zaczęła już mówić płynnie po francusku, ojciec zakochał się nagle w pięknej włoskiej księżniczce i dosłownie z dnia na dzień zdecydował, że przenoszą się do Włoch. Z początku mieszkali w Wenecji, później w Rzymie,

aby w końcu osiąść na pewien czas w Neapolu. Tam, na południu kraju, płomienne uczucie łączące hrabiego Wentwortha z włoską arystokratką przygasło nieco. Jego serce zajęła zupełnie inna, ze wszech miar niezwykła i atrakcyjna kobieta.

Miała na imię Francine i była z pochodzenia pół - Francuzką pół - Arabką. Roberta nie mogła się wprost napatrzeć na jej niecodzienną, pełną tajemniczego wdzięku urodę, która czyniła ją podobną do rzadkiego, egzotycznego kwiatu. Smukłe, kuszące kształty Francine przywodziły na myśl przeciągającego się leniwie węża, a wyraz jej ogromnych czarnych oczu był równie niezbadany i tajemniczy, jak kontynent afrykański. Ojciec Roberty był nią zafascynowany tak bardzo, że zgodził się bez wahania pojechać i zwiedzić kraj, który uważał za ojczyznę swej nowej ukochanej.

Matka Francine była algierską księżniczką, a ojciec francuskim dyplomatą, którego skierowano na placówkę do Afryki. Kiedy zakończył się określony kontraktem czas jego dyplomatycznej służby, wrócił do swego kraju, gdzie oczekiwała na niego z utęsknieniem prawowita małżonka. Zadbał jednak o to, aby nieślubna córka, którą zmuszony był pozostawić wraz z matką, otrzymała staranne wykształcenie, którego nie powstydzilaby się żadna panna z dobrego domu w Europie. Francine chowana była jak Francuzka, a nie jak Arabka. Aby jednak zyskać w swoim kraju status kobiety wolnej, musiała wyjść za mąż. Roberta nigdy nie dowiedziała się, kto był mężem Francine ani w jaki sposób się rozstali. Francine nigdy zresztą nie przejawiała ochoty, aby o tym opowiadać. Dla niej najważniejsze było, że wyzwoliła się spod władzy rodziny. Jako kobieta niezależna i bogata mogła pozwolić sobie na pełną swobodę wyboru stylu życia. Z hrabią Wentworthem połączyło ją zamiłowanie do przygód i ogromna ciekawość świata.

Planując wspólną wyprawę do Afryki, obydwójce postanowili zabrać ze sobą Robertę. Od tej pory dziewczyna przysłuchiwała się pilnie ich rozmowom, pragnąc dowiedzieć się i nauczyć jak najwięcej o krajach, które mieli odwiedzić. W podobny sposób, w jaki przyswoiła sobie język francuski we Francji, a włoski we Włoszech, zaczęła teraz zapoznawać się z dialektami arabskimi. Francine okazała się znakomitą nauczycielką i przy okazji nauki języka opowiadała jej o zwyczajach i mentalności Arabów, których mieli spotkać podróżując przez Algierię, Maroko aż do Senegalu.

Roberta była tak zafascynowana wszystkim, co widziała w czasie wyprawy, że nie przeszkadzały jej ani mordercze upały, ani konieczność dosiadania wielbłądów, które okazały się zwierzętami o wyjątkowo krnąbrnych i trudnych do okiełznania charakterach. Zresztą lord Duncan też nie traktował zbyt poważnie trudności, które napotykali, posiadając rzadki dar obracania w żart nawet najbardziej irytujących sytuacji. Skłonna do gniewu Francine, która w krytycznych chwilach posuwała się do gwałtownych sprzeczek z poganiaczami z karawany, nauczyła się w końcu śmiać z własnych wybuchów złości. Obejmując wtedy ukochanego za szyję, całowała go czule, po czym patrzyli sobie długo w oczy, zapomniawszy o całym świecie.

Roberta wiodła dość niecodzienną dla osóbkę w jej wieku egzystencję, całymi tygodniami nie widząc nikogo oprócz tubylców i pogodziwszy się z tym, że ojciec i Francine byli czasami tak zajęci sobą, że wydawali się jej w ogóle nie dostrzegać. Mimo wszystko jednak czuła się szczęśliwa. Nie była zazdrosna o Francine, tak jak tamta nie była zazdrosna o nią, hołdując francuskim przekonaniom o trwałości rodziny, w której każdy, bez względu na wiek, akceptowany jest z miłością. Z żadną z kochanek ojca Roberta nie żyła w takiej przyjaźni. Francine przyjęła jej obecność jako rzecz



całkowicie naturalną i traktowała dziewczynę nie jak rywalkę, lecz jak część szczęścia, które odnalazła u boku hrabiego Wentwortha.

Podróżowali przez góry, goszcząc u wodzów na wpół dzikich plemion arabskich, rozbijali obozy w oazach, odpoczywając przez najgorętszą część dnia i ruszając w dalszą drogę, gdy robiło się nieco chłodniej. Każdy kolejny dzień był dla Roberty jak zupełnie nowa, fascynująca opowieść, w której zawsze można było się spodziewać kolejnych, ekscytujących przeżyć.

I nagle Roberta zrozumiała, że ten najwspanialszy w jej życiu sen skończy się wraz ze śmiercią ojca.

## ROZDZIAŁ 2

Przez całą noc Roberta usiłowała zmusić się do snu. Kiedy jednak w oddali ukazały się zarysy portu w Marsylii, czuła nadal ogromne zmęczenie. Próbowwała tłumaczyć sobie, że powinna potraktować czekającą ją podróż do Ameryki jak pasjonującą przygodę. Tego zapewne oczekiwał od niej ojciec. Wciąż jeszcze miała przed oczyma scenę, gdy hrabia Wentworth, odzyskawszy niespodziewanie przytomność tuż przed śmiercią, spojrział na nią i wyszeptał:

- Tak bardzo cię kocham...

W chwilę później przestał oddychać. Roberta nie była całkiem pewna, czy mówiąc te słowa, miał na myśli ją, czy też wydawało mu się, że rozmawia ze swą zmarłą żoną. Jednak nieoczekiwane wyznanie ojca przyniosło jej ulgę w cierpieniu i pomogło przetrwać najcięższe chwile.

Hasam wraz z jednym z poganiaczy wielbłądów wykopali grób tuż obok oazy w sypkim pustynnym piasku. Patrząc, jak opuszczają zawinięte jedynie w całun ciało ojca do tego dołu, Roberta nie próbowała nawet zmuszać się do odczytania z modlitewnika zwykłych w takich przypadkach formułek. Z głębi serca słała jednak ku niebu gorące prośby, aby ojciec, gdziekolwiek się znajduje, znalazł spokój i odpoczynek.

„Jeśli to możliwe - modliła się - niech jego dusza czuwa nade mną, kiedy będę spełniała jego wolę.”

Arabowie stali w milczeniu wokół grobu i dziewczynie wydało się, że dostrzega smutek w ich ciemnych oczach. Towarzyszyli jej ojcu przez cały czas ich pobytu w Afryce, zawsze bez szemrania spełniając wszystkie polecenia i podążając za nim, dokąd tylko zechciał. Żegnając swego pana wiedzieli, że ostatnią rzeczą, jaką mogli dla niego uczynić, było zapewnienie bezpiecznego powrotu jego córki do Algieru. Hasam obiecał im, że po przybyciu na miejsce zostaną sowicie wynagrodzeni. Dotrzymał słowa,

przeznaczając dla nich sporą część pieniędzy, które udało mu się otrzymać ze sprzedaży wielbłądów. Nie zapomniał przy tym i o sobie. Roberta wiedziała, że jest to ogólnie przyjęty w krajach arabskich zwyczaj. Sama również zapłaciła poganiaczom i Hasamowi całkiem pokaźną sumę. Mogła sobie na to pozwolić, ponieważ ojciec zostawił jej w, jednym z algierskich banków znaczne zabezpieczenie finansowe. Wśród pozostawionych w depozycie bankowym papierów Roberta znalazła testament, na którego mocy stawała się z chwilą śmierci ojca posiadaczką wszystkich jego prywatnych pieniędzy. Cały pozostały majątek wraz z nieruchomościami i tytułem hrabiego Wentwortha przechodził na jedyne spadkobiercę w męskiej linii rodziny. Był nim syn młodszego brata lorda Duncana.

Ojciec Roberty nigdy nie lubił tego młodzieńca, uważając, że prowadzi on zbyt rozrzutny tryb życia. Teraz jednak ten człowiek stał się panem Worth Park i zapewne panoszył się nieznośnie w domu, w którym Roberta spędziła całe swe dzieciństwo. Był to jeden z powodów, dla którego dziewczyna nie chciała wracać do Anglii. Odszukanie ciotki Margaret stawało się więc jedynym rozsądnym wyjściem z sytuacji.

Roberta z trudem uświadamiała sobie, że od tej chwili sama musi decydować o swoim losie. Do tej pory ojciec zajmował się wszystkim i wydawało się, że tak będzie zawsze. Teraz nagle dziewczyna poczuła, jak bardzo jest samotna i jak wiele będzie zależało od decyzji, które odtąd musi podejmować sama. Jakże bardzo żałowała, że nie ma przy niej Gracji! Wprost nie do pomyślenia było, żeby młoda dziewczyna udała się w podróż przez Atlantyk bez opieki.

Odsyłając Grację z Paryża, ojciec wręczył jej pokaźną sumę pieniędzy, a ponadto zaopatrzył w list polecający do swoich radców prawnych, w którym nakazywał im przekazanie w formie darowizny jednego z domków w

wiosce, w której staruszka urodziła się i spędziła dzieciństwo. Starowina dziękowała mu ze łzami w oczach.

- Nie ma na świecie drugiego takiego człowieka, jak nasz pan - mówiła wzruszona do Roberty. - Cokolwiek o nim mówią, ja wiem swoje: przyjdzie czas, w którym Bóg wynagrodzi mu wszystkie dobre uczynki, jakich dokonał!

- Mam nadzieję, że tak się stanie! - przytakiwała Roberta z trudem usiłując ukryć uśmiech.

- Proszę, niech panienka dba o niego! - ciągnęła z troską w głosie wierna służąca. - On potrzebuje kogoś takiego, jak matka panienki, Panie, świeć nad jej duszą. A wszystkie te kobiety, które uganiają się za naszym panem, obchodzi tylko zawartość jego portfela!

Roberta powtórzyła później ojcu słowa Gracji i obydwójce uśmiechali się serdecznie z uprzedzeń staruszki. Jednak w głębi serca dziewczyna czuła, że w stosunkach pomiędzy ojcem a kobietami, które przewinęły się przez jego życie po śmierci matki, pieniądze nie były sprawą najważniejszą. Żadna z kochanek ojca nie była typową kurtyzaną, gotową oferować swe serce i ciało w zamian za pewne korzyści materialne. Kochały go, każda na swój sposób, i niemal wszystkie były bardzo zazdrosne, jeśli poświęcał zbyt wiele uwagi córce. W zasadzie nie można im było nic zarzucić oprócz tego, że mimo swoich starań nie zdołały zastąpić mu zmarłej żony.

Francine była inna. Bardzo dumna ze swego szlacheckiego pochodzenia, potrafiła zachować się należycie w każdej sytuacji, mimo iż jej gorący, porywczy temperament nieraz doprowadzał do ostrych spięć między nią a otoczeniem. Nigdy jednak nie przekroczyła w swych wybuchach granicy dobrego wychowania, co hrabia Wentworth potrafił docenić. Roberta uwielbiała Francine i bardzo przeżyła jej śmierć. Wydawało się jej, że to niemożliwe, aby ktoś tak pełen życia i „radością istnienia” - jak zwykli mawiać Francuzi - mógł odejść nagle i

niespodziewanie, pozostawiając po sobie jedynie niknące wspomnienie srebrzystego śmiechu.

„Jestem pewna, że gdyby ojciec nie zachorował wkrótce po jej śmierci, bardzo dotkliwie odczuwałby swoją samotność” - myślała Roberta i zaraz uświadomiła sobie, że z jego odejściem została teraz całkiem sama.

Wykupiwszy bilet na pierwszy francuski statek, który odpływał do Europy, Roberta spędziła niemal całą podróż w kabinie, starając się nie zwracać uwagi na to, jak obskurne i niewygodne było to pomieszczenie. Gdy tylko statek zawinął do portu w Marsylii, kazała zawieźć się do najlepszego hotelu w mieście. Pytając o wolny pokój, przedstawiła się używając wszystkich przysługujących jej tytułów: doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że gdyby nie wywołane wrażenie, próba zamieszkania w hotelu przez samotną młodą kobietę nie byłaby wcale sprawą łatwą. Pamiętała wszak dobrze słowa, które powtarzała jej często Francine:

- Francuzi są strasznymi snobami - mówiła wydymając pogardliwie wargi. - Będąc we Francji zawsze używałam tytułu, który należy mi się po matce, nie wspominając ani słowem o pochodzeniu mojego ojca!

Pozostawiwszy swoje bagaże w depozycie, Roberta zamówiła powóz i poleciła zawieźć się do miejscowego biura żeglugi morskiej. Kiedy pojawił się wezwany przez nią dyrektor biura, zwróciła się do niego w nienagannej francuszczyźnie:

- Jestem lady Roberta Worth. Mój ojciec, hrabia Wentworth, zmarł niedawno w czasie wyprawy do Afryki, w związku z czym zmuszona jestem podróżować sama. Byłabym bardzo wdzięczna, gdyby zechciał pan poinformować mnie, czy jakieś godne zaufania małżeństwo, udające się Stanów Zjednoczonych na pokładzie jednego ze statków pańskich

linii, nie zechciałoby pełnić roli moich oficjalnych opiekunów. Oczywiście jestem skłonna wynagrodzić im tę fatygę.

Roberta spostrzegła, że dyrektor biura, który z początku odnosił się do niej z lekką wyższością, w miarę jak mówiła, spoglądał na nią z rosnącym szacunkiem. Natychmiast też zaczął pospiesznie przerzucać listy pasażerów i po chwili oznajmił jej, że w podróż przez Atlantyk na jednym ze statków udaje się duchowny anglikański, wielebny kanonik Bridges wraz z małżonką. Urzędnik był pewien, że obydwójce pastorostwo przystaną z chęcią na zaproponowaną im rolę opiekunów młodej angielskiej damy. Obiecał też, że jak najprędzej porozmawia z nimi w tej sprawie.

Upewniwszy się, że statek, który był jednym z największych liniowców odbywających regularne rejsy między kontynentem europejskim a amerykańskim, odpływa już za dwa dni, Roberta wróciła do hotelu, aby przygotować się do podróży.

Przede wszystkim należało pomyśleć o pieniądzach. Pobierając z algierskiego banku pokaźną sumę, dziewczyna zastanawiała się, gdzie powinna przechowywać grube pliki banknotów. To Francine nauczyła ją, że podczas podróży pieniądze trzeba umieścić w możliwie jak najbezpieczniejszym miejscu, czyli krótko mówiąc na sobie. Radziła, aby grubsze banknoty po prostu zaszyć w obrąbku spódnicy, a resztę włożyć do specjalnie uszytego, płóciennego pasa, który należało ciasno owinąć wokół talii.

- To bardzo dziwne - mówiła wzruszając ramionami - ale tutaj, w Afryce, rzeczy, które choć na chwilę pozostawi się gdzieś na wierzchu, mają dziwną zdolność natychmiastowego znikania, niestety, w sposób bezpowrotny...

Roberta słuchała tych przestróg jednym uchem, nie kłopotując się o nic, skoro o wszystkim decydował ojciec. Teraz jednak przypomniawszy sobie rady, udzielane jej kiedyś

przez Francine, uznając je za niezwykle roztropne. Po owinięciu się płóciennym pasem, zawierającym cały jej majątek, stwierdziła jednak, że jej talia stała się nienaturalnie gruba. Część banknotów musiała więc umieścić w obrąbku sukni, którą od tej pory nosiła stale przez cały czas trwania morskiej podróży.

W dniu, w którym statek miał podnieść kotwicę, dziewczyna zjawiała się na pokładzie wczesnym rankiem. Od razu upewniła się, że kanonik Bridges i jego żona są wręcz zaszczytzeni mogąc służyć swoją opieką „lady Robercie Worth”.

Kanonik był starszym już jowialnym jegomościem, przejawiającym lekkie zamięłowanie do wygłaszania wzniosłych sentencji przy lada okazji. Właśnie zakończył zleconą mu przez arcybiskupa Canterbury wizytację kościołów protestanckich we Francji. Teraz obydwój z żoną udawali się na spotkanie z czołowymi przedstawicielami kościoła episkopalnego. Bardzo byli ciekawi, jak też żyje się ludziom na odległym kontynencie amerykańskim.

- Nigdy nie marzyłam nawet, że wyjedziemy z naszego domu w Canterbury dalej niż nad nasze angielskie morze - mówiła pani Bridges do Roberty. - Jeśli już jednak Bóg tak sprawił, że dane nam było wyruszyć w tak daleką podróż, jestem pewna, że będzie to niezapomniane przeżycie!

Była cichą, spokojną kobietą, we wszystkim ulegającą swojemu mężowi, którego darzyła pełnym respektu szacunkiem. Z typową dla Anglików podejrzliwością w stosunku do wszystkiego, co nie pochodzi z Wysp Brytyjskich, odnosiła się także do tego, co francuskie. Szczególnie zaś narzekała na tutejszą kuchnię. Roberta, którą ojciec nauczył cenić smak potraw przyrządzanych przez najlepszych francuskich kucharzy, uznała posiłki serwowane na statku za wspaniałe. W miarę, jak zbliżali się do Nowego

Orleanu stawały się one wprawdzie trochę zbyt mało urozmaicone, jednak wciąż jeszcze znać było w nich rękę mistrza.

Podczas pokonywania Zatoki Biskajskiej, statek dostał się w obszar dość silnego sztormu, co sprawiło, że niewielu z pasażerów miało ochotę opuścić na dłużej swoje kajuty. Na zalewanych falami pokładach nie było nikogo. Jednak kiedy po wypłynięciu z Cherbourga morze uspokoiło się znacznie, Roberta zrozumiała, jak bardzo roztropną decyzją było poproszenie państwa Bridges o towarzystwo i opiekę. Na statku znajdowało się wielu Francuzów, którzy podróżowali do Ameryki głównie w celach handlowych. Spojrzenia, które rzucali na Robertę, wyraźnie świadczyły o tym, że uważają ją za niezwykle łakomy kąsek.

„Gdyby nie obecność pastora i jego żony - myślała dziewczyna - miałabym naprawdę spore kłopoty.”

Nigdy też nie pokazywała się na pokładzie bez towarzystwa, a wszelkie zaproszenia na tańce urządzone co wieczór w salonie odrzucała wyjaśniając krótko, że jest w żałobie. Wiedziała, że jej zachowanie podoba się państwu Bridges, mimo iż obydwójce byli niezmiernie zaintrygowani, co skłoniło ją do podjęcia tak dalekiej podróży.

- Mam nadzieję, moja droga, że ktoś będzie czekał na panią, kiedy zawiniemy do Nowego Orleanu - zagadywała ją nieraz żona kanonika.

Roberta uznała, że błędem byłoby wyznanie tej poczciwej kobiecie całej prawdy.

- Myślę, że tak - odpowiadała wymijająco. - Jednak moja ciotka mieszka w Kalifornii, a to bardzo daleko od Missisipi.

- Och tak, oczywiście - odpowiadała strapiona pani Bridges. - My z mężem tak niewiele wiemy o Ameryce. Jesteśmy bardzo zaniepokojeni myśląc o tym, co może się



nam przydarzyć. Słyszałam, że niektóre szczepy indiańskie są szczególnie wrogo usposobione!

- Jestem pewna, że osoby, które będą gościć państwa, zadbają o wasze bezpieczeństwo - uspokajała ją Roberta.

Mówiąc to myślała jednak, że jej samej także przydałyby się słowa otuchy. Wysłała wprawdzie do ciotki Margaret list jeszcze z Marsylii zawiadamiając ją o śmierci ojca i swoim rychłym przyjeździe. Zdawała sobie doskonale sprawę z tego, że list mógł dotrzeć na miejsce o wiele później od niej samej. Może nawet wyjątkowy zbieg okoliczności sprawił, że znajdował się on na pokładzie tego samego statku, na którym właśnie przemierzała Atlantyk?

„Jeśli ciotka Margaret mi nie pomoże, będę zmuszona powrócić do Anglii” - rozważała nieraz, czując, że trudno jej nawet wyobrazić sobie taką możliwość. Sama myśl o gniewnej twarzy babki i jej wiecznych utyskiwaniach na ekstrawagancje ojca sprawiała, że Roberta gotowa była zgodzić się na egzystencję w znacznie gorszych warunkach niż dotąd, byle tylko oddalić od siebie groźbę powrotu do domu babki w Essex.

Podobnie jak państwo Bridges, Roberta niewiele wiedziała o Ameryce, ponieważ nie było powodu, aby interesować się nią w przeszłości. Tym większe było więc jej zaskoczenie, gdy ujrzała Nowy Orlean. Nie bardzo wiedząc do tej pory, czego ma się spodziewać, uznała, że miasto to dziwnie przypomina jej Paryż, mimo iż krajobraz, ludzie i panująca wokół atmosfera była zupełnie odmienna. Nabrzeże portowe przesycone było zapachem kawy, którą palono na miejscu, w specjalnie przeznaczonych do tego celu pomieszczeniach. Woń ta nasunęła Robertcie natychmiastowe skojarzenie z Paryżem, które pogłębiło się jeszcze po ujrzeniu domów z oknami zaopatrzonymi w drewniane żaluzje i balkonikami o dziwnie znajomym kształcie.

Później dopiero nadpłynęły do niej nie znane dotąd zapachy znad Missisipi, gdzie w porcie stały statki przeznaczone wyłącznie do żeglugi rzecznej, których ładownie wypełnione były krabami, cukrem, przyprawami, bananami i rumem. Jak urzeczona przypatrywała się Roberta pełnym kwiatów ogrodem, czarnoskórym robotnikom uwijającym się przy groblach i przysłuchiwała się ich dziwnym, monotonnym pieśniom, które rozbrzmiewały wokół od rana do późnej nocy. Oczom dziewczyny, tak bardzo nawykłym w ostatnich miesiącach do jałowego, pustynnego krajobrazu, świat wydawał się tu tak niezwykle barwny, że nie mogła powstrzymać się od ciągłego rozglądania na wszystkie strony.

- Jak szkoda, że ciotka Margaret nie mieszka w Nowym Orleanie - mówiła do siebie, wzdychając.

Roberta czuła, że zakochała się po uszy w tym pełnym niezwykłego uroku mieście. Posiłki serwowane w hotelowej restauracji były wyśmienite, a gdy dziewczynie poradzono, aby spróbowała zjeść obiad w jednej z restauracji w starej części miasta uznała, że lepiej przyrządzonych potraw nie jadła nawet w Paryżu. Po obiedzie poszła obejrzeć miejscowy targ rybny i co chwila aż przystawała ze zdumienia. Nigdy w życiu nie widziała takiego bogactwa świeżo złowionych owoców morza. Na straganach piętrzyły się stosy krabów, langust, pstrągów, homarów, ostrygi, krewetek przypominających swym wyglądem delikatne płatki kwiatów.

- Gdyby tylko ojciec był ze mną! - wzdychała Roberta. - Wyobrażam sobie, jak bardzo przypadłby mu do gustu ten widok!

Z ciężkim sercem myślała o tym, że powinna jak najprędzej udać się w dalszą podróż.

Jedyny list od ciotki Margaret, który znalazła wśród papierów ojca złożonych w algierskim banku, wysłany był z

miejsowości o nazwie Blue River. Ślęcząc długo nad mapą, Roberta odnalazła w końcu to miasteczko oddalone trzydzieści lub czterdzieści mil na południe od San Francisco. Odległość, która dzieliła Nowy Orlean od Kalifornii, wydawała się dziewczynie przerażająca. Roberta słyszała jednak, że istnieją już linie kolejowe łączące oba wybrzeża Ameryki. Na przykład pociągi należące do spółki Union - Pacific Railway kursowały regularnie z Nowego Orleanu przez Luizjanę, Teksas, Nowy Meksyk i Arizonę do Kalifornii.

- Dojedzie pani do celu bardzo wygodnie - mówił urzędnik kolejowy, który przyjął ją w biurze spółki. - I co najważniejsze: całkiem bezpiecznie!

- Ma pan na myśli Indian? - spytała Roberta z niepokojem w głosie, przypomniawszy sobie obawy pani Bridges.

- Tak, oczywiście Indian, lecz nie tylko - odparł wzruszając ramionami urzędnik. - Ostatnio coraz częściej można było usłyszeć o zwalczających się wzajemnie gangach kolejowych, które nie wahają się nawet napadać na pociągi!

- Chyba w tej sytuacji niezbyt wiele osób decyduje się na tak niebezpieczną podróż? - spytała niepewnie Roberta.

- Na szczęście napady bandytów i Indian należą już do przeszłości - wyjaśnił beztrąsko urzędnik. - Rząd uporał się z tym problemem. Może pani spać spokojnie przez całą drogę, nie usłyszycie pani ani jednego wystrzału!

Roześmiawszy się, jak gdyby to, co powiedział, było wyjątkowo dowcipnym żartem, zaproponował, że pożyczy Robertce kilka książek. Dziewczyna dowiedziała się z nich, jak to współzawodnictwo między konkurującymi ze sobą właścicielami wielkich spółek kolejowych doprowadziło do kilku prawdziwych bitew, w których każda strona odniosła poważne straty. W wyniku ostrej rywalizacji wielu ludzi zostało rannych i zabitych.

Czując narastający niepokój przed czekającą ją podróżą, dziewczyna z dnia na dzień uświadamiała sobie coraz dobitniej, że nie może w nieskończoność przedłużać swego pobytu w Nowym Orleanie. Ciągłe czuła na sobie aż nazbyt zaciekawione spojrzenia i słyszała szepty za swoimi plecami. Nawet tutaj, w wolnej od europejskich przesądów Ameryce, młoda, niezamężna kobieta nie mogła mieszkać zbyt długo sama, nie narażając się na plotki i niepochlebne komentarze. Teraz dopiero zaczynała rozumieć, co mieli na myśli jej rodzice mówiąc, że jest zbyt ładna i zbyt młoda, aby sama decydować o sobie.

- Powrócę tu jeszcze kiedyś! - szeptała rzucając z okna pociągu pożegnalne spojrzenie na Missisipi i leżące nad nią miasto, które głęboko zapadło w jej serce.

Przez pierwsze dni podróży Roberta studiowała pilnie mapę śledząc drogę pociągu przez Luizjanę, a potem pustynne tereny Teksasu. Jednak miarowy stukot kół i monotonia przesuwanego się za oknami krajobrazu sprawiły, że w końcu straciła orientację. Miała wrażenie, jak gdyby pociąg w drodze między dwoma punktami na mapie przemierzał ogromne połacie bezludnego i pustego kraju, w którym wszyscy zdawali się tracić powoli swoją tożsamość.

Każdy kolejny dzień podróży niczym nie różnił się od poprzedniego. Roberta spała, jadła podawane posiłki i spędzała długie godziny na rozmyśleniach. Jedną z kobiet należących do obsługi pociągu, tęga Murzynka, darzyła ją szczególną troskliwością, odnosząc się do dziewczyny jak do zagubionego dziecka, które wymaga opieki niani. Czasami Roberta rozmawiała z innymi pasażerami. Byli oni na ogół sporo od niej starsi i na szczęście nie wydawali się poruszeni zbyt faktem, że tak młoda osoba udaje się w daleką, pełną niebezpieczeństw podróż.

Wagony pierwszej klasy były pilnie strzeżone przez specjalnych strażników. Wyglądając przez okno na stacjach Roberta domyśliła się, że w pozostałej części pociągu panuje zupełnie inna atmosfera. Podczas postojów wielu pasażerów przechadzało się w pobliżu pociągu, aby rozprostować nogi i odetchnąć świeżym powietrzem. Wśród nich można było dostrzec, wysokich, postawnych mężczyzn w dużych białych kapeluszach zwanych tu sombrero, uzbrojonych w pistolety tkwiące w skórzanych, nabijanych srebrem pasach. Od współpasażerów Roberta dowiedziała się, że ludzie ci są mieszkańcami stanu Teksas. Przypatrywała się im z nietajonym zaciekawieniem i lekką obawą.

„Jak to dobrze - myślała czasem - że przedziały pierwszej klasy są oddzielone od reszty pociągu...”

Szczególnie jeden z podróżujących pociągiem mężczyzn zwrócił uwagę Roberty. Widywała go niemal na każdym postoju, jak miarowym krokiem przechadza się samotnie wzdłuż wagonów. Mimo iż jego wzrost, ubiór i postawa nie różniły go od innych, dziewczyna była pewna, że nie jest on rodowitym Teksaszczykiem. Cechowała go niezwykła subtelność rysów twarzy. W całej sylwetce i sposobie poruszania się nie było nic pospolitego, mimo iż jak wszyscy inni opalony był na brąz i ubrany z typową dla mieszkańców Teksasu nonszalancją. Na każdej stacji spacerował pogrążony w rozmyślaniach, starając się trzymać jak najdalej od hałaśliwej cizby innych pasażerów. Jednak nawet wtedy, gdy stał pośród tłumu współtowarzyszy podróży, jego sylwetka zwracała uwagę. Czasami Robertcie wydawało się, że potrafi domyślić się jego obecności w pobliżu, wcale nie patrząc w tamtą stronę. Zastanawiała się, jak zareagowałby ów tajemniczy nieznajomy, gdyby spróbowała z nim porozmawiać. Zaskoczyła ją śmiałość tych myśli, gdyż wiedziała, że nawet tu, w Ameryce, niedopuszczalne było, aby

młoda niezamężna kobieta zachowywała się w sposób urągający wszelkim konwenansom.

W końcu, kiedy już Roberta była niemal pewna, że podróż trwa całe wieki, pociąg przybył do Kalifornii. W jednej z książek, które dostała w biurze kolejowym w Nowym Orleanie, Roberta wyczytała, że stan ten ma 770 mil długości i 250 szerokości i że znajdują się tu największe na świecie winnice, sady i spichlerze. Dowiedziała się również o czasach „gorączki złota”, która ogarnęła Kalifornię w roku 1849, oraz o olbrzymich złożach srebra, platyny i plutonu, odkrytych w tej krainie, wyjątkowo hojnie obdarzonej przez przyrodę różnymi bogactwami.

„Jak dobrze postąpiła ciotka Margaret, wybierając to miejsce na swoją ojczyznę” - myślała Roberta.

W podróży niewiele miała czasu, aby spróbować odtworzyć w pamięci to, co wiedziała o siostrze swojego ojca. Wszystko, cokolwiek słyszała o niej w domu w Anglii, nacechowane było pełną niechęcią dezaprobatą.

Kiedy przyszedł czas towarzyskiego debiutu lady Margaret Worth, wielu dobrze urodzonych młodzieńców prosiło ją o rękę. Ona jednak odrzucała ich kolejno, jednego po drugim. Wydawało się, że jazda konna i polowania są jej jedyną namiętnością i wyłącznym celem w życiu. Jej ojciec jednak z pobłażaniem traktował zachowanie córki i nawet nagabywany przez swoją żonę, nie miał zamiaru zmuszać Margaret do zawarcia małżeństwa. Zbyt wiele przyjemności sprawiało mu jej towarzystwo w domu i na wspólnych wyprawach konnych, aby zechciał z niego łatwo zrezygnować. Jego żona, hrabina Worth, uznała w końcu, że przeznaczeniem najstarszej córki jest zostać starą panną. Nie mogąc się z tym pogodzić, wyrażała swoje niezadowolenie na każdym kroku. Lady Margaret zdawała się nie brać sobie do serca tych wymówek, wciąż prowadząc tryb życia zgodny ze swymi

upodobaniami. I wtedy zdarzyło się coś, czego sama nigdy nie przewidywała. Spotkała mężczyznę, w którym zakochała się od pierwszego wejrzenia.

Od dawna było już ustalonym zwyczajem, że raz do roku hrabia Wentworth wraz z małżonką gościli u siebie proboszczów i pastorów wszystkich kościołów znajdujących się na terenie dóbr rodowych. Już od wieków przyjęło się, że każdy kolejny hrabia Wentworth przejmował opiekę finansową nad parafiami.

Nikt w rodzinie nie lubił tych spotkań, traktując je raczej jako niemiły obowiązek. Hrabina narzekała, że odświętne ubrania pastorów czuć naftaliną, a jej mąż pokpiwał po cichu z żon duchownych, które na ogół były tak onieśmielone i skrepowane podczas wizyty, że nie podejmowały takiej rozmowy. Zaproszony na jedno z takich spotkań proboszcz miejscowego kościoła zapytał, czy może przyprowadzić ze sobą swego gościa, młodego pastora - kaznodzieję z Ameryki. Księżna zgodziła się na to, aczkolwiek niechętnie, i w ten sposób Clint Dulaine pojawił się w Worth Park.

Przy kolacji posadzono go obok lady Margaret. Wszyscy uczestnicy przyjęcia wspominali później, że dziewczyna była niezwykle ożywiona i wyglądała tego wieczoru wyjątkowo ładnie. Niektórzy zwrócili uwagę na jej rumieńce i błyszczące oczy oraz na to, że z ogromną uwagą przysłuchiwała się słowom młodego Amerykanina.

Clint Dulaine miał gościć u proboszcza przez dwa dni. Pozostał u niego dwa tygodnie, a gdy wyjechał, zniknęła także lady Margaret. Pastor poprosił ją o rękę cztery dni po przyjęciu, na którym się poznali. Wieść o tym, że córka pragnie poślubić amerykańskiego kaznodzieję przeraziła hrabiego tak dalece, że zabronił jej kategorycznie nawet spotykać się z tym człowiekiem.

- Żaden księżulo nie wejdzie do mojej rodziny! - grzmiał.  
- A już na pewno nie ten przybędą zza oceanu! Mam nadzieję, że rozumiesz, iż od tej chwili nie wolno ci zamienić z nim ani słowa. Jeśli pojawi się tutaj, każę służbie wyrzucić go za drzwi!

Margaret milczała sprawiając wrażenie, że gotowa jest podporządkować się woli ojca. Jednak już nazajutrz spotkała się potajemnie z Clintem w lesie. W kilka dni później wyjechała pozostawiając na stoliku w swej sypialni krótki, lakoniczny list. Nikt nie domyślał się, co planuje, gdy poprzedniego wieczoru jak zwykle mówiła dobranoc rodzicom. Gdyby byli bardziej spostrzegawczy, zauważyliby niezwykle ożywienie na jej twarzy, a starannie skrywany wyraz oczu mógłby wzbudzić ich podejrzenia. Dopiero gdy zniknęła bez śladu, uświadomili sobie, że zawsze wydawała się inna niż pozostali członkowie rodziny. Od tej pory przyłgnęło do niej miano „czarnej owcy”. W wiele lat później brat Margaret, ojciec Roberta, opuścił Worth Park w bardzo podobny sposób.

Margaret i Clint wzięli ślub cywilny w urzędzie miejskim portowego miasta, z którego wyruszyli w podróż przez Atlantyk. Dopiero będąc na pokładzie statku młoda pani Dulaine zdecydowała się napisać do ojca. Zawiadamiała go, że jest bardzo szczęśliwa i z radością w sercu oczekuje, co przyniesie jej przyszłość. Przeczytawszy list, hrabia Wentworth wzruszył ramionami mówiąc, że i tak nie ma wpływu na to, co się teraz stanie. W głębi serca czuł jednak, że będzie mu brakowało Margaret podczas polowań, zauważył też, że tęskniły za nią jej ulubione konie.

Wracając wspomnieniami do swego dzieciństwa, Roberta przypominała sobie, że mówiąc o swej najstarszej córce babka używała zawsze tonu pełnego dezaprobaty i tajonego gniewu.



Po latach wypowiadała się w ten sam sposób i o swym najstarszym synu. '

„Ciotka Margaret musi być niezwykle odważną osobą - myślała nieraz Roberta. - Na pewno zrozumie, dlaczego nie chcę wracać do domu babki i wysłuchiwać' tych wszystkich okropnych rzeczy, które opowiada o ojcu!"

Późnym popołudniem pociąg wjechał na niewielką stację, o której mówiono Robercie, że znajduje się najbliżej miasteczka Blue River. Zeskoczywszy z wysokich stopni wagonu wprost na rozpaloną słońcem ziemię, Roberta rozejrzała się wokoło. Nikt na nią nie czekał. Nie czuła się zbyt zawiedziona tym faktem, ponieważ spodziewała się tego, iż wyprzedzi list, który wysłała do ciotki. W czasie podróży przyszło jej wprawdzie do głowy, że mogłaby zatelegrafować do państwa Dulaine. Nie uczyniła tego jednak, gdyż trudno byłoby w kilku słowach wyjaśnić, dlaczego zdecydowała się na podróż do Ameryki.

Udało się jej znaleźć przewoźnika pocztowego, który zgodził się zabrać ją wraz z bagażem do Blue River. Po spojrzeniach, które rzucał ukradkiem ów człowiek, Roberta zorientowała się, że jej przyjazd będzie nie lada sensacją w małym kalifornijskim miasteczku. Pocztylion zaproponował, by usiadła obok niego na koźle, jednak po załadowaniu worków z listami oraz sporej liczby niechlujnie powiązanych sznurami paczek okazało się, że niespodziewana pasażerka może usiąść jedynie na ławce w powozie. Roberta ucieszyła się z tego, gdyż obawiała się, że po drodze woźnica na pewno zarzucałby ją mnóstwem pytań. Przednią ławkę powozu zajmowała starsza, bardzo gruba kobieta, która była tak wyczerpana podróżą, że nie miała ochoty na żadne pogawędki. Roberta usadowiła się na tylnym siedzeniu, wcisnąwszy się między worki z listami, a dwa kufry stanowiące jej własny bagaż. Tuż obok niej stała klatka z

drobniem, w której dwie kury oraz kogut nie ustawały w narzekaniach na swój los przez całą drogę ze stacji do Blue River. Ze swego miejsca dziewczyna mogła jednak obserwować krajobraz, co sprawiło, że wkrótce zapomniała o wszelkich niewygodach.

Nadszedł właśnie czas kwitnienia i niemal wszystkie mijane krzewy i drzewa, których większości nazw Roberta nie znała, obsypane były barwnym kwieciem. Po obu stronach drogi ciągnęły się zaorane pola, dopiero co zazielenione młodą runią. Wszystko wokół wyglądało niezwykle świeżo, wiosennie i bardzo malowniczo.

„To musi być bardzo szczęśliwy kraj” - myślała Roberta chłonąc oczyma wspaniałe widoki.

Dziewczyna czuła jednak narastający stopniowo niepokój. Oto już wkrótce miała stanąć przed krewną, której prawie nie znała i której reakcji na swój nagły przyjazd nie mogła być całkiem pewna. Mogło się przecież zdarzyć, że ciotka Margaret nie zechce gościć jej w swoim domu, i Robertcie nie pozostanie nic innego, jak tylko powrócić do Anglii. Dziewczyna powtarzała to sobie setki razy w czasie całej swej długiej podróży. Na wypadek, gdyby miało spotkać ją rozczarowanie, pragnęła stawić mu czoło z godnością. Obawiając się coraz bardziej mającego nastąpić za chwilę spotkania, Roberta modliła się gorąco w duchu:

„Proszę cię, ojcze, gdziekolwiek teraz jesteś, spraw, aby ciotka przyjęła mnie do siebie! Za nic na świecie nie chcę wracać do Anglii!”

Kiedy tak rozmawiała w myślach z ojcem, w oddali ukazały się dachy Blue River. Pomiedzy nimi widniała dość szpetna wieża nowo wybudowanego kościoła. Niektóre domy wyglądały całkiem dostatnio, jednak większość zabudowań stanowiły chaty byle jak sklecone na niewielkich kawałkach

gruntu. Tuż za domami połyskiwała rzeka, od której miejscowość wzięła swoją nazwę.

Jeszcze na stacji kolejowej Roberta powiedziała pocztylionowi, że celem jej podróży jest dom zwany „Przystanią”, taki adres widniał bowiem na odwrocie koperty, w której nadszedł ostatni list od ciotki Margaret. Widząc, że powóz zbliża się do kościoła, dziewczyna była pewna, iż państwo Dulaine mieszkają w jego pobliżu, a samą świątynię wybudowano dzięki staraniom pastora. W domu babki nie mówiło się nigdy o Clincie inaczej jak „ten amerykański kaznodzieja”. Roberta wyobrażała więc sobie, że należy on do tych duchownych, którzy traktując powinność szerzenia wiary z fanatyzmem godnym pierwszych chrześcijan, przemierzają kraj wzdłuż i wszerz głosząc słowo Boże każdemu, kto zechce ich wysłuchać. Czytała o tym, że ludzie tacy poświęcają całe swoje życie nawracaniu innych i kierowaniu ich na dobrą drogę.

„Będąc żoną takiego człowieka, ciotka Margaret z pewnością cieszy się powszechnym szacunkiem” - myślała Roberta.

Nie mogła tylko pojąć, dlaczego hrabina nigdy nie przebaczyła swojej córce nagłej ucieczki i nawet słowem nie wspomniała, że kiedyś pozwoli jej wrócić na łono rodziny. Roberta zawsze dziwiła się temu, że babka potrafiła mówić o Margaret tylko same złe rzeczy, jak gdyby z chwilą jej zniknięcia z domu uznała, że nie ma już córki. Prawdopodobnie starała się postępować zgodnie z przyjętym wśród arystokracji, niepisanym kodeksem, według którego ten, kto sprzeciwił się przyjętym konwenansom, nie mógł już dłużej należeć do swej rodziny.

„Obawiam się, że ja również zostałam uznana przez nich za «czarną owcę»” - rozważała Roberta w duchu.

Powóz zatrzymał się gwałtownie przed niewielkim, szarym domkiem zbudowanym z drewnianych bali, o dachu krytym gontem. Podobnie jak w większości tego typu budowli, do drzwi frontowych wchodziło się po kilku schodkach, przez niezbyt duży ganek. Roberta zeskoczyła z powozu i czując, że serce bije jej jak szalone, weszła na wąską, żwirową ścieżkę prowadzącą do wejścia. Pocztylion kroczył tuż za nią niosąc zdjęte z powozu kufry. Kiedy wszedłszy po drewnianych schodkach znaleźli się u drzwi frontowych, postawił z hukiem bagaże, przyjął półdolarowy napiwek i bez słowa wrócił do powozu, nie zwracając uwagi na podziękowania Roberty. Gdyby dziewczyna nie była tak przejęta tym, co ma zdarzyć się za chwilę, być może pośpiech, z jakim wycofał się ten człowiek, oraz jego nagłe milczenie wzbudziłyby jej podejrzenia. Jednak ona myślała tylko o tym, że oto stoi u celu swojej podróży.

W drzwiach frontowych znajdowały się dwie matowe szybki, toteż nie mogła zajrzeć do środka. Nigdzie nie widać było dzwonka ani nawet kołatki. Roberta uniosła więc rękę, aby zastukać w jedną z szybek. Nagle z wnętrza domu dobiegł ją przeraźliwy krzyk dziecka. Po chwili dźwięk ten powtórzył się, jeszcze głośniejszy i bardziej przenikliwy niż poprzednio. Roberta zaprzestała pukania, ponieważ było oczywiste, że nikt go nie usłyszy w tym hałasie. Krzyk rozległ się ponownie i brzmiał tak rozpaczliwie, iż dziewczyna niewiele myśląc pchnęła drzwi i weszła do środka. Działała zupełnie instynktownie będąc pewna, że krzyczące dziecko potrzebuje natychmiastowej pomocy.

Znajdowała się teraz w mrocznym, wąskim hallu, z którego prowadziły w dół strome drewniane schodki. Krzyk dobiegał jednak z pomieszczenia położonego naprzeciw drzwi frontowych. Roberta odniosła wrażenie, że jest to kuchnia. Skoro już zdecydowała się wejść, nie było sensu zawracać.

Szybkim krokiem podeszła do drzwi owego pomieszczenia i otworzyła. Okazało się, że przecucie jej nie myliło. Była to istotnie dość duża kuchnia o dwóch oknach, przez które wpadały do środka promienie zachodzącego słońca. Pośrodku niej siedział na krześle brodaty mężczyzna i bił trzciniową różgą leżącego na jego kolanach małego chłopca. Uderzał z całej siły, toteż za każdym razem dziecko krzyczało coraz bardziej rozpaczliwie. Twarz chłopczyka zalana była łzami, a jego szeroko otwarte oczy wyrażały jedynie ogromny strach i ból. Wydawał się taki mały i kruchy wobec potężnie zbudowanego mężczyzny, że Roberta podbiegła do nich i głosem, którego ostrość zadziwiła nawet ją samą, krzyknęła:

- Proszę przestać! Proszę natychmiast przestać!

W jednej chwili zapadła cisza. Mężczyzna zamarł z ręką uniesioną w górę, a chłopiec zamilkł patrząc na nią, jakby nie wierzył własnym oczom. Roberta dodała już nieco spokojniej:

- Czy nie wydaje się panu, że to zbyt sroga kara dla takiego chłopca?

- Kim pani jest i czego tu szuka? - warknął brodacz opryskliwie.

Pomimo niegrzecznego tonu Roberta uznała, że człowiek ten mówi jak ktoś, kto odebrał pewne wykształcenie. W pierwszej chwili wydawało się jej, że ma do czynienia ze służącym.

Jakby uznawszy, że wykonanie wyroku zostało na razie zawieszony, chłopiec zsunął się z kolan swego prześladowcy i pocierając rękami obolałą pupę stanął pod ścianą przyglądając się Robertce z zaciekawieniem, mimo iż łzy wciąż płynęły mu po policzkach. Było to bardzo ładne dziecko o złotych lokach i dużych niebieskich oczach. Jego sylwetka wydawała się jednak niezwykle szczupłą, a twarz - nadmiernie blada.

Rozpierając się na krześle, mężczyzna oparł dłonie na kolanach, nie wypuszczając z ręki różgi.

- Pytałem panią, kim pani jest i czego tu szuka?! - powiedział.

- Szukam mojej ciotki, lady Margaret Dulaine - odparła Roberta.

- Tutaj jej pani nie znajdzie! - odparł tamten z satysfakcją.

- A... gdzie mogę jej szukać? - spytała dziewczyna trochę mniej pewnym głosem.

- Gdzie? Na cmentarzu tuż przy kościele, moja panno! - oświadczył brodacz przyglądając się jej uważnie.

Przez chwilę Roberta patrzyła na niego oniemiała.

- Czy to oznacza, że lady Margaret... nie żyje? - szepnęła w końcu, czując jak nogi uginają się pod nią.

- Tak jest. Nie żyje już od pół roku! - odrzekł twardo mężczyzna.

- A jej mąż, pan Dulaine?

- Wyjechał. Ja przyszedłem na jego miejsce - oznajmił brodacz podnosząc się z krzesła.

- Wprost nie mogę w to uwierzyć... - szepnęła Roberta czując, że robi jej się słabo. Chwiejnym krokiem podeszła do najbliższego krzesła i opadła na nie bez sił.

Podejmując swoją długą podróż obawiała się, że ciotka Margaret mogła opuścić już Blue River i przenieść się do innej miejscowości. W takim przypadku dziewczyna zdecydowana była podążyć w ślad za nią. Jednak nigdy nie przyszło jej na myśl, że pani Dulaine może umrzeć.

- Kim pani jest?

To bezceremonialne pytanie zabrzmiało tak nagle, jak wystrzał z pistoletu.

- Jestem... bratanicą lady Margaret - odparła Roberta niepewnie. - Moje nazwisko brzmi: lady Roberta Worth.

- W tym kraju nie używamy takich tytułów - oświadczył brodacz drwiąco.

Zdjął z poręczy krzesła czarny surdut, jaki w Ameryce noszą duszpasterze, i spoglądając na dziewczynę z wyższością, zaczął go zakładać. Potem zwrócił się do chłopca, który wciąż stał pod ścianą, patrząc jak urzeczony na Robertę:

- Uważaj, ty mały hultaju! Jeśli jeszcze raz przyłapię cię na kradzieży jedzenia, dostaniesz resztę tego, czego dzisiaj udało ci się uniknąć!

Chłopczyk odetchnął głęboko i bez słowa rzucił się do drzwi, które po chwili zatrzasnęły się za nim z hukiem. Mężczyzna w surducie zmarszczył srogo brwi, lecz nic już nie powiedział. Zwróciwszy się do wciąż siedzącej na krześle Roberty, przyglądał się jej przez chwilę, po czym podszedł do kredensu, nalał z dzbanka wody do szklanki i wręczył ją dziewczynie bez słowa.

- Dziękuję panu - powiedziała Roberta odnosząc dziwne wrażenie, że jej własny głos dobiega do niej jak gdyby z wielkiej oddali.

Woda była przyjemnie chłodna. Po kilku łykach dziewczyna poczuła, że powoli opuszcza ją uczucie, iż podłoga pomieszczenia kołysze się jak pokład statku, a ciemne płyty przestają gęstnieć przed jej oczami.

Brodacz obserwował ją pilnie, a gdy uznał, że oprzytomniała już nieco, zapytał:

- Skąd pani przyjechała?

- Z Algieru. Mój ojciec, hrabia Wentworth, umierając przykazał mi, abym udała się do ciotki Margaret. Oczywiście nie wiedział nic o tym, że ona już nie żyje.

- Z Algieru! - wykrzyknął tamten patrząc na Robertę zaskoczony. Widać było, że słowa dziewczyny zrobiły na nim wrażenie,

- Pan jest... tutejszym pastorem? - spytała Roberta.

- Jestem proboszczem parafii Blue River, moja panno - odparł brodacz z godnością, po czym dodał twardym tonem: - Co pani zamierza teraz zrobić?

Rzuciwszy krótkie spojrzenie na jego nachmurzoną twarz, Roberta zrozumiała, że jest to ostatni człowiek, od którego spodziewać by się mogła współczucia.

- Przede wszystkim muszę poszukać jakiegoś miejsca, gdzie mogłaby dzisiaj przenocować - odparła.

Zapadła chwila milczenia.

- Może pani zostać tutaj - oznajmił pastor z ociąganiem.

- Dziękuję. To bardzo uprzejmie z pana...

- A co pani zamierza robić dalej? - przerwał jej bezceremonialnie.

- Jeszcze nie zastanawiałam się nad tym - odpowiedziała cicho Roberta. - Myślę jednak, że... skoro ciotka Margaret nie żyje i nie wiem, gdzie szukać pana Dulaine, jedynym wyjściem będzie powrót do Anglii.

Znów zapadła cisza. Brodacz wydawał się ważyć coś w myślach.

- Czy potrafi pani pracować? - spytał w końcu patrząc na Robertę z powątpiewaniem.

- Pracować? - powtórzyła zaskoczona.

- No... gotować, sprzątać, dbać o dom - rzucił szorstko.

Roberta już otworzyła usta, aby odpowiedzieć z oburzeniem, że ma dość pieniędzy, aby nie być zmuszoną do wykonywania takiej pracy, gdy nagle jej wzrok padł na jedno z okien. Za szybą dojrzała jasną główkę chłopca, który zakradłszy się od tyłu domu, przyglądał się jej ukradkiem. Z zalaną łzami twarzą i jasnymi włosami przypominał małego, nieszczęśliwego elfa. W jego ogromnych błękitnych oczach oprócz rozpacz i strachu wyczytać można było teraz także i nadzieję. Nie spuszczał Roberty z oka ani na chwilę.



Dziewczyna przypomniała sobie, że głównym powodem lania, którego stała się świadkiem, była kradzież jedzenia. Jednak chłopczyk wcale nie sprawiał wrażenia łasucha, który zakrada się do kuchni z łakomstwa. Jego cienka szyja oraz niezwykle szczupłe ramionka i zapadnięte policzki świadczyły raczej o wyraźny niedożywieniu.

Niewiele myśląc zadała pytanie, które cisnęło się jej na usta:

- Kim jest ten chłopiec, którego karał pan tak surowo?

Pastor drgnął, jak gdyby te słowa dotknęły go do głębi. Roberta aż zamarła oczekując ostrej reprimendy za wtykanie nosa w nie swoje sprawy.

- Ciotka pani adoptowała tego małego - burknął pastor wzruszając ramionami. - Jego rodzice zginęli w wypadku kolejowym, który zdarzył się niedaleko Blue River.

- Adoptowała go! - wykrzyknęła Roberta ze zdumieniem.

- Dlaczego więc pan Dulaine nie zabrał go ze sobą?

- Twierdził, że nie może wziąć chłopca do siebie, dopóki nie będzie miał domu - powiedział brodac, a widząc, że Roberta czeka na dalsze wyjaśnienia, dodał: - Wrócił znów do wędrownego głoszenia kazań. Bez przerwy przenosi się z miejsca na miejsce. Według mnie postępuje głupio, ale może w ten właśnie sposób próbuje zapomnieć?

- Ma pan na myśli to, że chce zapomnieć o bolesnej stracie, jaką była dla niego śmierć żony?

- Wszystko mogę zrozumieć - odparł pastor rozkładając ręce - mogli się do siebie przywiązać będąc od tylu lat małżeństwem. Ale czy rozsądny człowiek tak robi? Jak można rzucić dom, całą parafię tylko po to, aby błąkać się bez celu nie wiadomo gdzie?

- I teraz pan opiekuje się chłopcem?

- Gdybym był bardziej rozsądny, oddałbym go do sierocińca, gdzie jest jego miejsce - odparł gospodarz domu. -

Ten dzieciak bez przerwy kłamie albo coś kradnie. Wszystko, co mogę dla niego zrobić, to próbować wytrzepać mu tego diabła z za skóry!

Roberta zacisnęła wargi. Za wszelką cenę pragnęła powstrzymać słowa, które mimo woli cisnęły jej się na usta. W końcu powiedziała spokojnie:

- Pytał pan, czy potrafię pracować. Odpowiem więc, że w swoim czasie uważano mnie za dobrą kucharkę.

Mówiąc to przypomniwała sobie chwile spędzane w zaimprovizowanej kuchni podczas ostatnich kilku tygodni afrykańskiej wyprawy. Francine, która jak większość Francuzek miała gotowanie we krwi, nauczyła Robertę, jak przyrządzać ulubione potrawy jej ojca jeszcze z czasów gdy mieszkał w Paryżu. Roberta lubiła asystować przy przygotowaniu posiłków i po kilku takich lekcjach potrafiła już sama komponować rozmaite dania, mając do dyspozycji jedynie prowiant, jaki wieźli ze sobą, lub owoce i warzywa, które mogli zdobyć po drodze.

- Tak, umiem nieźle gotować - stwierdziła głośno pewniejszym już tonem.

- To dobrze - odparł pastor. - W takim razie zatrudniam panią jako gospozię. Proszę mi wierzyć, to się bardziej pani opłaci niż wynajmowanie mieszkania. O wynagrodzeniu pomówimy później, kiedy przekonam się, co jest warta pani praca!

Sposób, w jaki wypowiadał te słowa, oraz przebiegły błysk w oczach, którego nie udało mu się ukryć, upewniły Robertę w podejrzeniu, że nie zamierza zapłacić jej nigdy. Dziewczyna zaczynała rozumieć, dlaczego chłopczyk wyglądał na zagłodzonego oraz jaka była przyczyna kradzieży popełnianych przez niego w kuchni.

- Jeśli pokaże mi pan teraz, gdzie mam spać, i pomoże przynieść moje bagaże z werandy - powiedziała energicznie

podnosząc się z krzesła - zabiorę się od razu do przygotowania kolacji!

Mówiąc to dostrzegła na twarzy pastora wyraz nietajonej satysfakcji i wiedziała już, że źródłem zadowolenia tego człowieka było przekonanie, iż w bardzo sprytny sposób udało mu się właśnie pozyskać darmową siłę roboczą.

### ROZDZIAŁ 3

- Nie wrócę dziś na lunch! - rzucił pastor w stronę kuchni i zszedłszy po schodkach werandy, skierował się w stronę kościoła.

Roberta odetchnęła z ulgą. Wydawało się jej, że przebywając z tym człowiekiem, z każdą chwilą nabiera do niego coraz głębszej niechęci. Największą trudność sprawiała jej konieczność trzymania języka za zębami, gdy człowiek ten wygłaszał opinie sprzeczne ze wszystkim, w co wierzyła dotychczas. Zwłaszcza jego zachowanie wobec chłopca nacechowane było wyjątkową podłością i okrucieństwem. Mały miał na imię Daniel.

- Mama nazywała mnie Danny - powiedział Robercie, kiedy zawołała go na kolację wczorajszego wieczoru.

- Jeśli chcesz, też będę się tak do ciebie zwracać - odpowiedziała. - A ty mów do mnie: ciociu Roberto.

- To ładne imię - uśmiechnął się mały.

- To miło, że ci się podoba.

Zauważywszy, że chłopiec nie może się powstrzymać od zerkania w stronę garnków stojących na kuchni, Roberta wyjęła z pieca gorący jeszcze placuszek kukurydziany i podała mu.

- To... dla mnie? - spytał Danny z niedowierzaniem.

- Tak - odparła. - Możesz go tak zjeść lub posmarować masłem albo dżemem.

Wydawszy okrzyk radości, który bardzo zadziwił Robertę, chłopiec zabrał się do jedzenia, nie czekając na masło ani na dżem. Sądząc po łapczywości, z jaką odgryzał kolejne kęsy, musiał być naprawdę bardzo głodny. Starając się nie obserwować go zbyt natarczywie, Roberta zauważyła jednak, że po zjedzeniu trzech czwartych, pozostałą część wsunął sobie ukradkiem do kieszeni. Dziewczyna zajęła się gotowaniem myśląc sobie, że takie zachowanie dziecka jest

całkiem usprawiedliwione wobec niemal pustej spiżarni, jaką zastała w tym domu. Roberta przygotowała na kolację bardzo apetyczne danie mięsne z ziemniakami, a uznawszy, że może to okazać się niewystarczające, zdecydowała podać najpierw zupę jarzynową.

Kiedy postawiła przed pastorem parującą wazę, ten zapytał:

- Czy to wszystko, co mamy dziś na kolację?

- Oczywiście, że nie! - pospieszyła z wyjaśnieniem dziewczyna. - Będzie jeszcze potrawa mięsna.

- Dwa dania! - wykrzyknął pastor. - Czy nie przesadza pani nieco?

- W spiżarni nie było zbyt wiele zapasów - odparła Roberta. - Wydaje mi się, że ktoś tak potężnie zbudowany jak pan wymaga sutego posiłku!

Pastor gładko przełknął to pochlebstwo, po czym oświadczył łaskawszym już tonem:

- Oczywiście, muszę się dobrze odżywiać. Powinienem jednak zachować ostrożność. Czasami miewam kłopoty z sercem.

Kiedy kolacja dobiegała końca, Roberta była już pewna, że jeżeli pastor w ogóle ma serce, to nie ma w nim miejsca na przyjazne uczucia w stosunku do bliźnich. Była wprost wstrząśnięta widząc, jak niewiele ten człowiek nałożył Danny'emu na talerz. Chłopiec dostał mały kęs mięsa i dwie łyżki ziemniaków. Jej porcja była nieco większa. Resztę zjadł pastor.

Sądząc naiwnie, że przygotowała jednak zbyt mało jedzenia, i widząc, że Danny jest głodny, Roberta pospieszyła do kuchni, gdzie przyrządziła naprędce grzanki z serem na deser. Na ich widok pastor okazał zdziwienie, lecz zjadł wszystko, rzucając pełne niechęci spojrzenie na chłopca, któremu Roberta podała taką samą porcję. Do końca posiłku

nie odezwał się słowem. Dopiero, gdy dziewczyna sprzątnęła talerze, zwrócił się do Danny'ego groźnym tonem:

- Pamiętaj, Danielu, jeśli jeszcze raz przyłapię cię na tym, że kłamiesz lub kradniesz, nie tylko spuszczę ci łanie ale też podejmę kroki, aby oddać cię do sierocińca. Tam już nauczą cię moresu!

Roberta dostrzegła, że Danny zadrżał słysząc te słowa, i domyśliła się, że nie pierwszy raz straszono go przytułkiem. Jak skutecznie podziałały te słowa, widać było po tym, że jego policzki stały się jeszcze bledsze.

Pastor wstał od stołu i bez słowa udał się do bawialni. Roberta podeszła do zlewu, aby pozmywać po kolacji. Na jej talerzu została niedojedzona grzanka, którą dziewczyna wrzuciła do kubła z odpadkami, po czym odwróciła się, aby zdjąć ze stołu obrus. W tym samym momencie kątem oka dostrzegła Danny'ego, jak ukradkiem wyjmując kawałek grzanki z kubła i chowa do kieszeni. Następnie nie czekając chłopiec wybiegł z kuchni i Roberta dojrzała go biegnącego przez ogród, gdzie rosła spora kępa drzew i bujnych zarośli. Dziewczyna nie miała jeszcze czasu zapoznać się z najbliższym otoczeniem domu, toteż z ciekawością wychyliła się przez okno, aby dojrzeć, gdzie pobiegł Danny.

Chłopiec zniknął bez śladu. Roberta zostawiła w zlewie brudne naczynia, po czym wyszła do ogrodu, nasłuchując uważnie. W pewnej chwili wydało się jej, że słyszy głos Danny'ego. Poruszając się cicho w cienkich pantofelkach, które włożyła do kolacji, dziewczyna podkraśla się w kierunku, gdzie słyszała szepty, i rozchyliła ostrożnie zarośla.

Danny siedział na ziemi przed dużym kudłatym psem, który zjadał właśnie ze smakiem wszystkie zdobyte przez chłopca resztki.

Nie chcąc spłoszyć malca, Roberta ledwie śmiała oddychać, jednak on wyczuł jej obecność. Uniósłszy głowę ujrzał ją wśród zarośli i wydał stłumiony okrzyk przerażenia.

- Uciekaj, Kolumb! Uciekaj! - zawołał do psa, który w mgnieniu oka zniknął w pobliskich zaroślach.

Danny stał bez ruchu patrząc z przerażeniem na Robertę. Dziewczyna przedarła się przez krzewy i stanęła tuż przed nim.

- To twój pies? - spytała, a słysząc, że Danny milczy, dodała: - Bardzo lubię psy. Przywołaj go z powrotem.

- Lubisz... psy? - spytał chłopiec drżącym jeszcze głosem.

- Miałam kiedyś psa - odparła Roberta. - To było dawno temu, kiedy jeszcze mieszkałam w Anglii. Bardzo go kochałam.

Danny milczał przez chwilę, najwyraźniej ważąc coś w myślach.

- Gdyby pan pastor zobaczył Kolumba... - zaczął niepewnie. - On... powiedział, że go zastrzeli!

Roberta usiadła na ziemi tuż obok Danny'ego.

- Jestem pewna, że nie mówił tego na serio! - powiedziała.

- Ależ tak! - wykrzyknął chłopiec. - Zrobi to na pewno! Dlatego ukrywam Kolumba... tutaj.

Spojrzał na nią z nagłym przestraszaniem w oczach.

- Nie powiesz mu o tym? - spytał cicho.

- Pewnie, że nie - uśmiechnęła się Roberta. - To będzie nasza tajemnica. A teraz przywołaj psa. Chcę go poznać.

Danny zawahał się przez chwilę, jakby obawiając się, że może to być podstęp z jej strony. Potem gwizdnął cicho i pies pojawił się wśród zarośli tak samo szybko, jak zniknął.

Był to mieszaniec z głową spaniela i puszystym, długim ogonem. Jego zmierzwiona, pełna patyków i nasion sierść świadczyła o tym, że od dłuższego już czasu mieszkał pod

krzakami. Jednak wyraz jego mądrych, brązowych oczu oraz sposób, w jaki powitał Danny'ego, świadczyły o wielkiej miłości i przywiązaniu, jakimi darzył chłopca.

- To jest Kolumb - powiedział Danny.

- Dlaczego go tak nazwałeś?

- Moja mama mówiła, że od urodzenia miał charakter wielkiego odkrywcy. Zupełnie jak Krzysztof Kolumb!

- W takim razie rzeczywiście nadałeś mu właściwe imię - oświadczyła Roberta z powagą.

- Mama pozwalała mu spać w moim łóżku - ciągnął dalej Danny. - Ale pan pastor nienawidzi psów. Wygonił Kolumba i krzychał, żeby nie pokazywał się tu więcej.

Roberta zacisnęła wargi, żeby nie powiedzieć, co myśli o tym okrutnym i samolubnym człowieku. Przyjrząwszy się uważniej psu stwierdziła, że jest bardzo wychudzony. Najwyraźniej cierpiał głód na równi ze swoim panem.

- Powiem ci, co zrobimy, Danny - zwróciła się do chłopca. - Codziennie postaram się przygotować w kuchni porcję jedzenia dla Kolumba. Twoim zadaniem będzie wyniesienie tego z domu tak, aby pastor niczego nie zauważył.

- Jeśli on to wykryje - szepnął Danny drżącym głosem - zabroni ci karmić Kolumba i on umrze z głodu!

Widząc, że chłopiec jest naprawdę przerażony, dziewczyna powiedziała:

- Nie sądzę, żeby był aż tak zły. Musi pamiętać, że pewnego dnia wróci tu twój ojciec.

- Obiecał, że wróci - odrzekł cicho Danny. - Ale może już zapomniał i oddała się od nas coraz bardziej...

- Na pewno nie zapomniał - oświadczyła Roberta z większym przekonaniem w głosie niż w sercu. - I zanim wróci, dopilnuję, abyście obaj dostawali więcej jedzenia: zarówno ty, jak i Kolumb!



Mówiąc to dziękowała w myślach Bogu, że ma przy sobie dostatecznie dużo pieniędzy, aby móc spełnić swą obietnicę. Jeśli zaś okazałoby się, że jest ich za mało, w każdej chwili mogła napisać do banku, w którym ojciec miał swoje konto, z żądaniem przysłania większej sumy. Aby to jednak było możliwe, musiała być pewna, że będzie tutaj wtedy, gdy pieniądze nadejdą.

- Jeśli wrócisz teraz do domu - powiedziała do Danny'ego - postaram się znaleźć jakieś resztki dla Kolumba i jutro urządzimy mu ucztę, z której na pewno będzie zadowolony!

Widząc, jak chłopiec żegna się z psem, obejmując go mocno za szyję, Roberta pomyślała, że Kolumb musi bardzo wiele dla niego znaczyć.

Kiedy wracali razem do domu, dziewczyna skłoniła chłopca, aby opowiedział jej nieco więcej o ciotce Margaret i Clincie Dulaine. Danny nazywał ich „mama” i „tata”, co pozwalało się domyślać, że prawdopodobnie nie pamiętał swych prawdziwych rodziców. Zresztą Roberta nie chciała wypytywać go o to, w jaki sposób znalazł się u pastora Dulaine.

Po przyjeździe do domu przeszukali całą kuchnię w poszukiwaniu jedzenia dla Kolumba, stwierdzając z żalem, że nie ma prawie nic do wyniesienia. Roberta wysłała Danny'ego do łóżka, przygotowawszy mu gorący napój z resztek czekolady, którą kupiła na którejś stacji w czasie podróży pociągiem.

- Teraz już nawet brzuch mnie nie boli - stwierdził mały po wyszczeniu wszystkiego do ostatniej kropli.

- Czy to oznacza, że bolał cię co wieczór? - spytała Roberta.

- Tak i w ciągu dnia też. Czasami aż nie mogłem wytrzymać.

- Musimy więc sprawić, aby nie powtórzyło się to już nigdy więcej - powiedziała Roberta pochylając się nad chłopcem i całując go. Nagle poczuła na szyi uścisk szczupłych, dziecinnych ramion.

- Czy to mama przysłała cię z nieba? - spytał Danny sennym głosem.

- Myślę, że tak właśnie było - odrzekła cicho Roberta czując, jak łzy cisną się jej do oczu.

Następnego dnia miała dowiedzieć się o wiele więcej o ciotce Margaret. Kiedy pastor poszedł do kościoła, postanowiła zapytać Danny'ego, gdzie ma się udać, aby kupić prowianty konieczne do przygotowania lunchu. Nagle drzwi kuchenne otworzyły się pchnięte energiczną dłonią i do środka wkroczyła bez pukania szczupła kobieta w średnim wieku. Ujrawszy Robertę, stanęła jak wryta, gapiąc się na dziewczynę niezbyt przyjaznym wzrokiem. Następnie rozejrzała się uważnie po kuchni i gestem pełnym nietajonej irytacji ujęła się pod boki.

- Dzień dobry pani - powiedziała Roberta po chwili.

- Może on i dobry dla ciebie! - odparła kobieta z gniewem. - A ja właśnie przyszłam zobaczyć, kim jest przybłęda, która pozbawiła mnie pracy!

- Pozbawiła panią pracy? - powtórzyła Roberta ze zdziwieniem.

- Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię! - ofuknęła ją tamta. - Właśnie spotkałam pastora, który powiedział mi, że przyjął nową gosposię i nie będzie już korzystał z moich usług!

Ostatnie słowa wypowiedziała, naśladowując afektowany sposób wyrażania się ksznidzicy.

- Bardzo mi przykro. Nie wiedziałam, że pan pastor zatrudnia tu kogoś!

- Od trzech lat! - wykrzyknęła kobieta z oburzeniem. - Od trzech lat nie opuściłam ani jednego dnia z wyjątkiem mojego ostatniego połogu. A teraz ty się zjawiaś, a ja muszę odejść!

- Może się poznamy? - zaproponowała Roberta. - Nazywam się Roberta Worth. Pani Dulaine była moją ciotką.

- A więc tak się sprawy mają! - pokiwała głową tamta. - Od czasu gdy wysiadłaś z pociągu, wszyscy w miasteczku zachodzą w głowę, kim jesteś i po co tu przyjechałaś. No, skoro tak, to powiem ci, że pani Dulaine nigdy nie traktowała by nikogo tak, jak traktuje się mnie teraz w tym domu!

- Nietrudno mi w to uwierzyć! - odparła dziewczyna. Bardzo chciałabym usłyszeć coś więcej o mojej ciotce, ponieważ wiadomość o jej śmierci bardzo mnie zaskoczyła. Gdyby zechciała pani usiąść na chwilę, mogłybyśmy porozmawiać i napić się kawy. Niestety, nic innego nie mogę pani w tej chwili zaproponować.

Przez chwilę Roberta miała wrażenie, że kobieta odrzuci ze wzdrgnięciem zaproszenie. Jednak ciekawość okazała się silniejsza i dotychczasowa gospodyni pastora usiadła za stołem patrząc na nią wyczekująco.

Dziewczyna ujęła dzbanek, który podała do śniadania, lecz okazało się, że jest w nim tylko tyle kawy, że z trudem starczyło na jedną filiżankę. Widząc konsternację Roberty, kobieta pokiwała głową:

- Dziwne, że i tyle zostawił! Widać nie mógł już więcej zmieścić. To skąpiradło!

- Mówi pani o pastorze?

- A o kimże innym? I wcale się go nie boję. Oj, inaczej tu było, inaczej, kiedy jeszcze żyła pani ciotka!

- Bardzo chciałabym, żeby opowiedziała mi pani o niej! - powiedziała Roberta siadając również przy stole. - A... czy mogłabym wiedzieć, jak się pani nazywa?

- Srubotski, pani Srubotski - odparła tamta. - Ale tutaj nazywają mnie „pani Ski”, ponieważ wiele osób nie może wymówić mojego nazwiska.

Roberta roześmiała się.

- Rzeczywiście, jest nieco trudne - stwierdziła.

- To polskie nazwisko - oznajmiła krótko gospodyni. - Moi rodzice, podobnie jak i rodzice mojego męża, przybyli do Kalifornii w czasach „gorączki złota”, ale ja nie pamiętam wiele z tamtych czasów.

- Proszę opowiedzieć mi coś o mojej ciotce - wtrąciła szybko Roberta obawiając się, że „gorączka złota” stanowi ulubiony temat pani Ski.

Popijając kawę z wyraźnym zadowoleniem, gospodyni zaczęła rozprawiać o tym, jak wszyscy w miasteczku uwielbiali Dulaine, oraz o tym, jak pastor uparł się, że wybuduje tu kościół.

- Nikt w Blue River nie zdziwił się, gdy adoptowała małego Daniela - ciągnęła pani Ski. - Piętnaście osób zginęło, gdy pociąg wykoleił się niedaleko stąd. Wśród nich byli niestety obydwój rodzice chłopca.

- W jakim wieku był wtedy Danny? - spytała Roberta.

- Sądzę, że miał około dwóch lat.

- A teraz? Ile ma?

- Siedem. Jeśli chce pani obejrzeć jego świadectwo urodzenia, to wiem, że pastor trzyma je gdzieś w swoim biurku.

Rozmawiały jeszcze chwilę o lady Margaret, gdy wtem Roberta powiedziała:

- Droga pani Ski! Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Zgodziłam się zostać w domu pastora jako gospodyni, ponieważ byłam tak zaskoczona wiadomością o śmierci ciotki, że sama nie wiedziałam, co mam robić dalej i dokąd się udać!

Pani Ski pokiwała głową, jak gdyby domyślała się, co Roberta ma na myśli.

- Chciałam zaproponować, aby dalej przychodziła tu pani wykonywać swoją pracę. Pastor nie musi nic o tym wiedzieć, a zapłatę otrzyma pani ode mnie.

- Myśli pani, że może sobie na to pozwolić? - spytała tamta zaskoczona tą propozycją.

- Na razie tak - odparła Roberta. - Mówiąc całkiem szczerze, będę pani bardzo wdzięczna za pomoc, ponieważ nie znam się dobrze na wykonywaniu prac domowych. Niezbyt też je lubię, z wyjątkiem może gotowania.

- Można lubić gotowanie pod warunkiem, że jest co do garnka włożyć! - wzruszyła ramionami pani Ski. - A to, co ten stary skąpiec przeznacza na zakupy, nie wystarczyłoby nawet do utrzymania przy życiu myszy!

- Danny jest wręcz zagłodzony - przyznała Roberta patrząc przez okno na chłopca bawiącego się w ogrodzie.

- To prawda! - powiedziała pani Ski. - Pastor odnosi się do tego dziecka z wyjątkowym okrucieństwem. Bez przerwy łąje go, poszturchuje albo straszy, że odeśle do sierocińca. Porządny człowiek tak nie postępuje. Jestem pewna, że pani ciotka obraca się w grobie ze zgrozy!

- Bez wątpienia jej dusza nie może zaznać spokoju - szepnęła Roberta. - I dlatego choć przez pewien czas muszę tu pozostać, dla dobra Danny'ego i...

W ostatniej chwili powstrzymała się, aby nie powiedzieć „... i jego psa”, uznając, że znacznie rozsądniej będzie nie zdradzać wszystkiego pani Ski, która wydawała się osobą nadmiernie gadatliwą. Natychmiast też dodała dość energiczny tonem:

- Najpierw chciałabym się dowiedzieć od pani, gdzie mogę dokonać niezbędnych zakupów i jaką sumę wolno mi na nie przeznaczyć!

- Jeśli pastor nie dał jeszcze pani żadnych pieniędzy, radzę kupować jak najmniej i jak najtaniej. W przeciwnym razie czeka panią nie lada przeprawa! - odparła gospodyni.

- Nie znam ani miasteczka, ani żadnych tutejszych sklepów - zmartwiła się Roberta. - Byłabym bardzo wdzięczna, gdyby zechciała pani kupić dzisiaj wszystko, co będzie potrzebne, a ja postaram się dogadać się w tej sprawie z pastorem.

Widać było, że pani Ski jest pełna wątpliwości co do wyników owej rozmowy, jednak najwyraźniej nie mogła się już doczekać, kiedy jako pierwsza zawiadomi mieszkańców miasteczka, kim jest tajemnicza nieznajoma, która przyjechała na plebanię. Roberta sporządziła więc dla niej listę zakupów i na końcu dodała: „kości i tanie odpadki mięsne od rzeźnika”.

- Chyba nie zamierza pani żywić tego psa Daniela? - spytała pani Ski.

- Pani wie o Kolumbie? - zdziwiła się Roberta.

- Oczywiście, że tak! Pastor zapowiedział, że go zastrzeli, jeżeli jeszcze raz pojawi się w pobliżu domu!

- Z pewnością nie postąpiłby tak niegodziwie!

- Zrobi to bez wahania! - powiedziała z naciskiem pani Ski. - On naprawdę nienawidzi tego chłopca i nie znosi psów!

- A więc musimy karmić Kolumba tak, aby pastor nic o tym nie wiedział! - oświadczyła Roberta stanowczo.

Poszła do swojej sypialni i wyjąwszy ze skrytki pieniądze wróciła, aby wręczyć je pani Ski.

- Chyba nie powinnam wydać ich wszystkich naraz? - spytała ostrożnie gosposia patrząc na dość gruby banknot.

- Myślę, że trzeba kupić prowiant na dzisiaj i na jutro, jutro niedziela i sklepy na pewno będą zamknięte. W poniedziałek okaże się, jaką sumę należy przeznaczyć na cały tydzień.

- I powierza mi pani tyle pieniędzy? - spytała pani Ski patrząc na dziewczynę w osłupieniu.

- Oczywiście! - uśmiechnęła się do niej Roberta. - Jeśli dbała pani o moją ciotkę, mogę bez wahania powierzyć pani opiekę nade mną!

Pani Ski milczała przez chwilę, a potem powiedziała:

- Ten człowiek nie dałby mi nawet dziesięciocentówki w obawie, że mogę ją ukraść!

Roberta nie musiała pytać, o kim mowa. Pomyślała tylko, że jego zbytnią podejrzliwość uraziła głęboko tę kobietę, której ciotka Margaret ufała bez zastrzeżeń.

- Obydwie wiemy dobrze, co ucieszyłoby najbardziej panią Dulaine - powiedziała serdecznie, przechylając się przez stół, aby uścisnąć dłoń gospośi. - Musimy spróbować wynagrodzić Danny'emu stratę, jaką była dla niego śmierć jedynej osoby, która go kochała!

Pani Ski spojrzała na nią i Roberta spostrzegła, że ma oczy pełne łez.

- Jest pani prawdziwą damą, tak jak pani Dulaine - powiedziała wzruszona.

- Dziękuję - odrzekła Roberta myśląc, że był to najbardziej szczerzy komplement, jaki do tej pory słyszała w życiu.

Gdy pani Ski przyniosła zakupy i zabrała się do sprzątnięcia, dziewczyna pomyślała, że praca, którą wykonywała gospośi, warta jest o wiele więcej niż marne grosze płacone przez pastora. Roberta mogła ze spokojem skoncentrować się jedynie na gotowaniu. Czynność ta sprawiała jej coraz więcej przyjemności, podobnie jak w czasach, kiedy trzeba było przyrządzać posiłki dla ojca. Z prawdziwą satysfakcją patrzyła, jak Danny zjada ze smakiem wszystko, co podała mu na lunch. Wiedziała, że jego

zadowolenie wynika także po części z faktu, że równie duża porcja została przygotowana dla Kolumba.

Chłopiec sam podał mu jedzenie patrząc, jak pies pożera je najpierw w pośpiechu, jakby bał się, że za chwilę zniknie mu sprzed nosa, a po zaspokojeniu pierwszego głodu - wolniej. Po dokładnym opróżnieniu miski Kolumb zaczął lizać swego pana po twarzy wymachując ogonem i na wszelkie sposoby okazując mu swoją wdzięczność. Na ten widok Roberta zrozumiała, że nigdy nie darowałyby sobie, gdyby przyszło jej zostawić ich obu na pastwę losu. Postanowiła, że do powrotu Clinta Dulaine przejmie odpowiedzialność za Danny'ego tak, jakby ciotka Margaret prosiła ją o to przed śmiercią. Wkrótce jednak pojęła, że zadanie, które sobie wyznaczyła, może być trudniejsze do wypełnienia, niż myślała. Z chwilą bowiem powrotu do domu pastora atmosfera stała się niemal nie do zniesienia.

Słyszając ciężkie kroki kaznodziei na werandzie, Danny wtulił głowę w ramiona i spuścił wzrok. Pastor wkroczył do kuchni rozglądając się wokół, jak gdyby w poszukiwaniu czegoś, co mógłby wytknąć nowej gosposi. Pani Ski zostawiła jednak pomieszczenie w idealnym porządku, tak że każda, nawet najmniejsza rzecz znajdowała się na właściwym miejscu. Nie znajdując w zasięgu wzroku żadnego uchybienia, pastor podejrzliwie pociągnął nosem.

- Co pani tu gotuje? - spytał podchodząc do Roberty stojącej nad kuchnią, na której bulgotał smakowicie rondel z potrawką z kurczęcia. - To na pewno jakieś ekstrawaganckie i bardzo drogie danie! Nie zamierzam płacić za taką rozrzutność!

- Kurczaki były dzisiaj wyjątkowo tanie - odpowiedziała spokojnie dziewczyna. - Przyrządziłam potrawkę w sosie, którego przepis dostałam od pewnej Francuzki. Myślę, że będzie panu smakować!



Przez chwilę wydawało się jej, że pastor krzyknie, iż byłaby to ostatnia rzecz na świecie, której pragnęłaby skosztować. Jeśli miał nawet taki zamiar, zapachy płynące z rondla sprawiły, że przełknął tylko ślinę. W gruncie rzeczy był bardzo głodny. Nie miał jednak zamiaru poddawać się tak łatwo. Jak gdyby uważając, że powinien okazać komuś swoją wyższość, spojrzał na Danny'ego i spytał:

- A jak dzieciak zachowywał się dzisiaj? Czy nie ma mu pani nic do zarzucenia?

- Był bardzo grzeczny i dużo mi pomógł - odparła Roberta. - Umył ręce przed jedzeniem i jeżeli zamierza pan zrobić to samo, proszę się pospieszyć, bo potrawka jest akurat gotowa do podania na stół!

Pastor spojrzał na nią tak, jakby nie wierzył własnym uszom, nic nie powiedział. W pięć minut później siedział już za stołem. Roberta, nauczona doświadczeniem z poprzedniego wieczoru, nie podała tym razem na stół całej porcji, tylko podzieliła ją jeszcze w kuchni, połowę nakładając pastorowi, a resztę dzieląc równo między Danny'ego i siebie. Kaznodzieja nie wyraził wprawdzie otwarcie swego niezadowolenia, jednak Roberta była pewna, że gdyby nie delektował się smakiem nowych potraw, upierałby się przy swoim prawie do dzielenia posiłków. Z wyraźnym ukontentowaniem dokładał sobie coraz to nowe porcje wspaniale doprawionej sałaty, przysmażonych na rumiano ziemniaków i placków kukurydzianych. Nie wypowiedział ani słowa pochwały, systematycznie opróżniając kolejne półmiski i nie gardząc nawet sufletem cytrynowym, który Roberta podała na deser wraz z sosem czekoladowym.

Kiedy Danny poszedł już do łóżka, pastor zwrócił się do Roberty:

- Będzie lepiej, panno Worth, jeśli na przyszłość poskromi pani jednak nieco swoją fantazję. Jest pani

znakomitą kucharką, nie przeczę. Jako skromny sługa Boży nie mogę jednak pozwolić sobie na tak wyszukane posiłki!

- Ale przecież smakowały one panu!

- Proboszcz nie powinien szastać pieniędzmi na dogadzanie swemu żołądkowi!

- Jestem nie tylko dobrą kucharką ale i niezłą gospodynią - odpowiedziała Roberta. - Poczekajmy więc do końca przyszłego tygodnia. W następną sobotę powiem panu, ile wydałam na dom, i jeśli uzna pan tę sumę za zbyt wygórowaną, postaram się ograniczyć wydatki!

Widziała, że pastor oblicza coś w myślach. Była pewna, że jego rozważania dotyczyły tego, czy sumę, którą wydawało mu się, że zaoszczędził zwalniając panią Ski, może przeznaczyć na jedzenie.

- Nie mam zwyczaju trwonić pieniędzy, których jeszcze nie zarobiłem - oświadczył w końcu. - Zobaczymy, jak wypadną pani rachunki. Sądzę jednak, że chłopak nie powinien objadać się jak prosię przy moim stole, zważywszy że trzymam go tu z łaski!

- To tylko dziecko - powiedziała Roberta. - Myślę, że kiedy wróci pan Dulaine, będzie bardzo wdzięczny za opiekę nad Dannym i wyrówna panu wszelkie straty!

- Jeśli on wróci! - odparł z naciskiem pastor. Słyszałem ostatnio, że widziano go w drodze do Rocky Mountains. Ten człowiek jest po prostu szalony!

Roberta milczała przez chwilę.

- Myśli pan, że on mógłby nie wrócić? - spytała ostrożnie.

- A dlaczego nie? - odparował tamten. - Ja zająłem jego miejsce. Nie ma już po co tu przyjeżdżać!

Roberta poczuła się nagle, jak schwytana w pułapkę. Nigdy dotąd nie brała pod uwagę takiej możliwości. Uznawszy jednak, że sytuacja nie sprzyja podejmowaniu pochopnych decyzji, postanowiła przemyśleć całą sprawę

później. Tak czy inaczej, nie miała zamiaru spędzić reszty życia ani nawet jego większej części w Blue River.

Idąc w niedzielę do kościoła, Roberta była przygotowana na to, że uwaga wszystkich mieszkańców miasteczka będzie skierowana na nią. Nie spodziewała się jednak, że kobiety ze wspólnoty parafialnej zgotują jej tak serdeczne przyjęcie. Pastor czytał modlitwy twardym, nieprzyjemnym głosem, a kazanie, które wygłosił, było pełną potępienia tyradą skierowaną przeciwko tym wszystkim, którzy nie znają umiaru w jedzeniu i piciu. Według słów kaznodzei, zapłatę za swe postęпки mieli oni otrzymać po śmierci w piekle. Gdy nabożeństwo dobiegło końca, Roberta wstała ze swego miejsca, by wraz z Dannym opuścić kościół. W jednej chwili została jednak otoczona ze wszystkich stron przez tłum uśmiechniętych życzliwie ludzi, z których każdy pragnął uścisnąć jej dłoń i powiedzieć, jak bardzo lubił panią Dulaine. Zewsząd padały pełne troski pytania: jak to się stało, że odbyła tak długą podróż, aby odwiedzić krewną, jak długo zamierza tu pozostać i czy wiadomość o śmierci ciotki nie była dla niej zbyt wielkim szokiem. Zanim wyszła z kościoła, otrzymała blisko tuzin zaproszeń, aby „wpaść na filiżankę kawy”. I chociaż wiedziała, że głównym powodem tej gościnności jest chęć zadawania jej dalszych pytań, obiecała odwiedzić każdego.

Nie chcąc czuć się niezręcznie wśród żon i córek farmerów i sklepikarzy, starała się ubrać najskromniej, jak tylko mogła. Jednak zarówno suknia, jak i krótki zakieciak kupione zostały w Paryżu, co sprawiło, że jej ubiór różnił się znacznie od strojów noszonych przez kobiety w Blue River. Kapelusz także zwracał powszechną uwagę swym paryskim szykiem, mimo iż przed wyjściem z domu zdjęła z niego wszystkie sztuczne kwiaty i pióra, którymi był przybrany. Roberta wiedziała, że jej strój i wygląd będą głównym

tematem rozmów w miasteczku przez co najmniej następne dwa tygodnie. Ponadto pastor, którego uwagi nie uszło wielkie zainteresowanie, jakie wzbudziła Roberta wśród parafian, był przez resztę dnia bardziej dokuczliwy niż zazwyczaj. Po kolacji uznał za stosowne pouczyć ją, że kobieta nie powinna ulegać zbyt próżności, oraz zaznaczył, że nie jest milionerem, wobec czego nie widzi powodu, aby na jego stole pojawiała się śmietanka. Roberta miała wrażenie, że ten człowiek odzywa się tylko po to, aby móc wypowiedzieć kolejne cierpkie, zgryźliwe słowa. Widziała, że Danny drży ze strachu i z trudem przychodzi mu przełykanie kolejnych kęsów.

- Moja mama mówiła zawsze - odezwała się nagle dziewczyna - że ten, kto spożywa posiłek w złym nastroju, naraża się na niestrawność. Sądzę, że ze względu na kłopoty ze zdrowiem powinien pan zachować szczególną ostrożność i odłożyć rozważanie dręczących pana problemów na bardziej odpowiednią porę.

Pastor spojrzał na nią, a w jego oczach odbiła się pełna oburzenia nagana.

- Moja panno, czy zamierzasz pouczać mnie, jak mam postępować? - spytał tonem nie wróżącym nic dobrego.

Roberta uśmiechnęła się niewinnie patrząc mu prosto w oczy.

- Myślałam tylko, co zrobiliby parafianie w Blue River, gdyby nagle zabrakło pastora.

Kaznodzieja zmarszczył brwi i już zaczerpnął powietrza, aby udzielić zuchwałej dziewczynie stosownej reprimendy, kiedy nagły lęk o własne zdrowie nakazał mu położyć rękę na piersi, w miejscu gdzie biło jego serce. Nadmierne emocje mogły mu wszak zaszkodzić... Stłumił więc w sobie gniew i rzuciwszy Robertcie pełne potępienia spojrzenie, wychylił jednym haustem filiżankę kawy.

Kiedy dziewczyna przyszła do pokoju Danny'ego, aby powiedzieć mu dobranoc, chłopiec szepnął:

- Jesteś bardzo odważna, ciociu Roberto. Nie boisz się pana pastora tak jak ja i Kolumb.

- Nie ma powodu, aby się go obawiać.

- Ale ja się go boję - zaprotestował Danny. - Dopóki nie przyjechałaś, bił mnie codziennie. I ciągle się boję, że on znajdzie Kolumba.

- Potrafię obronić przed nim i ciebie, i Kolumba - uspokoiła go Roberta.

Sama nie przeczuwała nawet, jak szybko miały się spełnić jej słowa.

Pod koniec tygodnia Roberta postanowiła przyjąć zaproszenie jednej z sąsiadek, która obiecała opowiedzieć jej sporo o ciotce. Danny był w szkole, lunch czekał ugotowany na kuchni, Roberta uznała więc, że może poświęcić kilka kwadransów na wysłuchanie interesujących ją ploteczek.

- Stanowili taką dobraną parę! - mówiła sąsiadka częstując dziewczynę kawą i ciasteczkami przy ogrodowym stole. - I byli tacy szczęśliwi, chociaż na pierwszy rzut oka widać było, że ciotka pani nie jest Amerykanką!

Roberta roześmiała się.

- Czy ktoś, kto nie jest Amerykaninem, nie może być tu szczęśliwy? - spytała przekornie.

- Ależ oczywiście, że może! - wykrzyknęła tamta. - Tylko że życie, które przyszło wieść tutaj pani ciotce, byłoby nie do zniesienia dla większości cudzoziemców!

- Proszę mi opowiedzieć o tym! - powiedziała Roberta.

- No cóż, los wędrownego kaznodziei nie jest łatwy - westchnęła sąsiadka. - Clint Dulaine podróżował i nauczał, przenosząc się wciąż z miejsca na miejsce. Lady Margaret podążała z nim wszędzie, gdziekolwiek się udał, i wszyscy,

którzy ich znali, twierdzili, że bardziej zgodnego i kochającego się małżeństwa długo by szukać na świecie!

- Jakże miło mi to słyszeć - westchnęła Roberta. - Często zastanawiałam się, czy ciotka Margaret nie żałuje, że uciekła z domu w Anglii, gdzie życie, chociaż spętane konwenansami, było z pewnością łatwiejsze.

I tu zaczęła opisywać, jak wygląda posiadłość w Worth Park i jak przebiega codzienne życie jej mieszkańców. Opowiedziała też, jak to się stało, że najpierw lady Margaret, a potem jej ojciec uznali, że taka egzystencja jest dla nich nie do zniesienia.

- Teraz gdy pani Dulaine już nie żyje, zapewne pani tam powróci? - spytała sąsiadka.

Było to pytanie, które Roberta stawiała sobie każdej nocy, od chwili gdy dowiedziała się o śmierci ciotki Margaret. Zdawała sobie sprawę z tego, że nie mogłaby ruszyć się już stąd bez Danny'ego, i przeczuwała, że pastor mimo całej niechęci, jaką żywił do chłopca, nie zechce puścić go od siebie. Wracając do „Przystani” Roberta rozważała w duchu, czy nie byłoby najlepiej poczekać na odpowiedni moment, kiedy pastor sam stwierdzi, że pragnie pozbyć się Danny'ego ze swego domu.

Wchodząc po stopniach werandy dziewczyna usłyszała nagle pełen przerażenia krzyk. Brzmiał on jeszcze bardziej rozpaczliwie niż tydzień temu. Sądząc, że szykuje się kolejne lanie, Roberta pchnęła drzwi wejściowe i pospieszyła do kuchni. Jednak tym razem pastor nie trzymał Danny'ego. Mały stał pod ścianą w odległym kącie pokoju, z ramionami uniesionymi nad głową w obronnym geście i krzyczał ze wszystkich sił:

- Nie! Proszę go nie zabijać! Proszę!

Chłopiec osłaniał swym ciałem Kolumba, który kulił się z przerażenia za jego nogami. Pośrodku kuchni stał pastor ze

strzelbą w rękę. Jego twarz była purpurowa z gniewu. Wymierzywszy do chłopca ze strzelby, kaznodzieja wrzasnął:

- Zejdź mi z drogi, szczeniaku! Mówiłem, że jeśli jeszcze raz zobaczę tu tego psa, będzie po nim. Teraz przekonasz się, że zawsze dotrzymuję słowa!

Roberta nie wahała się ani chwili. Podbiegłszy do pastora, chwyciła strzelbę oburącz za lufę i skierowała jej wylot ku górze.

- Nie zabije pan tego psa! - oświadczyła z naciskiem. - Nigdy na to nie pozwolę!

- Jak śmiesz mi zabraniać, ty przybłędo! - ryknął pastor. - Zastrzelę nie tylko psa, ale także i chłopaka, jeśli nie przestaniesz się wtrącać!

- Jest pan szaleńcem! - syknęła Roberta i szarpnęła strzelbę z całej siły, próbując mu ją wyrwać.

W czasie gwałtownej szamotaniny któreś z nich musiało przycisnąć spust, gdyż nagle rozległ się głośny strzał. Kula trafiła w sufit i odłupała kawał tynku, który spadł na głowę Danny'ego, szczęśliwie nie robiąc mu krzywdy. Chłopiec krzyknął z przerażenia. W tym samym momencie pastor puścił strzelbę tak gwałtownie, że Roberta omal nie upadła, zatoczywszy się do tyłu. Obiema rękami chwycił się za gardło, wydając dziwny, charczący dźwięk, jakiego Roberta nie słyszała jeszcze nigdy w życiu. Potem jego ogromne ciało zaczęło osuwać się z wolna na podłogę, gdzie znieruchomiło wraz z ostatnim oddechem, który wydobył się z gardła pastora jak gdyby z wielkim trudem.

Zapadła chwila strasznej ciszy. Roberta stała nad leżącym na podłodze ciałem, wciąż ściskając strzelbę w obydwu dłoniach. Miała wrażenie, że śni jakiś koszmarny sen. Ocknęła się czując, że Danny tuli się do jej boku.

- Zastrzeleliś go? - spytał chłopiec szeptem.

- Nie - odpowiedziała również cicho Roberta. - Myślę... że on miał atak serca.

Jej własny głos wydawał się dobiegać do niej jakby z wielkiego oddalenia. Czując, że trzymana w dłoniach strzelba ciąży jej nieznośnie, dziewczyna odłożyła ją ostrożnie na kuchenny stół. Powoli przewyciężając drzenie nóg, przyklękała, aby upewnić się, że pastor nie żyje. Wiele razy widziała w Afryce umierających ludzi i nie musiała sprawdzać pulsu ani przykładać ucha do piersi, aby stwierdzić zgon. A myślała, że pastor przesadza, skarżąc się na dolegliwości sercowe! Okazało się, że istotnie był chory, i to właśnie ta choroba spowodowała jego śmierć.

Roberta podniosła się z klęczek i w tym samym momencie poczuła, że Danny obejmuje ją mocno w talii, kryjąc twarz w jej sukni.

- Już dobrze... Wszystko będzie dobrze, kochanie - powiedziała niezbyt pewnym głosem.

Danny przytulił się do niej jeszcze mocniej i dziewczyna spostrzegła, że płacze.

- Jeśli on... nie żyje, to oni... przyjdą teraz, żeby mnie zabrać - wyszeptał wśród łkań. - Pan pastor zawsze mówił, że... jeśli mu się coś stanie, pójdę prosto do sierocińca!

Roberta wiedziała, że było to całkiem możliwe. Przyszło jej na myśl, że mogłaby zażądać przyznania jej prawa do opieki nad Danny'm i oświadczyć, że zabiera go ze sobą do Anglii. Któż jednak uznałby dziewiętnastoletnią, niezamężną dziewczynę za odpowiednią opiekunkę dla siedmioletniego dziecka?

„Jak ojciec postąpiłby w takiej sytuacji?“, myślała Roberta i w pewnej chwili doznała olśnienia. Zabierze stąd Danny'ego natychmiast, bez chwili zwłoki, zanim ktokolwiek dowie się, co tutaj zaszło. Nagle odzyskała zdolność logicznego myślenia, a szok spowodowany niespodziewanym biegiem



wydarzeń ustąpił. Trzeba było zaplanować wszystko dokładnie, nie tracąc ani chwili.

Roberta podniosła strzelbę i załadowawszy ją ponownie, odwiesiła na zwykłe miejsce. Następnie starannie pozbierała z podłogi wszystkie kawałki tynku, które opadły z sufitu, żywiąc cichą nadzieję, że nikt nie okaże się na tyle dociekliwy, aby zainteresować się dziwną dziurą w suficie. Poleciała Danny'emu włożyć najlepsze niedzielne ubranie, a resztę rzeczy do spakowania ułożyć na łóżku,

- Zabierz Kolumba na górę i czekajcie w sypialni, dopóki nie przyjdę - przykazała.

Danny spojrzał na nią żałośnie. Jego policzki były jeszcze mokre od łez.

- Ale ty... nie zostawisz nas tutaj, prawda? - spytał cicho.

- Oczywiście, że nie - odparła głaszcząc go po głowie. - Uciekniemy razem jak najdalej stąd, tam gdzie nikt nas nie znajdzie i nie będzie pytał, jak to się stało, że pastor zmarł tak nagle...

- On chciał... zabić Kolumba - szepnął Danny drżącym głosem.

- Wiem - powiedziała Roberta. - Ale teraz już tego nie zrobi. Ty zaś musisz zdecydować, z kim i gdzie pragniesz być od tej chwili.

- Chcę być z tobą, ciociu Roberto - odpowiedział Danny bez wahania.

- Przyrzekam, że będę się tobą opiekować - dziewczyna skinęła poważnie głową. - Jeżeli jednak chcemy, żeby nasz plan się powiódł, musimy działać szybko i mądrze! Idź więc do swego pokoju i zrób to, o co cię proszę!

Kiedy chłopiec pobiegł na górę, Roberta weszła do gabinetu pastora. Otwierała po kolei szuflady jego biurka, dopóki nie znalazła tego, po co tu przyszła: świadectwa urodzenia Danny'ego. Razem z tym dokumentem znajdowała

się w kopercie również obrączka ślubna, która zapewne należała do matki Daniela. Patrząc na nią Roberta wpadła na pewien pomysł. Bez wahania wsunęła obrączkę na serdeczny palec lewej dłoni, przekonując się z ulgą, że pasuje znakomicie. Potem przeczytała świadectwo urodzenia chłopca. Stwierdzało ono, że mały urodził się trzeciego października 1878 roku w Nowym Orleanie jako syn pana i pani Boscombe i na chrzcie otrzymał imię Daniel. Na dokumencie nie było jednak żadnego adresu. Roberta schowała świadectwo do kieszeni i przejrzała pozostałe szuflady biurka w nadziei odnalezienia jakichś papierów ciotki i jej męża. Nie znalazłszy niczego, przeszła do swojej sypialni.

Tutaj okazało się, że decyzja, które rzeczy ma zabrać ze sobą, a które będzie musiała zostawić, nie jest wcale łatwa. W końcu sporządziła niewielki pakunek, w którym znajdowały się najłżejsze spośród jej sukien, jeden płaszcz i nieco bielizny. Smutno jej było zostawiać tyle pięknych kreacji, które dostała od ojca jeszcze w Paryżu. Jednak dobrze zdawała sobie sprawę z tego, że bagaże nie powinny być zbyt ciężkie. Poza tym większość tych luksusowych ubiorów była odpowiednia jedynie dla młodej panny, co niezbyt zgadzało się z rolą, którą zamierzała odegrać w najbliższym czasie.

Włożywszy suknię, która najbardziej według niej nadawała się na podróż, Roberta weszła do pokoju Danny'ego. Chłopiec siedział na łóżku tuląc się do Kolumba. W jego oczach czaił się jeszcze strach. Widać było, że nie przyszedł do siebie po szoku spowodowanym wydarzeniami dzisiejszego popołudnia.

Roberta usiadła obok Danny'ego na łóżku i poklepała psa po szyi.

- Posłuchaj, kochanie - zaczęła. - Chcę, abyś zapamiętał dobrze to, co teraz powiem. Wyjeżdżamy stąd natychmiast, nie wiem jeszcze dokąd. Obiecałam opiekować się tobą i

Kolumbem. Żeby to było możliwe, musimy udawać, że jestem twoją mamą. Twoją prawdziwą mamą.

- Tą mamą, która zginęła w wypadku kolejowym? - spytał chłopiec.

- Właśnie tak - potwierdziła Roberta. - Mam przy sobie twoje świadectwo urodzenia. Obawiam się jednak, że znajdą się tacy ludzie, którzy będą chcieli mi ciebie odebrać mówiąc, że jestem zbyt młoda i niezamężna, wobec czego nie nadaję się na opiekunkę dla tak dużego chłopca jak ty. Chcę, żebyś mówił do mnie „mamo” tak, aby wszyscy napotkani przez nas ludzie byli przekonani, że jestem twoją matką! Po krótkiej chwili milczenia Danny uśmiechnął się.

- Chcę, żebyś była moją mamą - powiedział. - Kocham cię... ciociu Roberto!

- Ja też cię kocham, mój urwisie - odparła Roberta. - I pamiętaj: jeśli chcemy uniknąć kłopotów, musimy postępować bardzo rozważnie!

Będąc niemal całkiem pewna, że chłopiec pojał, na czym polega jej plan, dodała:

- To będzie wspaniała przygoda, pod warunkiem, że dochowamy tajemnicy. Rozumiesz?

- Będę powtarzał wszystkim, że jesteś moją mamą - oświadczył Danny. - Kolumb też by to mówił, gdyby tylko potrafił!

- Kolumb bardzo dobrze zna się na dochowywaniu tajemnic - przypomniała mu Roberta. - Musisz być tak mądry i przebiegły jak on.

- Czy moglibyśmy już stąd pójść? - spytał chłopiec.

- Teraz jeszcze nie, dopiero później, kiedy będziemy pewni, że nikt nas nie zauważy - odparła dziewczyna. - Zejdę na dół, aby przygotować coś do jedzenia. Ty nie ruszaj się stąd, dopóki cię nie zawołam.

Nie chciała, żeby Danny widział ciało pastora, leżące wciąż w tym samym miejscu, na podłodze w kuchni. Starając się sama nie patrzeć w tamtą stronę, zabrała trochę jedzenia, podgrzała kawę i zaniósłszy to wszystko do bawialni, rozłożyła na małym stoliczku. Następnie zamknęła starannie drzwi do kuchni i zawołała chłopca. Danny i Kolumb zjedli przygotowane dla nich porcje, jednak Roberta zmuszała się do przełknięcia każdego kęsa. Potem siedzieli razem patrząc, jak słońce zniża się ku zachodowi. Czekali, aż nadejdzie pora, kiedy mieszkańcy miasteczka zwykli siadać do wieczornego posiłku.

W końcu Roberta uznała, że nadszedł właściwy moment dla realizacji jej planu. Wiedząc, że pomimo zapadającego zmierzchu nie mogliby przejść niezauważeni główną ulicą miasteczka, zdecydowali się wymknąć przez ogród do lasu i ścieżkami dotrzeć do drogi, która prowadziła w kierunku San Francisco. Z początku Roberta wydawało się, że najprościej byłoby po prostu wsiąść w jakikolwiek pociąg zatrzymujący się na pobliskiej stacji. Bała się jednak, że ktoś mógłby ich zobaczyć na peronie, a następnie skojarzyć fakt ich wyjazdu z tym, co już wkrótce miało zostać odkryte w domu pastora. Ustalenie kierunku, w którym się udali, nie byłoby dla ewentualnego pościgu sprawą trudną. Jedyne dla nich szansą było zniknięcie bez pozostawiania jakichkolwiek śladów.

Roberta wiedziała, że zwłoki pastora zostaną prawdopodobnie znalezione następnego ranka przez panią Ski. Lekarz, który będzie oglądał ciało, stwierdzi z całą pewnością, że przyczyną śmierci był atak serca. Dopiero wtedy ludzie zaczną się zastanawiać, co stało się z nią i z Dannym, i snuć różne przypuszczenia. Do tego czasu uciekinierzy muszą więc znacznie oddalić się od Blue River.

Roberta nie obawiała się długiej pieszej wędrówki. Kiedy wraz z ojcem podróżowali karawaną przez pustynię wołała iść

całe mile obok wielbłąda niż kiwać się na jego grzbiecie. Teraz jednak był z nią Danny, którego dziecinne nóżki nie nawykły do długich marszów. Poza tym dawno już minęła pora, kiedy szedł spać. Kiedy więc po dwóch godzinach dotarli do ubitego traktu, usiedli na przydrożnym kamieniu marząc o pojawieniu się kogoś, kto mógłby ich podwieźć choć parę mil.

„Mam nadzieję, że nie będzie to ktoś z Blue River”, pomyślała Roberta z obawą.

Siedzieli już blisko pół godziny i nikt nie przejeżdżał ani w jedną, ani w drugą stronę. Danny'emu oczy kleiły się coraz bardziej i Roberta obawiała się, że niebawem chłopiec uśnie na dobre. Wtem rozległ się turkot kół. Zerwawszy się na równe nogi, dziewczyna ujrzała zbliżający się wóz zaprzężony w parę koni. Zamachała gwałtownie w jego stronę i woźnica ściągnął lejce. Było to ogromne, zarośnięte chłopisko, o dłoniach wielkich jak bochny chleba.

- Czy gdzieś podwieźć panią? - spytał z silnym, nosowym akcentem.

- Tak, bardzo proszę - odpowiedziała Roberta.

- Wskakujcie.

Dziewczyna pomogła Danny'emu wdrapać się na kozioł, podczas gdy Kolumb wskoczył do wozu jednym, długim susem. Wrzuciwszy w ślad za nim bagaże, Roberta wspięła się na ławkę obok woźnicy, sadowiąc się obok chłopca.

- Niechże pani usiądzie przy mnie - powiedział mężczyzna. - Porozmawiamy sobie o tym i owym. Daleka droga, to i znudziło mi się gadać jeno do koni!

Roberta postanowiła uczynić zadość jego życzeniu, uważając, że winna jest wdzięczność temu poczciwemu człowiekowi. Zamieniwszy się z Dannym miejscami, ogarnęła chłopca ramieniem i przytuliła mocno do swego boku.

Kolumb siedział tuż za ich plecami, patrząc na nich swymi mądrymi brązowymi oczami.

Woźnica krzyknął na konie, a gdy ruszyły zapytał:

- A dokąd to pani jedzie?

- Właściwie... do San Francisco - odpowiedziała Roberta z wahaniem. - Ale będzie bardzo uprzejmie z pana strony, jeśli dowiezie nas pan do jakiejś gospody, gdzie moglibyśmy przenocować!

- Znam takie miejsce! - odparł ochotczo mężczyzna. - Można też i pospać i zdrowo się zabawić. Podają tam świetne kiełbaski na gorąco!

- To brzmi bardzo zachęcająco - odparła ostrożnie Roberta. - I dziękuję jeszcze raz za to, że się pan zatrzymał. Mały jest bardzo zmęczony.

- To pani chłopak?

- Tak - skłamała po raz pierwszy Roberta. - Jestem wdową. Jadę do San Francisco, aby zamieszkać tam u krewnych.

Mówiąc to tłumaczyła sobie w duchu, że dobrze będzie wypróbować na kimś wymyśloną przez siebie historyjkę, zanim zacznie opowiadać ją tym wszystkim, którzy będą zadawać jej wkrótce rozmaite pytania. Woźnica odplacił jej opowieścią o tym, jak to podróżując po całym stanie dla zarobku, wozi kurczęta i indyki na targ, a z miasta na wieś rozmaite przedmioty kupowane przez żony farmerów.

- Można z tego wyżyć - stwierdził w końcu. - Ale to ciężka praca!

- Nie ma pan rodziny? - spytała Roberta.

- Już nie - odparł tamten. - Od czasu, gdy moja żona uciekła z jednym z moich kumpli! To już chyba z pięć lat...

- Przykro mi - powiedziała Roberta współczująco. - Zapewne samotność bardzo panu doskwiera.

- No pewnie - odrzekł tamten i umilkł. - Konie, zmęczone długą podróżą, stapały ciężko. Gwiazdy już na dobre świeciły na atramentowoczarnym niebie. Zza pobliskich wzgórz ukazał się ogromny czerwony księżyc. Roberta milczała, pogrążona w rozmyślaniach. Jak do tej pory wszystko przebiegało zgodnie z jej planem. Wprawdzie powoli, ale oddalała się coraz bardziej od Blue River, i to było najważniejsze.

- Myślałem sobie właśnie... - odezwał się woźnica tak nagle, że Roberta drgnęła przestraszona - ...taka ładna kobieta... musi się pani cknąć bez chłopca. A ja też jestem sam, jak pani mówiłem...

Jego głos brzmiał jakoś inaczej niż do tej pory i Roberta poczuła, że przebiega ją nagły dreszcz, jakby od nagłego chłodnego powiewu wiatru.

- Jak daleko jeszcze do gospody? - spytała starając się stłumić drżenie głosu.

- Coś z milę - odparł mężczyzna. - Dlaczego nie mielibyśmy spędzić tej nocy razem? Zjemy kolację, a potem spróbujemy zapomnieć: ty o swoim pochowanym mężusiu, a ja o mojej Nelly, niech ją piekło pochłonie!

- Jestem pewna, że wcale pan tak o niej nie myśli - odparła Roberta niepewnie.

Woźnica jednak wcale jej nie słuchał.

- Zostaw wszystko mnie - powiedział kładąc swoją ciężką łapę na kolanie Roberty. - Chłopak i pies mogą położyć się spać z tyłu wozu. Będzie im tam wygodnie, a my zostaniemy sami!

Mówił teraz chrapliwym głosem oddychając coraz szybciej. Roberta poczuła, jak nagły przestach odbiera jej władzę w nogach. Nagle niezwykle wyraźnie zdała sobie sprawę, w jak beznadziejnej sytuacji się znalazła.

Wobec tego człowieka nie miała żadnych szans ani obrony, ani ucieczki. Przerazenie chwyciło ją za gardło na myśl o tym, że gdyby teraz odrzuciła jego zaloty ze wzdrganiem, człowiek ów zapewne po prostu zatrzymałby wóz i zaciągnął ją na skraj drogi.

Przyjmując milczenie Roberty za zgodę, woźnica ujął mocniej jej kolano i miętosząc je w dłoni mówił dalej:

- Jak tylko zatrzymałaś mnie na drodze, wiedziałem, że będzie z tego niezła zabawa! Niech skonam, ładna z ciebie kobieta, a co to oznacza, powiem ci, jak tylko ściągniesz z siebie te szmatki!

Zaśmiał się głośno, jakby powiedział dobry żart. Roberta zadrżała jak oblana zimną wodą. Zza zakrętu ukazały się światła gospody.

„Ojcze, pomóż mi! - modliła się w duchu. - Na pewno wiedziałbyś, jak postąpić, gdybyś znalazł się w takiej sytuacji. Daj mi jakiś znak!”

- Jesteśmy na miejscu! - oznajmił woźnica zeskakując z kozła. - Idź teraz razem z chłopcem do środka i usiądźcie przy stoliku. Przyjdę do was, jak tylko wprowadzę konie do stajni i rozejrzę się za jakimś wygodnym pokoikiem dla dwojga!

Mówiąc to trącił Robertę porozumiewawczo łokciem. Dziewczyna zesztyniała z przerażenia i wstrętu.

Danny spał już mocno i Roberta musiała go obudzić. Następnie zdjęła z wozu bagaże i razem z Kolumbem weszli do gospody. Całą szerokość sali jadalnej zajmował bar i przy nim siedziała większość gości. Byli to przeważnie rośli, ogorzali mężczyźni, których wygląd, ubiór oraz sposób wyrażania się świadczył dobitnie o tym, że zarabiali na życie jako woźnice. Kilka osób siedziało przy stolikach nad talerzami z ciepłą strawą.



Mężczyzna w koszuli o zakasanych rękawach podszedł do Roberty mówiąc „dobry wieczór”. Ponieważ wyglądał na właściciela gospody, dziewczyna spytała:

- Czy znajdzie się dla nas stolik na trzy osoby? Ten pan, który nas tu przywiózł, wyprzęga jeszcze konie i wkrótce do nas dołączy.

Gospodarz wskazał niewielki stolik stojący w rogu sali i już zamierzał poprowadzić ku niemu Robertę, kiedy ta zagadnęła go szybko:

- Czy moglibyśmy wraz z moim synem umyć się trochę po podróży?

Właściciel bez słowa wskazał głową drzwi znajdujące się przy końcu sali. Roberta pociągnęła w ich kierunku Danny'ego. Okazało się, że prowadzą do niewielkiego korytarzyka, który prowadził do tylnego wyjścia z budynku. W kilka minut później zabudowania gospody zostały daleko w tyle, a oni biegli przed siebie przez otwarte pole, usiłując rozpoznać nierówną drogę przy blasku gwiazd i księżyca.

- Dokąd uciekamy, ciociu Roberto? - spytał sennie Danny.

- „Mamo”, nie „ciociu Roberto”!

- Mamo, dokąd teraz biegniemy?

- Nie wiem - odparła szczerze Roberta. - Byle dalej od tej gospody!

- Ale dlaczego? - protestował żałośnie chłopiec. - Chce mi się pić! Masz coś do picia?

- Znajdziemy coś. - zapewniła go Roberta bardzo pragnąc w to uwierzyć. - Ale teraz musimy uciekać.

Danny był zbyt śpiący, aby zadawać dalsze pytania, i Roberta poczuła, że chłopiec zwalnia, ciągnąc ją coraz mocniej za rękę.

- Musimy iść dalej, żeby znaleźć coś do picia dla Kolumba - powiedziała chcąc skłonić go do szybszego marszu. - Zobacz, jaki jest spragniony!

- To ja jestem spragniony! - skarżył się Danny. - Strasznie chce mi się pić. I jeść też!

Roberta pomyślała, że od kolacji nie upłynęło znowu tak dużo czasu. Prawdopodobnie chłopiec marudził, gdyż był bardzo zmęczony. Dziewczyna wierzyła mu, gdy mówił, że chce mu się pić, bo sama odczuwała w ustach smak kurzu przebytej drogi. Szła potykając się co chwila i niemal ciągnąc za sobą na wpół śpiącego Danny'ego. W chwili gdy już myślała, że przyjdzie im chyba spędzić tę noc pod drzewem, ujrzała migoczące w oddali światelko.

- To na pewno jakaś farma - przekonywała samą siebie. - Spytaam, czy pozwolą nam przespać się choćby w stodole. Może okaza się tak dobrzy, żeby nam dać coś do picia!

- Spójrz, Danny! - potrząsnęła chłopcem. - Widzisz to światło?

- To... bardzo daleko stąd - wymamrotał. - Jestem strasznie zmęczony i... Kolumb też nie ma już siły!

- Kolumb jest w lepszej sytuacji, bo ma cztery nogi - powiedziała Roberta. - A my mamy tylko po dwie!

- Jeśli on ma cztery, to jest dwa razy bardziej zmęczony od nas! - stwierdził logicznie Danny.

W tej samej chwili Robercie wydało się, że z tyłu, za światłem, do którego się zbliżali, widzi morze. Wyteńczywszy wzrok, dostrzegła drobne odbłaski księżycowego światła tańczące na wodzie. Miała nawet wrażenie, że słyszy miarowy szum fal uderzających o brzeg. Nagle zdjął ją strach, że światelko, ku któremu zdążała z taką nadzieją, może okazać się po prostu latarnią morską lub innym sygnałem dla żeglarzy, ustawianym na wybrzeżu. Poczwała, że nie ma już siły iść dalej z Dannym uwieszonym jej ręki i bagażami, które

wydawały się ważyć tonę. I wtedy rozpoznała w ciemności niewyraźny kształt drewnianej chaty. Światło padało z jedyne go w tej ścianie okna i chociaż znajdowały się tam także i drzwi, dziewczyna odniosła wrażenie, że dom posiada również werandę, usytuowaną od strony morza.

Roberta przystanąła przed domkiem dysząc ciężko ze zmęczenia i zastanawiając się, jak ma wytłumaczyć swoją obecność tutaj o tak późnej porze. Modliła się w duchu, aby mieszkańcy chatki, kimkolwiek są, okazali się ludźmi dobrego serca.

„Wystarczy, jeśli dadzą nam coś do picia i pozwolą zostać na noc, nawet i na werandzie!” - myślała z rozpaczą.

Popychając lekko przed sobą chwiejącego się na nogach Danny'ego, Roberta podeszła do drzwi i położywszy na ziemi bagaże, zastukała energicznie. Mimo iż starała się uczynić to dość głośno, ze środka nie dobiegł żaden dźwięk. Roberta zastukała więc ponownie.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i w progu ukazał się wysoki szczupły mężczyzna.

- Dobry wieczór! - powiedziała Roberta widząc, że tamten przygląda się im w milczeniu. - Razem z moim synem zgubiliśmy drogę. Czy mógłby pan być tak uprzejmy i pozwolić nam... zostać tu do świtu? Idziemy już dosyć długo. Jesteśmy bardzo zmęczeni i... spragnieni - dodała ciszej.

Mężczyzna nie odzywał się i Roberta pomyślała z rozpaczą, że na pewno za chwilę zatrzaśnie im drzwi przed nosem. I wtedy nagle usłyszała jego głos: niski, spokojny, w którym drgała lekka nutka rozbawienia:

- Wprawdzie nie spodziewałem się gości o tak późnej porze, ale... proszę bardzo, wejdźcie do środka!

Roberta uświadomiła sobie, że słucha słów nieznajomego z takim napięciem, że prawie wstrzymała oddech. Potem przekroczyła próg chatki, rozglądając się wokół ciekawie.

Wewnątrz było więcej miejsca, niż się tego można było spodziewać. Obszerny salon oświetlały dwie lampy naftowe. Przy kominku, na którym tliły się grube polana, stała sofa i dwa wygodne fotele. Jednak najbardziej zaskoczyły ją obrazy. Wzdłuż ścian, obok mebli, a także na sztalugach pośrodku pokoju stały równo całe rzędy zaczętych lub skończonych już płócien.

- Pan jest... malarzem! - wykrzyknęła Roberta zdziwiona niezwykłym widokiem.

Odwróciwszy się impulsywnie ku gospodarzowi chatki stwierdziła nagle, że zna już tego człowieka. To on był tym wysokim, ubranym w teksański strój Amerykaninem, na którego zwróciła uwagę w czasie podróży pociągiem do Kalifornii...

## ROZDZIAŁ 4

Przez chwilę Roberta i nieznajomy mężczyzna stali nieruchomo, patrząc na siebie bez słowa.

- Widziałam pana w pociągu z Nowego Orleanu! - oznajmiła nagle dziewczyna.

Były to jedyne słowa, które w tym momencie zdolna była wypowiedzieć. Mężczyzna uśmiechnął się ujmująco, co sprawiło, że wydał się jej jeszcze bardziej przystojny.

- Zgadza się - odparł. - Wracalem z Południa, gdzie sprzedałem kilka swoich obrazów - i zerknąwszy na Robertę z zainteresowaniem dodał: - Pani jest Angielką?

Lekka kpina, którą Roberta wyczuła w jego głosie, pozwoliła jej domyślić się, że została uznana za osobę niedyskretną. Zmieszana odwróciła wzrok i nagle uwagę jej przykuł na wpół ukończony, stojący na sztaludze obraz. Rozejrzała się wokół zdziwiona i przyglądając się płótnom ustawionym pod ścianą zawołała:

- Jest pan impresjonistą!

Kilkoma krokami malarz przemierzył pokój stając obok niej.

- Skąd pani zna impresjonistów? - spytał ze zdumieniem.

- Widziałam ich prace w Paryżu - odparła dziewczyna.

I nagle zrobiło się jej gorąco, gdyż zrozumiała, że znowu zachowała się w nie przemyślany sposób, mówiąc znacznie więcej, niż powinna. Spotkanie gdzieś na krańcach amerykańskiego kontynentu młodej kobiety, która była we Francji i dużo wiedziała o impresjonizmie, to bez wątpienia zdarzenie niezwykle. Jednak nie można było już cofnąć wypowiedzianych pochoinnie słów. Widząc zaskoczenie i zaciekawienie w oczach malarza, Roberta dodała szybko:

- Tak, jestem Angielką, a przyjechałam do Ameryki, ponieważ tu znajdował się mój syn.

- Pozwoli pani, że się przedstawię? - powiedział mężczyzna. - Nazywam się Adam Fawcett.

- A ja... Roberta Boscombe. Podali sobie dłonie.

- Jestem bardzo rad z naszego poznania, pani Boscombe - powiedział malarz schylając głowę. - Będzie mi też bardzo miło służyć pani pomocą. Jak to się stało, że znalazła się pani w tej okolicy o tak późnej porze?

- Zabłądziliśmy wraz z Dannym - powiedziała Roberta czując, że to usprawiedliwienie brzmi nieco mętnie.

Na szczęście pan Fawcett nie zadał już więcej pytań, bo Danny, który na wpół drzemał oparty o framugę drzwi, ocknął się na dźwięk swego imienia i zamruczał sennie:

- Jestem taki zmęczony... I chce nam się pić: mnie i Kolumbowi!

Adam, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z obecności chłopca, popatrzył szybko na Robertę.

- Zaraz temu zaradzimy! - powiedział energicznie. - Proszę, chodźcie za mną do kuchni, gdzie znajdzie się i lemoniada dla chłopca, i miska z wodą dla psa!

Mówiąc to podszedł do drzwi znajdujących się w bocznej ścianie pokoju i otworzył je. Roberta stwierdziła, że prowadzą one do niewielkiej kuchni. Podczas, gdy Danny wraz z Kolumbem pospieszyli za gościnnym gospodarzem, dziewczyna rozejrzała się uważnie po salonie. Najwyraźniej pomieszczenie to służyło również jako pracownia malarska, co było zrozumiałe biorąc pod uwagę, że z większości okien roztaczał się wspaniały widok na morze. Zastłony nie były zaciągnięte i ze swego miejsca Roberta mogła dojrzeć fale połyskujące srebrzyście w świetle księżyca. Przyglądając się ponownie porozstawianym wszędzie sztalugom, dziewczyna stwierdziła, że są to prace utrzymane w dobrym, artystycznym stylu, które mogłyby z powodzeniem znaleźć się wśród dzieł innych twórców reprezentujących ten nurt w sztuce.

Ojciec opowiadał jej nieraz, jak wiele kontrowersji wzbudziło wśród znawców sztuki pojawienie się prac pierwszych impresjonistów. Byli nawet tacy, którzy odmawiali im prawa do nazywania siebie malarzami, wyśmiewając ich sposób przedstawiania rzeczywistości.

- Ja natomiast sądzę - mówił hrabia - że impresjonizm wypełnił pewną lukę, która w tradycyjnej sztuce malarstwa bywa sprawą dość ważną.

- Czego dotyczy ta luka? - pytała Roberta z zaciekawieniem.

- Światła - odpowiadał krótko ojciec. - Zauważ, że światło w obrazach impresjonistów pozwala nam nieraz ujrzeć wszystko w zupełnie inny sposób, niż dotychczas.'

Ponieważ Roberta wydawała się szczerze zainteresowana jego opowieściami i trochę dlatego, że zależało mu na wszechstronnym wykształceniu córki, hrabia Wentworth zabierał ją często do galerii na Montmartrze i w innych dzielnicach Paryża, gdzie impresjoniści wystawiali swoje prace. I mimo iż niektóre z nich wydały się Robercie niezrozumiałe, w wielu odkrywała nie znane dotąd piękno. Potrafiła także dostrzec i docenić niespotykaną koncepcję światła, którym obrazy te wydawały się nasycone aż do głębi. O wiele później, w czasie afrykańskiej wyprawy, wydawało jej się nieraz, że rozpoznaje to światło o pewnych porach dnia na pustyni.

Roberta domyślała się, dlaczego impresjonizm wywarł na jej ojcu tak wielkie wrażenie. Zdawała sobie sprawę, iż jest on człowiekiem otwartym na nowe idee, który odrzuca wszystko, co konwencjonalne i skostniałe. Unikalna technika tworzenia obrazów, którą posługiwali się przedstawiciele tego nowego nurtu, stanowiła zaprzeczenie wszystkiego, co do tej pory uznawane było w sztuce za kanon piękna. Hrabia Wentworth kupił kilka obrazów, które szczególnie przypadły mu do gustu,

a gdy wyruszał w podróż do Afryki, oddał je na przechowanie razem z innymi swoimi rzeczami. Roberta wiedziała, że płótna te należą teraz do niej. Nieraz marzyła, że gdy wreszcie będzie miała swój dom, powiesi je na honorowym miejscu w salonie, na przekór tym wszystkim, którzy będą mówić, że wolą tradycyjny sposób ujmowania rzeczywistości.

Stała tak, rozmyślając nad rzędami obrazów, kiedy nagle dobiegł ją głos Adama z kuchni:

- Zrobiłem kawę dla pani! Na pewno także jest pani głodna!

Istotnie, Roberta przypomniała sobie, że od momentu opuszczenia Blue River nie miała nic w ustach.

- Dziękuję serdecznie - odpowiedziała. - Rzeczywiście umieram z głodu pomimo zmęczenia!

- Bardzo jestem ciekaw, skąd pani pochodzi i w jaki sposób znalazła się pani tutaj - mówił Adam podsuwając jej krzesło.

Rozglądając się po kuchni Roberta uznała, że pomieszczenie to nie wygląda na zbyt często używane. Widocznie gospodarz nie był entuzjastą sztuki gotowania, w przeciwieństwie do innego rodzaju twórczości.

- Prowadzę tu typowo kawalerskie gospodarstwo - powiedział malarz, jakby czytając w jej myślach. - Kiedy już robi się zbyt ciemno, aby malować, idę do pobliskiej gospody na kielbaski na gorąco. Jeśli zaś jestem głodny w ciągu dnia, szykuję sobie kanapkę z szynką!

- Nie wydaje mi się, aby to była odpowiednia dieta dla mężczyzny! - zauważyła Roberta.

Adam roześmiał się.

- Żyje mi się na niej całkiem dobrze. Za to pani syn wygląda na trochę zabiedzonego!

- Wiem o tym - odpowiedziała Roberta szybko. - I to jest między innymi powód, dla którego postanowiliśmy przenieść



się z miejsca, w którym mieszkaliśmy dotychczas, do San Francisco!

- Czy była pani kiedyś w tym mieście?

Roberta potrząsnęła przecząco głową. Potem obawiając się dalszych pytań, które mogły sprawić jej sporo kłopotu, postanowiła skierować rozmowę na inny temat.

- Proszę mi powiedzieć, jak to się stało, że wybrał pan impresjonizm - zagadnęła Adama. - Przyznam się, że nigdy nie spodziewałam się, iż spotkam na kontynencie amerykańskim malarza impresjonistę!

- Zawsze chciałem malować w ten sposób - odparł malarz. - Dopóki nie ujrzałem obrazów impresjonistów paryskich byłem pewien, że jestem odosobniony w swoich poglądach.

- Był pan w Paryżu? - niemal wykrzyknęła Roberta.

Nagle wydało się jej, że wspaniale będzie porozmawiać z kimś, kto oglądał te same wystawy, co ona kiedyś. I wtedy ujrzała, że Danny zasnął, opierając głowę na złożonych na blacie stołu rękach.

- Nie chciałabym sprawiać panu kłopotu - powiedziała cicho do malarza - ale czy nie znalazłoby się dla nas trochę miejsca, gdzie moglibyśmy przespać się do rana? Nie jesteśmy bardzo wymagający, wystarczy nam kawałek miejsca gdzieś na podłodze!

- Byłby doprawdy bardzo złym gospodarzem, gdybym nie odstąpił swojego łóżka tak strudzonym wędrowcom - odrzekł Adam, - Proszę się nie obawiać: w tym domu starczy miejsca dla nas wszystkich!

Wziął Danny'ego na ręce i niosąc go ostrożnie przeszedł na drugą stronę salonu, gdzie kolejne drzwi prowadziły do niewielkiej sypialni. Pod jedną ze ścian stało łóżko, a pod drugą - tapczan.

- Kiedy jest ciepło, śpię zazwyczaj na werandzie - wyjaśnił Adam szeptem. - Ostatnio noce były jednak jeszcze dość chłodne.

Położył Danny'ego na tapczanie podkładając mu pod głowę małą poduszkę. Potem podszedł do komody, która stanowiła jedyny oprócz łóżek mebel w sypialni i wyjął z jednej z szuflad wełniany pled.

- Myślę, że będzie chłopcu pod nim ciepło - powiedział.

- Na pewno tak - odparła cicho Roberta. - Dziękuję panu bardzo.

- Jeśli wolno mi coś zaproponować - zaczął Adam - to niech pani teraz rozbierze małego i ułoży go do snu, a potem przyjdzie do mnie do kuchni. Chciałbym usłyszeć coś więcej o pani losach. Przygotuję więcej kawy. Zdaje mi się, że mam też jakieś jajka i jeszcze trochę szynki...

- To brzmi bardzo zachęcająco - uśmiechnęła się Roberta.

- Proszę jednak pozwolić, że przyrządzę je sama. Jestem niezłą kucharką.

- To najlepsza wiadomość, jaką słyszałem ostatnio! - powiedział ożywiając się wyraźnie. - Muszę przyznać, że kiełbasa, którą jadłem dziś na kolację, nie była zbyt smaczna!

Roberta roześmiała się cicho, a malarz wyszedł z pokoju, zamykając za sobą cicho drzwi.

Przebranie Danny'ego w nocną koszulę nie zabrało dziewczynie zbyt dużo czasu. Chłopiec spał tak głęboko, że nie miał pojęcia, co się z nim dzieje. Roberta przykryła go ciepłym pledem, będąc pewna, że mały będzie spał jak kamień aż do samego rana. Zdjęła kapelusz przed wiszącym nad komodą lustrem.

- Mieliśmy dużo szczęścia, że udało nam się znaleźć tak dobry nocleg - powiedziała do siebie poprawiając włosy.

Musiła też przyznać w duchu, że spotkanie z tajemniczym nieznajomym z pociągu sprawiło jej

przyjemność. I pomyśleć, że kiedyś sama pragnęła z nim porozmawiać!

Roberta była szczęśliwa, że udało się jej uniknąć towarzystwa natarczywego woźnicy. Była całkiem pewna, że to ojciec, czuwając nad nią z zaświatów, podsunął jej sposób ucieczki z gospody.

- Dziękuję ci, ojczy - szepnęła cicho.

Z bezwiednym uśmiechem na ustach otworzyła drzwi sypialni i udała się z powrotem do kuchni, gdzie czekał na nią Adam.

Kiedy już zjedli przygotowany przez Robertę omlet z szynką, Adam powiedział:

- To było pyszne! Miała pani rację twierdząc, że jest znakomitą kucharką!

- Dlaczego nie zatrudni pan kogoś, aby gotował panu i zajmował się domem? - spytała Roberta myśląc o tym, jak bardzo przydałaby się tutaj pani Ski.

- Nie zniósłbym, gdyby jakaś kobieta robiła mi bałagan w moich rzeczach i przestawiała obrazy - odparł malarz. - Poza tym nie zawsze mógłbym sobie na to pozwolić.

Roberta spojrzała na niego ze zdziwieniem, gdyż wydawało jej się, że domek, jakkolwiek zbudowany z prostych, nie ociosanych bali, był dość dostatnio umeblowany, a jego gospodarz wcale nie wyglądał na biedaka.

- Żyję tylko z tego, co zarobię sprzedając moje obrazy - wyjaśnił Adam. - Kiedy uda mi się transakcja, czuję się jak bogacz, lecz gdy długo nie trafia mi się kupiec, chodzę głodny. Oto i cała tajemnica mojej egzystencji!

- Czy dużo jest w Ameryce miłośników impresjonizmu? - spytała Roberta pamiętając jeszcze słowa ojca, który mówił, że nikt w Paryżu nie chce kupować prac przedstawicieli nowego nurtu. Stąd obrazy, które nabył w jednej z galerii, miały wprost absurdalnie niską cenę.

Adam roześmiał się.

- Gdybym chciał zachować swą malarską cześć, nie powinienem odpowiadać na to pytanie - rzekł. - Jednak powiem pani prawdę. Kiedy moja sytuacja zaczyna wyglądać kiepsko, muszę też malować coś, co da się sprzedać. Czuję się wtedy jak zdrajca.

- Uważam, że to bardzo rozsądnie z pana strony - zauważyła Roberta. - W końcu musi pan z czegoś żyć!

Odsunąwszy pusty talerz, Adam oparł obie ręce o blat stołu.

- A teraz proszę mi opowiedzieć coś o sobie! - powiedział.

Ku swojemu zaskoczeniu Roberta poczuła nagle, że ma ogromną ochotę powiedzieć mu po prostu prawdę. Odrzuciła jednak ten pomysł uznając go za wyjątkowo niemądry. Nie wiedziała przecież nic o tym człowieku. Usłyszawszy jej opowieść mógłby powtórzyć ją komuś z Blue River i sprawić, że odebrano by jej Danny'ego. Kto i w imię czego miałby tego dokonać, Roberta nie miała pojęcia, postanowiła jednak zachować ostrożność.

- Mój mąż umarł, a my wraz z Dannym udajemy się do naszych dalekich krewnych w San Francisco - zaczęła.

- Czy pani mąż był Anglikiem?

Roberta zastanowiła się przez chwilę, a potem powiedziała szybko:

- Nie. Był Amerykaninem.

- Powinna więc pani wychowywać synka jak Amerykanina - stwierdził Adam. - To bardzo ładny chłopak.

- Dziękuję - odpowiedziała Roberta.

- To nie jest wcale zaskakujące - ciągnął dalej Adam, rozważając, jak piękną kobietą jest jego matka. Sądzę jednak, że wielu mężczyzn mówiło już to pani przede mną!

Roberta miała przez chwilę wielką ochotę wybuchnąć śmiechem. Przypomniało jej się, że przez ostatnie dwa lata, które spędziła z ojcem i Francine na pustyni, jedynymi istotami, którym dane było podziwiać jej urodę, były wielbłądy oraz ich poganiacze.

Ponieważ milczała, Adam dodał przyglądając się jej z nietajonym zachwytem:

- Bardzo chciałbym namalować panią, chociaż Bóg jeden wie, czy zdołałbym oddać całe piękno modelu!

- Myślałam, że woli pan malować krajobrazy! - zauważyła Roberta czując, że powinna coś powiedzieć.

- To prawda - odparł malarz. - Jednak w pani przypadku mam wielką ochotę uczynić wyjątek!

Patrzył na nią nadal w taki sposób, że dziewczyna poczuła, iż policzki jej zaczynają pokrywać się rumieńcem.

- Jest pani bardzo piękna - szepnął Adam jak gdyby tylko do siebie.

- Pańskie słowa wprawiają mnie w zakłopotanie! - poskarżyła się Roberta

W tym samym momencie wydało jej się, że jako kobieta zameżna, a za taką przecież chciała uchodzić, nie powinna okazywać zbytnej nieśmiałości ani tym bardziej rumienić się. Jej reakcja była jednak tak spontaniczna, że nie dało się na to nic poradzić. Pozostało tylko modlić się w duchu, aby siedzący naprzeciw mężczyzna nie uznał jej zachowania za nieco dziwne.

- Jak długo chcecie pozostać tutaj? - spytał Adam. Roberta chciała odpowiedzieć, że wyruszą jutro

skoro świt, lecz nagle napotkała wzrok Adama i wszystkie słowa uwięzły jej w gardle. W jego oczach było coś, co sprawiło, że miała ochotę patrzeć w nie bez końca.

- Proszę, zostańcie jeszcze trochę - powiedział cicho malarz. - Bardzo tego pragnę. Poza tym, chłopiec jest

zmęczony długą drogą i na pewno chętnie pobawi się na plaży i popływa w morzu!

W tym miejscu Roberta musiała przyznać mu rację, mimo iż czuła, że najrozsądniej dla niej byłoby upierać się przy jak najszybszym wyjeździe. Na przekór wszystkiemu jakiś głos wewnętrzny mówił jej, żeby została tutaj jak najdłużej, gdyż nigdzie indziej nie będzie tak bezpieczna. Nawet jeśli uda jej się dotrzeć szczęśliwie do San Francisco, cóż pocznie w tym mieście, w którym nie zna ani jednej przyjaznej duszy? Gdzie się zatrzyma? Jak błyskawica ugodziła ją myśl, że być może spotka na swej drodze jeszcze wielu mężczyzn podobnych do owego woźnicy, od którego natarczywych zalotów udało jej się uciec. Przypomniawszy sobie szalony bieg z Dannym przez ciemne bezdroża, swój strach oraz nagłą ulgę po dotarciu do chatki Adama, Roberta pomyślała, że wcale nie ma ochoty na podobne przeżycia.

- Myślę, że... moglibyśmy zostać jeszcze kilka dni - powiedziała w końcu niezbyt pewnym głosem.

- Nie kryję wcale, że właśnie o to mi chodziło! - ucieszył się Adam.

Pamiętając o jego szczególnej sytuacji finansowej, Roberta dodała szybko:

- Oczywiście zapłacimy panu za dach nad głową i jedzenie.

- Chce pani mnie obrazić? - obruszył się malarz. - Ależ skąd!

- Proszę więc przyjąć do wiadomości, że w tej chwili czuję się bogaty jak Krezus. Właśnie udało mi się sprzedać trzy obrazy w Los Angeles!

- Nie chciałabym narzucać się panu - wyjaśniła Roberta nieco zmieszana.

- Na pewno nie myślałem o tym w ten sposób - zapewnił ją Adam, po czym dodał z przekornym uśmiechem: - Poza

tym spodziewam się, że nie odmówi pani pozowania dla mnie, a także... gotowania posiłków!

Roberta roześmiała się wesoło.

- Czy powiedziałem coś śmiesznego? - zdziwił się Adam.

Dziewczyna pomyślała z rozbawieniem, że wszędzie, gdziekolwiek się pojawi, gotowanie okazuje się jej najmocniejszą stroną. Głośno jednak powiedziała:

- Pomyślałam tylko, jak wspaniale będzie choć przez kilka dni żyć normalnym życiem i o nic się nie martwić. Przyjechałam do Ameryki niedawno i wciąż czuję się nieco... oszołomiona.

- A więc poślubiła pani swego męża w Europie! - stwierdził ze zdumieniem Adam.

I znów zbyt późno Roberta przypomniała sobie, że występuje teraz jako pani Boscombe.

- Tak - odparła szybko. - Jeden z krewnych mojego męża zabrał Danny'ego ze sobą do Ameryki. Chłopiec miał mieszkać u niego do naszego przyjazdu.

- I pani mąż zmarł, zanim wyruszyliście w podróż - powiedział Adam domyślnie.

Roberta poczuła, że sytuacja, którą sama sobie zgotowała, z każdą chwilą staje się coraz bardziej niepewna. Przypomniało jej się przysłowie: „Kto pod kim dołki kopie...”

- Umyję naczynia - powiedziała podnosząc się zza stołu. - Jestem bardzo zmęczona i chciałabym iść już spać.

- W takim razie ja pozmywam - oświadczył Adam również wstając.

- A może odłożymy to do rana? - spytała Roberta z wahaniem.

- Myślę, że byłoby to bardzo naganne postępowanie - powiedział Adam z udaną powagą. - Ale jeśli pani bardzo nalega, zgadzam się!

Obydwoje roześmiali się głośno.

Zamykając za sobą drzwi sypialni, Roberta pomyślała, że po raz pierwszy od choroby ojca czuła się dzisiaj naprawdę szczęśliwa. Zbyt senna, aby rozważać, co było przyczyną niespodziewanej odmiany nastroju, wiedziała tylko, że ostatnim razem śmiała się tak szczerze i czuła tak beztrosko jedynie w obecności ojca. Adam budził w niej zaufanie i poczucie bezpieczeństwa, które utraciła wraz ze śmiercią ojca. Poza tym było w jego spojrzeniu coś, co przypominało jej ojca, dzięki czemu podświadomie pragnęła przebywać z nim jak najdłużej.

„Mieliśmy z Danny'ym sporo szczęścia, że udało nam się tu trafić!” - pomyślała rozbierając się do snu.

Miejsce na tapczanie obok Danny'ego zostało już zajęte przez Kolumba, wobec czego Roberta postanowiła położyć się na łóżku. Wsuwając się pod koc stwierdziła, że chociaż wąskie, jest nadzwyczaj wygodne. Po chwili już spała, nie zdążywszy nawet zacząć modlitwy, którą zwykła odmawiać co wieczór.

Roberta obudziła się. Przez dłuższy czas próbowała przypomnieć sobie, gdzie się znajduje i jak się tu znalazła. W końcu doszła do wniosku, że dźwiękiem, który wyrwał ją ze snu, był cichy stuk zamykanych drzwi od sypialni. Uniósłszy się na łokciach dziewczyna stwierdziła, że Danny już wstał, ubrał się i wymknął z pokoju starając się jej nie budzić. Teraz słyszała jego głos dobiegający z bawialni, gdzie najwyraźniej także znajdował się Adam. W chwili gdy Roberta uświadomiła sobie, że powinna czym prędzej wstać i zabrać się do szykowania śniadania, obydwaj głosy ucichły stopniowo, co pozwalało się domyślać, że obydwaj wyszli na werandę, a potem udali się w stronę plaży.

Roberta usiadła na łóżku, rozglądając się po pokoju. Wczoraj wieczorem była zbyt zmęczona, aby dokładnie mu się przyjrzeć. Sypialnia, w której spędziła noc, była



umeblowana bardzo oszczędnie, lecz pokrywający podłogę gruby dywan oraz jasne, kwieciste zasłony w oknach nadawały wnętrzu niezwykle przytulny charakter. Czując, jak wstępują w nią nowe siły, Roberta rażno wyskoczyła z łóżka i umyła się w miednicy napełnionej zimną wodą, której cały dzbanek stał przy drzwiach. Włosy zwinęła w węzeł spinając go na czubku głowy i nie przejmując się zbytnio, jak to wygląda. Włożywszy lekką muślinową suknię, jedną z niewielu, które zabrała ze sobą, pospiesznym krokiem udała się do bawialni. Tak jak przypuszczała, drzwi prowadzące na werandę były otwarte, a w oddali, tuż nad brzegiem morza, widniały sylwetki Adama i Danny'ego. Wydawali się bardzo rozbawieni, rzucając na zmianę do wody kawałek kija, który Kolumb przynosił im natychmiast z powrotem.

Roberta przeszła szybko do kuchni, czyniąc sobie wyrzuty, że zasnęła i że śniadanie już dawno powinno być na stole. Stwierdziwszy z ulgą, że zostało jeszcze dość jajek, aby przygotować pożywny posiłek dla trzech osób, pomyślała, że tym razem dobrze byłoby wymyślić coś bardziej oryginalnego niż jajecznicę. Zaglądając do kredensu i spiżarni przekonała się jednak, że Adam wcale nie przesadzał twierdząc, że prowadzi tu kawalerskie gospodarstwo. Na półkach nie było nic oprócz soli i pieprzu, odrobiny masła i kilku kawałków zeschniętego chleba. Przekonawszy się, że Adam napalił porządnie pod kuchnią, Roberta postanowiła przygotować grzanki z masłem i jajkami. Kiedy były już gotowe, stwierdziła, że wyglądają bardzo apetycznie, i poszła na werandę, aby zawołać Adama i Danny'ego na śniadanie. Słyszając jej głos, obydwaj rzucili się biegiem w stronę domu, ścigani przez ociekającego wodą Kolumba, który poszcze kiwał wesoło.

Kiedy wpadłszy do kuchni zasiedli czym prędzej za stołem, Roberta spostrzegła z przerażeniem, że pies otrząsnął

się z wody na samym środku bawialni, po czym usiadł w kałuży, która natychmiast powstała wokół niego. Jednak Adam nie zwrócił na to najmniejszej uwagi, spoglądając z zachwytem to na przyrumienione pięknie grzanki, to na nią. Przez chwilę wszyscy milczeli zajadając z apetytem. Potem Adam odezwał się nagle:

- Proszę mi wybaczyć, ale na widok tak wspaniałego śniadania zapomniałem powiedzieć, że pięknie dziś pani wygląda. Czy jest pani gotowa, aby mi zacząć pozować?

- Jeszcze nie! - stwierdziła Roberta z lekką naganą w głosie. - Najpierw muszę zadbać o to, żebyśmy mieli co jeść na lunch! - i widząc, że malarz wygląda na lekko rozczarowanego dodała: - Pan może zacząć malować, ale ja będę musiała iść do sklepu. Nie wiem tylko, w którą stronę się udać, by go znaleźć.

- Ja pójdę - oświadczył Adam. - Powinna pani jeszcze odpoczywać po nocnych przygodach. Proszę więc usiąść sobie wygodnie na werandzie i rozkoszować się wspaniałym widokiem, przynajmniej dopóki nie wrócę!

- Mogę iść z Kolumbem nad morze? - spytał Danny.

- Tak, możesz - odpowiedziała Roberta. - Tylko nie odchodź za daleko. Chcę przez cały czas widzieć cię z werandy!

- Kolumb bardzo lubi kąpać się w morzu! - powiedział chłopiec. - Ja też chcę pływać tak jak on!

- Nauczę cię - obiecał Adam. - Masz strój do kąpieli?

Danny potrząsnął przecząco głową.

- A więc będę musiał kupić dwa - stwierdził Adam. - Jeden dla ciebie, a drugi dla twojej mamy - i zanim Roberta zdążyła powiedzieć cokolwiek, wykrzyknął: - To jest myśl! Namaluję panią jako syrenę, która wyłania się z fal morskich niczym jedna z tych, które kusiły swym śpiewem Odyseusza!

- Nie jestem pewna, czy mam to uważać za komplement, zważywszy że ów żeglarz zatkał woskiem uszy swojej załodze, a sam kazał przywiązać się do masztu! - odparła wesoło Roberta.

- Jeśli pragnie pani bardziej wyrafinowanych komplementów, będę musiał odkurzyć mój słownik!

- Nie chciałabym sprawiać panu zbyt wiele kłopotu! - przekomarzała się Roberta.

- Byłaby to dla mnie największa przyjemność! - odparł szarmancko malarz mrużąc jedno oko.

Roześmiali się obydwójce, co widząc Danny zaśmiał się również, a Kolumb zaczął uderzać o podłogę mokrym ogonem.

Tak dobrze Roberta czuła się niegdyś jedynie w towarzystwie ojca, podczas gdy obecność innych mężczyzn peszyła ją tylko i onieśmiała. Jednak z Adamem było inaczej. Dziewczyna zastanowiła się przez chwilę, czy nie domyśli się on w końcu, z jak bardzo niedoświadczoną osobą ma do czynienia. Obca jej wszak była do tej pory beztroska sztuka uwodzenia i flirtu. Nie potrafiła wdzięczyć się i droczyć żartobliwie z mężczyznami, tak jak niektóre kobiety widywane przez nią w towarzystwie ojca. Lekka rozmowa, dowcipna wymiana słów - na nic więcej nigdy się nie odważyła.

- Co mam kupić? - spytał Adam.

Roberta drgnęła, jakby wyrwano ją z głębokiego snu.

- Może zrobię panu listę zakupów? - zaproponowała.

- To bardzo dobry pomysł - pochwalił ją malarz. - Ale o powtórnej wycieczce do sklepu, gdybym czegoś zapomniał, nie ma mowy.

Roberta roześmiała się znowu, a on ciągnął dalej:

- Ganiecie w tę i z powrotem do miasteczka tylko po to, aby kupić jakieś wiktuały, wydaje mi się niewybaczną stratą czasu. O wiele lepiej byłoby zabrać się od razu do malowania!

- Tak długo, jak ja tu będę gotować - oznajmiła Roberta - nie pozwolę, aby ktokolwiek w tym domu chodził głodny. Proszę nie zapominać, że Kolumb też potrzebuje przynajmniej jednego porządnego posiłku dziennie!

- W takim razie postaram się przynieść od razu zapas żywności, który wystarczy nam na tydzień!

Roberta wydała udany okrzyk przestrochu.

- Proszę nie kupować zbyt dużo! - zażądała kategorycznie. - Wszystko zepsułoby się w tym upale po dwóch dniach. Poza tym obstaję przy różnorodnym jadłospisie i nie będę gotować bez przerwy tych samych potraw!

- Wprowadza tu pani rządy silnej ręki! - poskarżył się malarz i wznosząc oczy ku niebu dodał: - Teraz już doceniam, jak radosne i bez troskie było moje życie do tej pory!

- Czy mam rozumieć, że żałuje pan już swego, zbyt pochopnie wypowiedzianego zaproszenia? - indagowała Roberta, pragnąc usłyszeć od niego zapewnienia, że nadal pragnie, aby pozostali tu wraz z Dannym.

- Jeśli po powrocie ze sklepu nie zastanę was tutaj - powiedział Adam ostrzegawczym tonem - przysięgam, że uczynię wszystko, aby was schwytać i sprowadzić z powrotem. Proszę więc siedzieć spokojnie i czekać, dopóki nie wrócę!

Roberta już otwierała usta, aby odpowiedzieć mu w tym samym tonie, gdy wtem napotkała jego wzrok i wszystkie żartobliwe docinki wyleciały jej z głowy. Myślała tylko, że jego oczy są tak samo niebieskie, jak niebo nad Kalifornią, i że jest w nich coś, co przyciąga ją ku niemu coraz bliżej i bliżej... Odwróciła się zmieszana i weszła do bawialni, skąd przez okno mogła obserwować, jak sylwetka Adama oddala

się ku widocznemu w oddali rzędowi drzew, które posadzono zapewne wzdłuż wiodącej do miasteczka drogi.

Dziewczyna zasłała swoje łóżko i tapczan Danny'ego. Po chwili wahania zdecydowała się wejść także i do sąsiedniego pokoju, o którym wiedziała już, że jest sypialnią Adama. Spodziewając się zastać w nim nie lada bałagan, poczuła się mile zaskoczona faktem, że wszystkie ubrania malarza zawieszono są porządnie we wnęce za zasłonką i tylko kilka sztuk leży na krześle. Ścieląc łóżko Adama, które wydało się jej równie wygodne jak jej własne, Roberta dostrzegła wiszący na przeciwległej ścianie obraz któregoś ze znanych impresjonistów. Podeszła bliżej zastanawiając się, czy jest to dzieło Moneta, czy może Sisleya. Przez dłuższą chwilę stała nieruchomo, wpatrzona w niezwykłą grę światła, którą udało się artyście utrwalić na płótnie i zastanawiała się, ile niespodziewanego piękna jest na tym świecie. Potem, jakby pragnąc dokonać natychmiastowego porównania, szybkim krokiem przeszła do bawialni i zaczęła oglądać stojące tam obrazy Adama. Niektóre z nich były już ukończone, inne sprawiały wrażenie, jakby porzucono je w trakcie pracy.

Przyglądając się tym płótnom, Roberta nabierała coraz większej pewności, że nie ma w pracach Adama nic, co by mogło wydawać się pospolite lub banalne. Technika malarska, którą się posługiwał, także wydawała się niecodzienna. Roberta zdawała sobie sprawę, jak trudno jest ocenić dzieła impresjonistów komuś, kto nie jest wytrawnym znawcą sztuki malarskiej. Jakże bardzo żałowała, że nie ma razem z nią ojca, który mógłby powiedzieć jej, co sądzi o obrazach młodego malarza! W głębi serca czuła jednak, że Adam ma wielki talent i że pomimo pewnego braku doświadczenia, którym nacechowana jest jego twórczość, próby osiągnięcia zamierzonego celu idą w dobrym kierunku. Być może nawet

przyjdzie taki czas, w którym zostanie uznany jako pierwszy amerykański impresjonista?

- Mam nadzieję, że tak się stanie - szepnęła cicho nie próbując nawet rozważać, dlaczego tak bardzo ją to obchodzi.

Wyszedłszy z domu przez werandę, Roberta dołączyła do Danny'ego, który baraszkował wraz z Kolumbem na plaży. Dziewczyna zdjęła buty i pończochy, zanurzając z rozkoszą stopy w nagrzanym słońcem piasku. Potem ostrożnie weszła do wody, starannie chroniąc spódnicę przed zamoczeniem.

- Już wróciłem! - rozległ się niespodziewanie głos tuż za nią. - I przyniosłem całe góry jedzenia!

Roberta odwróciła się, zaskoczona.

- Mój Boże! - wykrzyknął nagle malarz. - Tak właśnie chciałbym panią namalować! Proszę się nie ruszać! Niech pani zostanie na miejscu! - zawołał widząc, że Roberta idzie ku niemu brodząc po wodzie.

- Woda jest trochę za zimna - roześmiała się unosząc to jedną, to drugą stopę do góry. - Poza tym chciałabym zobaczyć, co takiego przyniósł pan ze sklepu!

- Jedzenie. Ciągłe tylko jedzenie! - prychnął Adam. - Czy nigdy nie myśli pani o niczym innym?

- Za godzinę pan również zacznie o nim myśleć! - odparowała Roberta i nie zważając na protesty malarza skierowała się w stronę domu.

- Zabawiłem w mieście trochę więcej czasu, niż myślałem - tłumaczył się Adam idąc obok niej - ponieważ długo nie mogłem się zdecydować, jaki strój kąpielowy mam wybrać dla pani. W tym, który w końcu kupiłem, urzeknie pani każdego mężczyznę w promieniu dziesięciu mil!

Roberta rozejrzała się zdziwiona po pustej plaży.

- Gdzież są ci mężczyźni, którzy mieliby się mną zachwycać? - spytała przekornie. - Czasami odnoszę wrażenie, że pański dom stoi na pustyni!

- A więc była pani także i na pustyni, czy to tylko taka przenośnia?

- Proszę myśleć, co się panu podoba - mruknęła Roberta, która znów miała ochotę ugryźć się w język. - Będzie pan miał temat do rozważań na kilka następnych dni!

- Czy musi pani być tak bardzo tajemnicza? - dopytywał się Adam.

- Naprawdę taka się panu wydaje? - spytała Roberta zdziwiona.

Mówiąc to wiedziała, że to, co Adam odbierał jako tajemniczość z jej strony, było w istocie niezwykłą intuicją, którą przejawiał on sam. W jakiś nadprzyrodzony sposób obdarzony był zdolnością odczytywania jej najskrytszych myśli. Przecież tylko wspomniała o pustyni. Skąd przyszło mu na myśl, że była tam kiedykolwiek?

„Muszę bardziej uważać na to, co mówię” - przestrzegała samą siebie w duchu. Jednocześnie zaś zdawała sobie sprawę, że w obecności Adama bardzo trudno jej przyjdzie spełnić to wymaganie.

Roberta przygotowała obfity lunch uważając, że dla Danny'ego lepiej będzie, jeśli wieczorem zje jedynie lekki posiłek. Z wielkim zainteresowaniem zapoznała się z działaniem maszynki naftowej i doszła do wniosku, że gotowanie na tym modnym ostatnio urządzeniu jest znacznie szybsze i przyjemniejsze niż na tradycyjnej kuchni.

Adam, Danny i Kolumb rozkoszowali się każdym kęsem wspaniałego posiłku.

- Jest pani cudowną istotą! - powiedział Adam odsuwając pusty talerz. - Czasami zastanawiam się, czy niebiosy nie zesłały mi pani umyślnie w momencie, gdy najbardziej tego potrzebowałem!

- Chcę popływać w morzu! - oznajmił Danny po przełknięciu ostatniego kawałka grzanki.

- Nie można pływać wcześniej niż w godzinę po jedzeniu  
- nauczyła go Roberta. - Możesz jednak przymierzyć strój kąpielowy, który kupił ci pan Adam.

- Wujek Adam! - poprawił ją Panny. - Bardzo go lubię i postanowiłem, że będzie moim wujkiem?

- Ja też cię lubię - odpowiedział Adam. - I zamierzam sprawić, że już wkrótce będziesz pływał jak mała, zwinna rybka!

Z okrzykiem radości Danny pobiegł do swego pokoju, aby się przebrać, Roberta postanowiła uczynić to samo, odczekawszy jednak, aż Adam wraz z chłopcem oddalą się w stronę morza. Oglądając nowo zakupiony strój kąpielowy, dziewczyna poczuła, że ogarnia ją nieśmiałość na myśl o tym, że miałyby pokazać się mu w tak skąpym przyodziewku. Umiała pływać całkiem dobrze i często zażywała kąpeli w Afryce, jeśli tylko obóz znajdował się w pobliżu rzeki lub jeziora. Razem z nią pływał ojciec oraz Francine i Robercie nigdy nie przyszło na myśl, że jest zbyt skąpo ubrana. Nie przejmowała się też panującą powszechnie opinią, że prawdziwa dama nie powinna umieć pływać. Wyobrażając sobie, z jakim oburzeniem odniosłaby się jej babka do sportowych wyczynów wnuczki, wiedziała, że winą za to skandaliczne zachowanie cała rodzina obarczyłaby jak zwykle ojca.

Strój kąpielowy, który kupił Adam, uszyty był z bardzo taniego materiału, z czego Roberta wywnioskowała, że kąpiel w morzu była przyjemnością dostępną jedynie uboższej części społeczeństwa. Amerykanki pochodzące z zamożnych, szanowanych ogólnie rodzin prawdopodobnie w ogóle nie wchodziły do wody ulegając podobnym jak w Europie konwenansom.

Kostium miał krótką spódniczkę, która odsłaniała częściowo nogi, oraz sięgające do łokci rękawy. Roberta



musiała jednak przyznać, że wygląda w nim bardzo atrakcyjnie, szczególnie, że kolor kostiumu podkreślał jasną karnację jej skóry.

Czując się trochę jak naga, dziewczyna zeszła z werandy i poszła bosą przez trawę w kierunku plaży. Danny dostrzegł ją pierwszy.

- Chodź i zobacz, jak ja pływam! - zawołał wynurzając się na chwilę z wody. - Umiem już przepłynąć kawałek zupełnie sam!

Dostrzegłszy, że Adam kieruje się ku niej, Roberta niewiele myśląc wskoczyła do wody i zaczęła płynąć, mając nadzieję, że sprawi tym malarzowi nie lada niespodziankę. Istotnie, w chwilę później płynął już obok, spoglądając na nią ze zdumieniem.

- Gdzie zdobyła pani tę umiejętność? - spytał. - Jeśli nie w Paryżu, to może na tej pustyni, o której tak tajemniczo mówiła pani wczoraj wieczorem? - a ponieważ Roberta nie odpowiadała, dodał: - Czy pani zdaje sobie sprawę z tego, że umieram z ciekawości?

- Nie rozumiem, dlaczego moja osoba tak bardzo pana interesuje - odparła Roberta.

- Chętnie to pani wyjaśnię, tylko trochę później. Teraz muszę wracać do brzegu, bo mam wrażenie, że Danny usiłuje płynąć w ślad za nami!

Rozgarniając wodę mocnymi ruchami ramion popłynął czym prędzej z powrotem. Robertcie nie pozostało nic innego, jak tylko za nim zawrócić.

Roberta i Adam siedzieli na werandzie obserwując pojawiające się coraz liczniej na niebie gwiazdy. Wyczerpany do ostatnich granic Danny poszedł do łóżka zaraz po kolacji.

- To był wspaniały dzień, ciociu Roberto - powiedział, gdy dziewczyna pochyliła się, aby pocałować go na dobranoc.

- Mamo! - przypomniała mu z naciskiem.

- No właśnie, mam - zamruczał sennie. - J jutro też będzie wspaniały dzień!

- Na pewno tak - szepnęła Roberta. - A teraz śpij. Jesteś na pewno bardzo zmęczony po tylu godzinach pływania.

- Było strasznie fajne!

Roberta domyśliła się, że słowa „fajne” nauczył się chłopiec dziś od Adama.

- Kolumb też uważa, że jest fajnie - dodał Danny już niemal śpiąc.

Usiadłszy obok Adama na werandzie, Roberta powiedziała z uśmiechem:

- Danny oznajmił mi właśnie, że dzisiejszy dzień był fajny. Nigdy dotąd nie słyszałam od niego tego słowa.

- Wydobyłem je ze wspomnień mojego dzieciństwa na pani cześć - oświadczył Adam. - Jest pani fajną kobietą, która gotuje fajne jedzenie. To znakomite słowo do określenia kogoś, kto będąc piękny ciałem i duchem, ma też znakomite poczucie humoru!

- Cieszę się więc, że zostałam uznana za osobę tak niezwykle fajną - roześmiała się Roberta. - Choć przyznam się, że nigdy nie myślałam o sobie w ten sposób!

- Mógłbym opisać panią na wiek różnych sposobów - zapewnił ją Adam. - Jutro zamierzam zacząć panią malować i nie zdoła mnie już przed tym powstrzymać!

- Czy to z mojego powodu nie malował pan dzisiaj? - spytała Roberta ze skruchą.

- Przecież nie mogłem zostawić pani wraz z Dannym samych nad brzegiem morza - powiedział Adam cicho, zwracając ku niej głowę w ciemności.

Słyszając jego głęboki szczery głos, Roberta doznawała dziwnych, obcych jej dotąd uczuć, które budziły w niej niespodziewany niepokój.

- To był naprawdę wspaniały dzień - powiedziała lekko drżącym głosem. - Czuję jednak, że podobnie jak Danny jestem bardzo zmęczona.

- A więc proszę czym prędzej iść spać - odparł Adam. - I... dziękuję, Roberto, za to, że potrafi pani sprawić, iż wszyscy wokół czują się tacy szczęśliwi!

Dziewczyna podniosła się z fotela i zwracając ku Adamowi twarz spytała niewinnie:

- Czy to aby na pewno tylko moja zasługa?

Stała w rogu werandy i światło księżyca padało wprost na twarz dziewczyny i zapalało srebrne błyski w jej włosach. Adam zbliżył się w ciemności i Roberta mogła dostrzec tylko zarys jego wysokiej sylwetki na tle rozgwieźdzonego nieba. Uniosła twarz jeszcze bardziej, pragnąc dostrzec wyraz jego oczu.

- Jak mógłbym wyrazić jedynie w słowach to, co czuję? - spytał Adam tonem, który budził w Robertce nie znane dotąd emocje.

Mówiąc to objął ją ramionami i przyciągnąwszy lekko ku sobie zbliżył swoje wargi do jej osi Roberta pomyślała, że powinna odsunąć się od niego i spróbować obrócić wszystko w żart, jednak nie znalazła w sobie dość siły, aby to uczynić. Ten pierwszy w życiu pocałunek sprawił, że całe jej ciało ogarnęła słodka niemoc tak, że wbrew wszystkiemu, co mógłby podszeptać jej rozsądek, modliła się w duchu, aby chwila ta trwała jak najdłużej. Wydawało się jej, że światło księżyca przenika ich oboje na wskroś sprawiając, że stają się natchnioną, doskonałą jednością. Usta Adama, które dotykały jej warg z początku delikatnie i pieścotliwie, stawały się coraz bardziej zachłanne i namiętne. Roberta czuła, że jej serce trzepocze się w piersi jak szalone. Bała się, lecz jednocześnie pragnęła, aby ten lęk trwał wiecznie. Nigdy

dotąd nie przypuszczała nawet, że istnieją odczucia tak wzniosłe i tak porywające.

I nagle gdy Adam uniósł głowę, Roberta uświadomiła sobie, że oto całowała się z mężczyzną, którego poznała zaledwie wczoraj. W jednej chwili ogarnął ją wstyd i zmieszanie tak silne, że z cichym okrzykiem, który brzmiał jak skarga dziecka, wysunęła się z jego ramion i wybiegła z werandy. Zamknawszy za sobą drzwi swojej sypialni, długo stała bez ruchu usiłując uspokoić trzepoczące serce i przyspieszony, urywany oddech. Policzki paliły ją żywym ogniem., lecz jednocześnie czuła, że drży z uniesienia. Mimo zaskoczenia i niejasnego poczucia winy, które dręczyło ją od kilku chwil, dziewczyna stwierdziła, że świat nabrał dla niej innych barw. Miała wrażenie, że dotknęła nieba, gdy Adam ją całował, i wiedziała, że teraz już nic na ziemi nie będzie dla niej takie, jak przedtem.

- To jest... miłość - szepnęła cicho.

I znów poczuła lęk. Przeżycia, których doświadczyła przed chwilą, różniły się tak bardzo od tego, co wyobrażała sobie dotąd na temat miłości!

## ROZDZIAŁ 5

Zgodnie ze swą obietnicą, rankiem następnego dnia, Adam przystąpił do malowania portretu Roberty. Nie ustawił jednak sztalug nad morzem, tak jak się spodziewała, lecz tuż koło domu, w pobliżu kępy kwitnących drzew. Wszystko wokół wydawało się rozkwitać i Roberta sama wyglądała jak piękny, świeży kwiat na tle soczystej bujnej trawy. Adam ułożył tuż przy sobie pędzle i farby i wydawało się, że malowanie zajmuje go bez reszty.

Kiedy rano Roberta weszła do kuchni, aby zabrać się do przygotowania śniadania, nie śmiała nawet spojrzeć w jego stronę. W obecności Danny'ego prowadzili wprawdzie zwykłą, zdawkową rozmowę, jednak Roberta nie mogła pozbyć się wrażenia, że każde wypowiedane słowo nabiera natychmiast innego, niezwykle osobistego dla nich obojga znaczenia.

- Zaczynam malować panią zaraz po śniadaniu - oznajmił Adam. - I nie chcę słyszeć żadnych wykrętów!

- Świetnie - odparła Roberta. - Proszę tylko mnie nie winić, jeśli nie będzie nic do jedzenia na lunch!

Adam nic nie odpowiedział, tylko przeszedł do bawialni. Złożywszy sztalugi, wziął je pod pachę i skierował się w stronę werandy. Nie chcąc go drażnić, Roberta ułożyła szybko naczynia w zlewie i pospieszyła za nim. Patrząc na niego z tyłu, mogła do woli cieszyć oczy widokiem jego zgrabnej, męskiej sylwetki. Mimo woli przyszło jej na myśl, że jak na tak wysokiego mężczyznę, Adam porusza się wyjątkowo zręcznie.

Malarz polecił Robercie usiąść w cieniu pod drzewem, a sam przysiadł na ustawionym przy sztalugach stołku. Słońce wznosiło się wyżej, przygrzewając coraz mocniej. Skupiony wyłącznie na pracy, Adam co chwila ocierał pot z czoła. Wreszcie niecierpliwym ruchem zrzucił z siebie koszulę, jak

gdyby uważał, że kępuje mu ruchy. Patrząc na jego nagi tors, Roberta poczuła lekkie zmieszanie. Wczoraj, gdy pływali razem w morzu, miał na sobie strój do kąpieli, który zakrywał częściowo klatkę piersiową. Teraz jednak można było podziwiać w pełni niezwykle proporcjonalną budowę jego ciała o szerokich, muskularnych ramionach i wąskich biodrach.

Podróżując przez wiele miesięcy po bezdrożach Afryki, Roberta nawykła do widoku nagości, gdyż tubylcy należący do dzikich, pierwotnych plemion zwykli nie okrywać się niczym, z wyjątkiem wąskiej przepaski na biodrach. Jednak teraz na widok młodego, prężnego ciała Adama dziewczyna doznawała zupełnie niespodziewanych uczuć, które napełniały jej serce niepokojem. Pełna słodkiego lęku, Roberta zerkała na Adama myśląc, że tak doskonałe proporcje widziała tylko u rzeźb Michała Anioła w Rzymie. Na samo wspomnienie tego, że wczoraj wieczorem tonęła w uścisku tych smukłych, silnych ramion, rumieniec uderzył jej na twarz.

„Kocham go - myślała z rozpaczą. - Jestem jednak pewna, że nic dla niego nie znaczę!”

Będąc mimowolnym świadkiem kolejnych romansów ojca myślała, że wie już o miłości wszystko. I nagle okazało się, że nie wie prawie nic, a wobec pierwszych porywów uczucia jest jak świeżo rozkwitły kwiat. Nie potrafiła przestać marzyć o tym, aby znów znaleźć się blisko Adama i poczuć jego usta na swoich... Nagle przypomniała sobie babkę, jej surową zawsze twarz i ostre spojrzenie. Co powiedziałyby stara hrabina widząc wnuczkę samą w domu obcego mężczyzny, który w dodatku maluje ją stojąc na wpół nago przy sztalugach? Jak zareagowałyby na widok stroju do pływania, w którym Adam widział ją wczoraj?

„Ten kraj jest tak bardzo odmienny od Anglii...” - tłumaczyła się Roberta sama przed sobą.

Jednak wspomnienie babki wciąż nie dawało jej spokoju, budząc coraz większe poczucie winy.

Danny bawił się z Kolumbem nad samym brzegiem morza. Roberta mogła ze swego miejsca słyszeć wesołe nawoływania chłopca na tle monotonnego szumu fal i radosnego świergotu buszujących w koronach drzew ptaków.

„Jestem szczęśliwa - pomyślała nagle, - Nigdy dotąd nie byłam tak szczęśliwa.”

Patrząc na Adama wiedziała, że to jemu zawdzięcza te myśli.

Roberta pozowała od blisko dwóch godzin. W chwili gdy pomyślała, że czuje się lekko znużona siedzeniem nieruchomo w jednym miejscu, Adam wstał od sztalugi i cofnąwszy się kilka kroków, patrzył przez moment na zaczęty obraz.

- Chyba całkiem nieźle - orzekł z zadowoleniem w głosie, podchodząc do Roberty i siadając obok niej na trawie. - Udało mi się wykonać znaczną część pracy. Dajmy teraz spokój malowaniu, skoro na świecie istnieje tyle przyjemniejszych rzeczy.

Ponieważ usiadł bardzo blisko, Roberta poczuła, jak serce zaczyna bić jej znowu w nagłym, oszalałym rytmie.

- Czy... portret będzie gotów już niedługo? - spytała lekko drżącym głosem, instynktownie odsuwając się nieco.

- Nie sądzę - odparł Adam ujmując jej dłoń i unosząc ją do ust. - Nigdy nie zdołam uchwycić twego piękna, podobnie jak nikt nie jest w stanie przenieść na płótno słonecznego blasku!

Mówiąc to całował delikatnie jej palce, jeden po drugim. Potem odwrócił dłoń Roberty i jął wodzić po jej wnętrzu pieszczotliwym, powolnym ruchem warg. Nagle, spojrzawszy w oczy dziewczyny, powiedział:

- Kocham cię. Mam uczucie, że także mnie kochasz... chociaż troszkę.

- To wszystko... stało się tak nagle - szepnęła Roberta. - Przecież ... poznaliśmy się dopiero wczoraj!

- To nieprawda! - zaprzeczył gorąco Adam. - Byliśmy sobie przeznaczeni od tysięcy lat. Spotkaliśmy się w końcu, aby spełniła się nasza miłość!

- Przeczuwałam to, kiedy tylko zobaczyłam cię po raz pierwszy!

- A ja wiedziałem już o tym w chwili, gdy stanęłaś w drzwiach mojego domu. Pomyślałem wtedy, że to chyba tylko sen! - mówił Adam zaciskając swe palce na jej dłoni. - Zrozumiałem, że to ty jesteś tą istotą, która przybyła do mnie pokonując czas i przestrzeń, i że to na ciebie czekałem całą wieczność!

Roberta była przekonana, że słowa te płyną z głębi jego serca. Kiedy więc Adam objął ją w pól i przyciągnął ku sobie, ufnie oparła głowę na jego ramieniu.

- Będziemy bardzo szczęśliwi, najdroższa - szepnął Adam całując delikatnie jej czoło. - Myślę, że dzisiejsza noc będzie dość ciepła, aby Danny mógł spać na werandzie. A może wolisz przyjść do mnie? Moje łóżko jest znacznie większe niż twoje...

Przez chwilę Roberta nie pojmowała, o czym mówi Adam. Potem nagle serce podskoczyło jej do gardła, gdyż wydawało jej się, że zrozumiała.

- Ja... nie wiem, co masz na myśli - wyjąkała w końcu.

- Nie musisz niczego udawać przede mną - odparł Adam.

- Kochamy się nawzajem, bo tak chciało przeznaczenie. Nie jest ważne, co będzie jutro, pojutrze lub za rok. Cieszymy się tym, że los pozwolił nam wreszcie być razem i nie czekajmy już ani chwili dłużej!

I zanim Roberta zdołała powiedzieć cokolwiek, uniósł jej twarz ku swojej i zaczął całować jej usta z determinacją i zaborczością, której nie znała do tej pory. Dotyk jego



niecierpliwych i jakby wygłodniałych warg sprawiał, że Roberta poczuła falę wibrującego ciepła, która zdawała się rozchodzić od ust po całym ciele powodując, że była bliska utraty przytomności. Jednocześnie zaś doznania te wydały się jej rzeczą tak bardzo naturalną, jak fakt, że wszystko wokół nich żyje i rozkwita.

- Jestem oczarowany tobą całą, od stóp do głów - szepnął Adam unosząc głowę. - Czekanie aż do wieczora będzie dla mnie torturą nie do zniesienia!

- Ale nie możesz przecież... ja nie mogę uczynić tego, o czym mówisz! - powiedziała Roberta z rozpaczą.

Lecz Adam w odpowiedzi na jej słabe protesty jedynie ucałował z czułością koniec jej nosa, a jego pobłażliwy uśmiech świadczył najwyraźniej o tym, że nie traktuje jej słów poważnie. Podniósłszy się z trawy, podszedł do sztalugi, a Roberta podążyła w ślad za nim.

- Muszę... iść i przygotować coś na lunch - powiedziała głosem, który jej samej wydał się obcy.

Nagle spojrzała na swój nie dokończony jeszcze portret i nie zdołała powstrzymać okrzyku zachwytu. To, co zobaczyła, przekraczało jej najśmielsze oczekiwania. Zgodnie ze stosowaną przez impresjonistów techniką obraz wydawał się utkany ze światła. Ona sama przedstawiona była jako część przesianego przez gałęzie drzew słonecznego blasku stanowiąc jednocześnie harmonijną całość z kwiatami i drzewami, które stanowiły tło obrazu. Jedynie jej twarz, jasna i wyrazista, zdawała się wyłaniać z roztańczonego, pełnego życia blasku. Przyglądając się utrwalonym na płótnie swoim oczom i ustom, Roberta stwierdziła, że Adam przedstawił ją o wiele piękniejszą, niż jest w rzeczywistości.

- I co o tym myślisz? - spytał cicho malarz.

- To jest... cudowne! - szepnęła Roberta.

- Naprawdę tak uważasz? - ożywił się Adam.

- Tak bardzo chciałabym, żeby zobaczył to mój ojciec! Wiem, że on jeden potrafiłby docenić twój talent. Na pewno powiedziałby ci, że pewnego dnia twoje nazwisko stanie się sławne na całym świecie!

- Od dawna tego pragnę! - powiedział Adam poważnie, po czym dodał ze szczególnym naciskiem: - I dlatego musiałem zmierzyć się sam ze swoim losem!

Wypowiedziawszy te słowa zamyślił się głęboko. Roberta milczała zastanawiając się, jakie przeszkody musiał pokonać na swej drodze, skoro samo ich wspomnienie powodowało aż taką zmianę jego nastroju.

- Wracaj z powrotem na trawę! - zażądał nagle Adam, ocknąwszy się z zamyślenia. - Ta twarz jest jeszcze nie dopracowana, a włosy trzeba będzie natychmiast poprawić!

- Musisz coś zjeść, zanim zabierzesz się do pracy! - upierała się Roberta. - A jeśli uważasz, że nie jesteś głodny, pomyśl chociaż o Dannym!

- Używasz argumentów nie do obalenia! - oświadczył Adam niezadowolonym głosem.

- Jeśli moje rzędy w kuchni ci nie odpowiadają, pamiętaj, że w każdej chwili możemy wraz z Dannym uwolnić cię od naszego towarzystwa! - odparła dziewczyna.

- To jest już szantaż! - wykrzyknął malarz z udanym oburzeniem. - Kim ty jesteś? Aniołem, którego zdegradowano do roli kucharki, czy tylko wytworem mojej wyobraźni?

- Możesz myśleć sobie, co chcesz - powiedziała przez ramię Roberta idąc w stronę domu. - Jestem kucharką, gosposią, niańką, kimkolwiek! Zawołam was, kiedy lunch będzie gotowy!

Przez chwilę Adam stał niezdecydowany, czy ma biec w ślad za nią i zamknąwszy w ramionach zmusić do uznania swoich racji, czy może skapitulować i wykorzystując dobre światło spróbować poprawić jeszcze to i owo na obrazie. Z

ciężkim westchnieniem wybrał w końcu to drugie rozwiązanie.

Jakkolwiek Roberta zaplanowała już wcześniej, że poda wyłącznie zimny lunch, przygotowanie posiłku zabrało jej więcej czasu, niż przewidywała. Trzeba było podzielić pieczone kurczęta, zrobić majonez do sałaty, pokroić owoce i zalać je słodkim syropem. Kiedy lunch był już gotowy, Roberta podała go na stole na werandzie, po czym zawołała Danny'ego. Chłopiec nadbiegł od strony morza z wiernym Kolumbem przy boku. Słyszając wesołe głosy na werandzie, Adam zdecydował się oderwać od pracy.

Stwierdziwszy nagle, że są bardzo głodni, wszyscy zabrali się ochoczo do jedzenia wśród żartobliwych docinków i wesołych uwag. Tylko raz, gdy oczy Roberty i Adama spotkały się przypadkiem, zapadła chwila niezręcznego milczenia. Spłonawszy nagłym rumieńcem, dziewczyna opuściła wzrok.

- Chcę popływać zaraz po lunchu! - oznajmił głośno Danny.

- Ja też! - stwierdziła Roberta patrząc śmiało na Adama.

- To świetnie - odparł malarz tonem dalekim od entuzjazmu. - Ale obiecaj, że będziesz mi pozować jeszcze dwie godziny po południu!

- Chyba że utnę sobie poobiednią drzemkę - powiedziała dziewczyna uśmiechając się przekornie.

- Możemy uciąć ją sobie wspólnie - odparował Adam patrząc jej prosto w oczy.

- Nie, nie - spłoszyła się Roberta, zorientowawszy się poniewczasie, że wpadła we własne sidła. - Będę ci pozować po południu. Ostatecznie nie możemy razem z Dannym odciągać cię od pracy.

- Już to zrobiliście - stwierdził lakonicznie Adam. - A jeszcze nie tak dawno wydawało mi się, że malowanie jest

najważniejszą rzeczą na świecie. Teraz już wiem, jak bardzo się myliłem!

Mówiąc to spojrział na Robertę tak, że dziewczyna zarumieniła się znowu.

- Idę się przebrać! - zawołał Danny zrywając się od stołu. Był tak zajęty swoimi sprawami, że nie dostrzegał zmiany w zachowaniu obydwójga dorosłych. - Wujku Adamie, czy udzielisz mi dziś kolejnej lekcji pływania?

Adam spojrział na chłopca z roztargnieniem i zamrugał powiekami, jak człowiek budzący się ze snu.

- Tak... oczywiście - odpowiedział ociągając się lekko. - Musimy jednak odczekać godzinę po jedzeniu. Pamiętasz, co mówiła twoja mama? Chyba nie chcesz nabawić się bólu brzucha!

- Dobra! - wykrzyknął Danny. - Mogę w tym czasie wybudować ogromny zamek z piasku!

Po tych słowach rzucił się biegiem w kierunku sypialni. W głębi domu trzasnęły drzwi i na werandzie zapadła cisza.

- Myślę, że też sobie popływam - powiedział Adam cicho.

- Ćwiczenia fizyczne to dobra rzecz - stwierdziła nieoczekiwanie Roberta patrząc uporczywie w blat stołu, a ponieważ Adam nic nie odpowiedział i tylko patrzył na nią zachwyconym wzrokiem, dodała szybko: - Jeśli będziesz tylko jadł i siedział przy sztalugach, wkrótce staniesz się tłusty niczym pularda. Jestem pewna, że przed naszym przybyciem pływałeś regularnie przynajmniej godzinę dziennie. Słyszałam nieraz, że pływanie jest sportem, który znakomicie rozwija wszystkie mięśnie!

Adam milczał jeszcze przez chwilę, przyglądając się jej uważnie, po czym powiedział:

- Jesteś niezrównana! Uwielbiam cię całą i wszystko, co ciebie dotyczy. Jednej tylko rzeczy nie mogę pojąć!

- Cóż to takiego? - spytała Roberta.

- Jak ty to robisz, że wyglądasz tak niesłychanie młodo. Mając siedmioletniego syna nie możesz mieć mniej niż dwadzieścia pięć lat. Tymczasem ty sprawiasz czasami wrażenie panienki, która dopiero wczoraj opuściła szkolny pokój i nie bardzo wie, jak odnaleźć się w obcym i pełnym zaskakujących sytuacji świecie!

- Ja... jestem o wiele starsza, niż na to wyglądam!

- No właśnie! - przyznał Adam. - Jestem pewien, że patrząc na ciebie wszystkie kobiety są przekonane, iż posiadałaś sekret wiecznej młodości, którego ludzkość poszukuje od wieków!

- Jesteś bardzo miły, mówiąc w ten sposób.

- Jestem tylko bardzo zakochany! - odparł Adam gorąco. - I sam nie mogę uwierzyć, że stało się to tak szybko!

- Czy to znaczy, że do tej pory wszystkie twoje romanse nie trwały dłużej niż godzinę? - droczyła się z nim Roberta.

Nagle krzyknęła zaskoczona, gdyż Adam zerwał się z krzesła i znalazłszy się tuż przy niej jednym susem pochwycił w ramiona unosząc ku górze.

- Czy ty naprawdę myślisz, że kiedykolwiek kochałem jakąś kobietę tak jak ciebie? - szepnął.

I nie czekając na odpowiedź zaczął całować ją aż do utraty tchu. Nagle usłyszeli odgłos szybkich kroków Danny'ego, który najwyraźniej przebrał się, jak tylko mógł najszybciej. Odskoczyli od siebie jak oparzeni. Czując, że od nadmiaru emocji kreci jej się w głowie, Roberta musiała przytrzymać się krawędzi stołu, aby nie upaść.

- Chodźmy, wujku Adamie! - niecierpliwił się chłopiec. - Już niedługo będziemy mogli pływać!

Przez moment Adam zawahał się patrząc wciąż na Robertę. Potem ujął chłopca za rękę i poszedł z nim w stronę plaży. Patrząc w ślad za nimi, Roberta osunęła się powoli na pobliskie krzesło, czując dziwny bezwład w nogach. Jej serce

wciąż było jak szalone. Mimo swojej niewinności zdawała sobie sprawę z tego, jak bardzo pragnie jej Adam. Co więcej, wiedziała, że sama pragnie go także, i nie była pewna, czy znajdzie w sobie dość siły, aby mu się oprzeć.

„On jest przekonany, że ma do czynienia z kobietą, która była już zamężna - rozważała. - Nie spodziewa się więc po mnie zachowania, które przystoi młodej, niedoświadczonej pannie.”

Trudno było jej myśleć, gdy na samo wspomnienie niedawnego pocałunku myśli plątały się jej bezładnie w głowie.

Roberta zastanawiała się przez chwilę, czy nie byłoby najprościej, gdyby wyznała Adamowi całą prawdę. Co było najlepsze z jej punktu widzenia, mogło być jednak niebezpieczne dla Danny'ego. Kto wie, czy Adam jako rodowity Amerykanin nie potępiłby jej pomysłu zabrania do Anglii amerykańskiego chłopca? Próbując ją powstrzymać zachowałby się być może w sposób trudny do przewidzenia. Przecież tak naprawdę nie znała Adama, więc skąd mogła wiedzieć, jak postąpiłby w takiej sytuacji.

Na próżno próbowała wyobrazić sobie, ojca w podobnym położeniu. Tym razem wyobraźnia nie była posłuszna jej woli podsuwając wciąż obraz jej samej w ramionach Adama.

- Kocham go! Kocham! - powtarzała wiedząc, że nie jest to odpowiedź na dręczące ją pytania.

Później pływała wraz z Adamem i Dannym w morzu, po czym, zgodnie z obietnicą, włożywszy znów białą muślinową sukienkę, usiadła pod drzewem, aby pozować do portretu.

- Teraz światło jest zupełnie inne niż rano! - zżymał się Adam. - A ponieważ wyglądasz jeszcze piękniej niż kilka godzin temu, będę musiał zacząć wszystko od początku!

Roberta wydała lekki okrzyk protestu.

- Nie możesz tego zrobić! Skończ ten obraz chociażby dlatego, że bardzo mi się on podoba. Jestem pewna, że to jedna z najlepszych twoich prac!

- Oczywiście że tak - odparł Adam. - Ponieważ najdoskonalsze dzieła sztuki powstają wtedy, gdy sercem i dłońią ich twórcy kieruje miłość. Tak było przez całe stulecia i tak jest teraz ze mną!

- Być może kiedyś mój portret znajdzie się na honorowym miejscu w Akademii Królewskiej - uśmiechnęła się Roberta. - Byłabym z tego bardzo dumna.

Adam roześmiał się głośno.

- To jest zupełnie nierealne - stwierdził. - Czy widziałaś kiedyś w Akademii Królewskiej lub innym tej klasy salonie wystawowym obraz impresjonisty a w dodatku - Amerykanina?

- W takim razie powieszę go w mojej sypialni i będę patrzyła na niego codziennie - oświadczyła Roberta bez chwili namysłu.

- Będziemy patrzyli na niego codziennie - sprostował Adam.

Roberta poczuła, jak zdradziecki rumieniec wypływa jej na policzki. Pomyślała w popłochu, że teraz właśnie jest najlepszy moment, aby powiedzieć Adamowi prawdę o sobie i wyjaśnić mu, z jak bardzo młodą i niedoświadczoną w miłości osobą ma do czynienia. I wtedy jej wzrok padł na małą figurkę Danny'ego, który nad samym brzegiem morza uwijał się wokół wybudowanego przez siebie zamku z piasku. Nie, nie miała najmniejszego prawa narażać tego chłopca.

„Co ja mam uczynić? Co robić?” - pytała siebie samą z rozpaczą.

Kiedy słońce pochyliło się nisko nad horyzontem, Adam uznał, że pozowanie na dziś już skończone. Roberta pospieszyła do kuchni, aby przygotować kolację.

- Jestem bardzo głodny, mamó! - zawołał Danny z bawialni.

Roberta usłyszała głos Adama:

- Widzę, że masz wprost wilczy apetyt, młody człowieku!

W tej samej chwili pomyślała, że być może w ten sposób Adam daje im do zrozumienia, że kosztują go zbyt wiele. Zmieszała się przypomniawszy sobie, jak bardzo upierała się przy tym, żeby kupić dużo żywności i jak długa była lista zakupów, którą wręczyła Adamowi wysyłając go do sklepu. Układała ją głowie z myślą o Dannym, chcąc karmić chłopca prawidłowo. Mięso, kurczaki, ryby, owoce i warzywa, kupione przez Adama w ilości aż nadto wystarczającej na trzy osoby musiały pomniejszyć jego zasoby finansowe o całkiem pokaźną sumę.

„Muszę zaproponować mu zwrot kosztów - pomyślała Roberta ze zmieszaniem - albo chodzić do sklepu sama i kupować za własne pieniądze tak, jak czyniałam to w Blue River! A może Adam woli sam chodzić do sklepu obawiając się, aby jego sąsiedzi nie domyślili się, że w jego domu zamieszkała samotna kobieta z dzieckiem? Może wstydzi się tego przed innymi?" - rozważała czując narastające poczucie winy.

Kolacja była wspaniała. Pod koniec posiłku Danny zaczął jednak przeraźliwie ziewać.

- Idź do łóżka, kochanie - powiedziała do niego Roberta. - Przyjdę za chwilę, aby ucałować cię na dobranoc.

- Wujek Adam powiedział, że mogę spać na werandzie - ożywił się chłopiec na chwilę. - To świetny pomysł, prawda?

- Uważam, że noce są jeszcze zbyt chłodne. Mógłbyś porządnie zmarznąć nad ranem - stwierdziła Roberta stanowczo.



Mówiąc to rzuciła znacząc spojrzenie na Adama, który uśmiechnął się dając jej do zrozumienia, że pojmuje jej intencje.

- Dobranoc, wujku Adamie! - Danny objął go za szyję i pocałował w policzek. Potem wraz z Kolumbem pobiegł do sypialni.

- A więc wolisz przyjść do mnie - powiedział Adam miękko, po czym Roberta zorientowała się, że całkiem opacznie zrozumiał jej słowa.

- Ależ nie - zaprzeczyła gwałtownie. - Po prostu chciałam ci powiedzieć, że nie mogę przystać na twoją propozycję.

- Dlaczego, najdroższa? - spytał Adam, szczerze zdziwiony. - Czy to z powodu żałoby po mężu? Powiem ci całkiem uczciwie, że nie wydaje mi się, abyś związana była z nim szczególnie głębokim uczuciem. Nie wiesz zbyt wiele o miłości!

Uznawszy, że Adam przejawia niebezpiecznie bezbłędną intuicję, Roberta wstała czym prędzej od stołu i zaczęła zbierać talerze. Adam towarzyszył jej do kuchni niosąc salaterkę po sałacie i kubki. Stawiając to wszystko na kuchennym stole, spytał:

- Dlaczego jesteś taka... nieprzystępna?

- Nie jestem! - zaprzeczyła żywo Roberta. - Uważam tylko, że to, co mi proponujesz, jest... złe.

- Naprawdę tak myślisz? - spytał Adam, zdumiony. - Najdroższa, jesteśmy oboje ludźmi wolnymi i nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy mogli kochać się nawzajem. Przysięgam ci, że nie ma innej kobiety w moim życiu. Ani żony, ani żadnej stałej kochanki!

Robercie przyszło na myśl, że „kochanka” jest właściwym słowem na określenie tego, do czego chciał skłonić ją Adam. Przed oczyma jej wyobraźni przesunął się długi korowód kobiet, które były kochankami jej ojca w czasie, gdy

przebywała razem z nim. Przypominając sobie, jak szybko pojawiały się i znikwały z jego życia, zdała sobie sprawę z tego, że były to jedynie miłości nie mające nic wspólnego z prawdziwym, szczerym uczuciem. Ich towarzystwo nużyło ojca tak szybko, że Roberta nie pamiętała już ani ich imion, ani twarzy. Wiedziała tylko, że większość z nich to były Francuzki, na ogół bardzo atrakcyjne i eleganckie.

Roberta przypominała sobie pewną włoską księżniczkę, której rysy twarzy na zawsze skojarzyły się w jej pamięci z monumentalnymi świątyniami Rzymu, płomykami świec migocącymi w bazylice Świętego Piotra i barkami pełznącymi mozolnie po Tybrze.

Pewnego dnia księżniczka znikła jednak także, ustępując miejsca Francine, która pozostała u boku ojca najdłużej, bo przez dwa lata. Rozważając teraz wszystko, co zdarzyło się przez ten czas, Roberta dostrzegała wyraźnie różnicę między tym, co łączyło hrabiego Wentwortha z Francine, a uczuciem, którym darzył niegdyś jej matkę. Doskonale pamiętała jeszcze z dzieciństwa tę wspaniałą atmosferę, która panowała w domu, gdy znajdowali się w nim obydwój rodzice. Niezależnie od pory roku wydawało jej się wtedy, że wszystkie pokoje wypełnione są ciepłym, słonecznym blaskiem. Teraz zrozumiała, że to miłość rozświetlała każdy kąt ich domu. Co więcej - ten sam rodzaj światła wykryła dzisiaj spojrzawszy na obraz Adama i ten sam blask przenikał ich obydwój na wskroś, gdy pierwszy raz Adam pocałował ją na werandzie.

„To jest właśnie prawdziwa miłość! - mówiła sobie w duchu. - Wszystko inne jest przemijaniem, chwiejnym i niepewnym jak pełgający płomyk, po którym nie zostanie nic oprócz garści popiołu.”

Zwracając się do Adama, powiedziała:

- Ja... nie potrafię ci tego wyjaśnić, ale... nie mogę uczynić zadość twoim prośbom.

- Nie rozumiem ciebie. Przecież mnie kochasz!

- Skąd... ta pewność?

- Domyśliłem się tego całując cię wczoraj wieczorem - odparł Adam. - To był nie tylko najcudowniejszy pocałunek w moim życiu, lecz także i najbardziej niezwykły. Kiedy moje usta dotknęły twoich, miałem wrażenie, że staliśmy się nierozzerwalną jednością i żadne z nas nie jest już w stanie żyć oddzielnie!

Roberta milczała zaskoczona, gdyż dokładnie czuła to samo. Głęboki, pełen wzruszenia głos Adama zdawał się przenikać ją, powodując rozkoszne drzenie całego ciała. Obawiając się, że jeśli tylko Adam pochwyci ją teraz w ramiona, nie będzie mu się w stanie oprzeć i przyrzeknie wszystko, czego tylko zażąda, zerwała się z miejsca.

- Muszę... iść do Danny'ego! - powiedziała szybko i wybiegła z kuchni. Zamknąwszy za sobą drzwi sypialni odetchnęła głęboko, po czym rozejrzała się po pokoju, Danny leżał już w łóżku, prawie śpiąc.

- Jestem okropnie zmęczony - zamruczał, gdy Roberta przysiadłszy na brzegu tapczanu pochyliła się, aby go pocałować.

- Jesteś zadowolony z dzisiejszego dnia?

- Było byczo!

- Byczo? - zdziwiła się Roberta. - To jakieś nowe słowo!

- Wujek Adam powiedział, że jest byczo, odkąd mieszkamy w jego domu!

- To bardzo uprzejmie z jego strony - odparła Roberta z całej siły powstrzymując się, aby nie wybuchnąć śmiechem.

- Kocham wujka Adama - oświadczył nagle Danny. - I kocham Kolumba, ale najbardziej ze wszystkich kocham ciebie!

- Dziękuję ci, kochanie - szepnęła Roberta całując go.

Powieki chłopca opadły i po chwili spał już mocnym, spokojnym snem. Roberta zaciągnęła zasłony i powoli, niezbyt pewnym krokiem wróciła do bawialni. Przez drzwi od kuchni ujrzała, że naczynia zostały poukładane równo w zlewie, a resztki jedzenia schowane do spiżarni. Adam siedział na sofie. Na widok Roberty nie wstał jednak, tylko wyciągnął ku niej rękę.

- Chodź tu i usiądź przy mnie - powiedział.

- Nie zrobię tego - Roberta pokręciła głową - jeśli będziesz nadal namawiał mnie do tego... co przedtem.

- Już nie będę, przyrzekam. Zbyt mocno cię kocham, aby próbować zmuszać cię do czegoś wbrew twojej woli. Poczekam, aż sama tego zapragniesz. Tylko, na Boga, nie każ mi czekać zbyt długo!

Stwierdziwszy z ulgą, że udało jej się wygrać tę potyczkę, Roberta zdecydowała się usiąść obok Adama i położyła mu głowę na ramieniu.

- Czuję się tutaj... taka bezpieczna - szepnęła. Była to pierwsza myśl, która przyszła jej do głowy.

Czując, że w odpowiedzi Adam przytulił ją mocniej do siebie, dziewczyna ciągnęła dalej:

- Jeżeli jednak mamy tu pozostać przez pewien czas, musisz zgodzić się na to, abym pokrywała przynajmniej część kosztów naszego utrzymania. Mam jeszcze pieniądze, a sam wiesz, że suma, którą dostałeś za swoje obrazy, nie starczy na długo.

- Myślałem już o tym - odparł Adam. - Istnieje tyle rzeczy, które pragnąłbym wam podarować! Jest jednak na to pewien sposób. Muszę po prostu skończyć malować obraz, który zamówiła u mnie pewna starsza pani.

Ostatnie zdanie wypowiedział z tak wyraźną niechęcią w głosie, że Roberta zapytała:

- Czy to ma być obraz z gatunku tych, które godne są, aby znaleźć się w Akademii Królewskiej?

- No właśnie. Kwiaty! Wierny wizerunek kwiatów w pięknej, chińskiej wazie! - prychnął pogardliwie Adam.

- Jestem pewna, że gdybyś tylko chciał, malowałbyś tak, jak sam de Heem - stwierdziła Roberta myśląc, że mówi Adamowi komplement. Zdaniem jej ojca, kwiaty malowane przez Holendra Jana Davidsza de Heema nie miały sobie równych na całym świecie.

- Nie zamierzam malować jak de Heem - odparł ostro Adam. - Chcę tworzyć tak, jak Renoir, Sisley lub Monet. Zrozumiesz tanie na pewno, gdyż ich obrazy podobają ci się tak samo, jak mnie. Szkoda tylko, że nikt nie chce ich kupować!

Roberta roześmiała się.

- Natomiast de Heem w twoim wykonaniu przyniesie ci dochód. Można wiedzieć jaki?

- Całkiem niezły - odpowiedział skromnie Adam.

- A więc na co czekasz? - spytała Roberta. - Rusz się z kanapy i skończ dla niej ten obraz! Wtedy będę mogła karmić cię codziennie soczystymi befsztykami nie martwiąc się tym, ile kosztowały!

Adam uśmiechnął się całując ją w czoło.

- Przejrzałem twoje zamiary - oświadczył. - Chcesz sprowadzić mnie na manowce z drogi, którą sobie wyznaczyłem!

- Ta droga może okazać się bardzo wyboista szczególnie wtedy, gdy będziesz głodny - odparowała Roberta. - Byłoby o wiele prościej, gdybyś przystał na moją propozycję!

- Nie przyjąłbym pieniędzy ani od ciebie, ani od żadnej innej kobiety! - powiedział Adam poważnie. - I nigdy nie porzucę malowania, aby udać się do Rocky Mountains na poszukiwanie złota!

- To brzmi bardzo interesująco! Gdybyś jednak zdecydował się tam pojechać, mogłabym udać się wraz z tobą i gotować dla innych poszukiwaczy złota. Czytałam, że ci ludzie trwonią znalezione złoto na zabawy w gospodach i na dziewczęta!

- To prawda - przyznał Adam. - Pracują jednak tak ciężko, że gdyby nie odrobina rozrywki nie znieśliby długo trudów i niebezpieczeństw, na które są narażeni.

- Czy to oznacza, że gdybyś znalazł się wśród nich, stałbyś się taki, jak oni?

- Oczywiście że tak!

„Rozrywka: oto czym byłabym dla niego - pomyślała Roberta. - Jednak ja wcale nie mam ochoty być dla niego zabawką, którą będzie mógł odrzucić od siebie w każdej chwili, gdy tylko poczuje się znudzony. Nie chcę być taka, jak te wszystkie kochanki mojego ojca, którymi mężczyźni zajmują się z braku innych zajęć!”

Wspomniawszy ojca, westchnęła mimo woli.

- Nie mogę patrzeć, jak trapią cię jakieś złe myśli - powiedział Adam przyglądając się jej z czułością. - Pragnę, abyś już zawsze była szczęśliwa i nigdy nie musiała się bać, tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy ujrzałem cię na progu mego domu!

- Bałam się, że będziemy musieli nocować wraz z Dannym gdzieś pod drzewem, strzeżeni jedynie przez Kolumba.

- Teraz ja będę was strzegł i ochraniał. Zapadła chwila milczenia. Potem Adam zapytał:

- Czy on naprawdę tyle dla ciebie znaczył?

- Kto?

- Twój mąż, oczywiście!

Roberta zawahała się. Miała już dosyć kłamstw. Od dziecka nie znosiła mówienia nieprawdy, zwłaszcza tym, których kochała. Adam patrzył na nią wyczekująco.

- Ja... nie chcę o nim mówić - powiedziała wreszcie Roberta po długiej chwili milczenia.

- Ja też nie - zgodził się z nią Adam. - Czuję się wściekle zazdrosny na myśl o tym, że ktoś inny kiedyś całował cię i pieścił. Jesteś moja, Roberto, tylko moja! Mógłbym zabić natychmiast każdego mężczyznę, który zbliżyłby się do ciebie choćby na krok!

Gwałtowność w jego głosie zaskoczyła Robertę. Jednocześnie zaś dziewczyna wiedziała, że pragnie całym sercem być jak najbliżej niego. Tylko przy nim czuła się bezpieczna, a świat nie przerażał jej ogromem niebezpieczeństw, które czyhały na nią i Danny'ego.

Adam musnął swymi wargami jej czoło, potem powieki i policzki Roberta zamknęła oczy. Tak bardzo chciała, aby całował ją znowu! Uniosła ku niemu twarz, lecz on tylko delikatnie wodził palcami po jej policzkach, a potem wzdłuż szyi. Dotyk jego ręki budził w Robercie odczucia, których nie umiała nazwać. Serce trzepotało w jej piersi jak szalone i dziewczyna wiedziała, że serce Adama bije w takim samym, przyspieszonym tempie.

Powoli, ruchem tak delikatnym jak opadanie płatka kwiatu, Adam ułożył ją obok siebie na sofie. Wypełniona słodką niemocą nie stawiała mu oporu. Teraz ich ciała dotykały się nawzajem, a usta pospieszyły nareszcie ku sobie. Jednak tym razem Adam całował ją, pełen ukrytego żaru, sięgając łakomie po coraz więcej i więcej. Roberta czuła, jakby ciało odmówiło jej posłuszeństwa i poddało się całkowicie pulsującemu rytmowi narastającej namiętności. Gdy usta Adama zaczęły pieścić delikatnie jej szyję,

dziewczyna miała ochotę krzyknąć, gdyż miała wrażenie, że serce za chwilę wyskoczy jej z piersi.

Adam tulił ją do siebie coraz mocniej, tak że w końcu serca ich obydwójga zaczęły bić jedno przy drugim w zgodnym, oszalałym rytmie. Roberta czuła narastającą niecierpliwość jego ciała, która, ku jej zaskoczeniu, wywoływała słodki odzew w najtajniejszych skrytkach jej własnego wnętrza.

- Pragnę cię! O Boże, jak ja ciebie pragnę! - mruknął Adam zanurzając twarz w jej włosach.

Miała wrażenie, jakby jego coraz gorętsze i bardziej namiętne pocałunki wzniecały w niej ogień, który powoli, lecz nieubłagane ogarniał ją całą. Wydawało się jej, że jeszcze chwila, a spali ich obydwójga na popiół. Kiedy poczuła dłoń Adama na swojej piersi, jakiś głos wewnętrzny ostrzegł ją, że znalazła się na drodze, z której nie ma odwrotu. Zrozumiała, że powinna obawiać się nie jego, lecz siebie samej. Nadludzkim niemal wysiłkiem udało się jej odepchnąć Adama od siebie, przy czym, gdy tylko wypuścił ją ze swych objęć, ześliznęła się z sofy na podłogę.

- Nie, nie, nie! - powiedziała kręcąc głową, jak gdyby w odpowiedzi na nie zadane jeszcze przez niego pytanie.

Adam nie mówił jednak nic, odchyliwszy się do tyłu, i patrzył na nią płonącym wzrokiem. Roberta powoli wstała z podłogi.

- Nie mogę! - szepnęła urywanym głosem nie mając śmiałości spojrzeć mu w oczy. - Och, Adamie ja... nie mogę tego zrobić!

Jednak całą sobą tęskniła za tym, aby czym prędzej powrócić do niego, aby być tak blisko, jak tego pragnął. Nogi ugiwały się pod nią, a serce przepełniał ogromny żal, który sprawiał jej niemal fizyczny ból. Powoli, jak we śnie, Roberta przeszła przez bawialnię do pokoju, w którym spał Danny.



Zamykając za sobą drzwi sypialni miała wrażenie, że zatrzaskuje bramy raj, który utraciła z własnej woli. Serce wyrywało się jej ku temu mężczyźnie, którego zostawiła samego z jego pragnieniem i tęsknotą. Przebrała się w nocną koszulę i padwszy na łóżko ukryła rozognioną twarz w poduszce. Nie zmuszała się nawet do zaśnięcia wiedząc, że i tak byłoby to niemożliwe.

Wczesnym rankiem Roberta usłyszała, jak Adam krząta się po bawialni. Danny spał jeszcze, lecz leżący przy nim Kolumb podniósł głowę i nasłuchując zaczął uderzać rytmicznie o pościel swym długim, puszystym ogonem. Roberta leżała bez ruchu, ze wszystkich sił pragnąc znaleźć się natychmiast przy ukochanym i nie opuszczać go ani na krok. Przeżycia ostatniego wieczoru sprawiły jednak, że czuła się osłabiona. Była pewna, że twarz ma bladą, a oczy podkrażone i spuchnięte po nieprzespanej nocy.

- Jak mogłam być taka niemądra? - wyrzucała sobie. - Dlaczego mu nie uległam?

W głębi duszy czuła jednak, że nawet w imię największej miłości nie byłaby zdolna do zejścia z drogi, którą wskazała jej niegdyś matka. I chociaż nigdy nie rozmawiały ze sobą na tematy dotyczące moralności, lady Wentworth potrafiła własnym zachowaniem przekazać córce wyznawane przez siebie zasady. Pomimo młodego wieku Roberta wyczuwała doskonale, że wszystkie kobiety, które próbowały pocieszyć jej ojca po stracie żony, nie były w stanie jej dorównać. Matka Roberty nigdy nie opuściłaby męża, tak jak śliczna lady Bingham, aby uciec z innym mężczyzną. Dziewczyna była o tym całkowicie przekonana, choć nigdy nie rozmawiały na ten temat. Pamiętała tylko, jak matka powiedziała kiedyś:

- Pamiętaj, Roberto, że wszystko, cokolwiek czynimy, wywiera wpływ nie tylko na nas, ale także i na innych!

Roberta była wtedy jeszcze zbyt mała, aby pojąć znaczenie tych słów. Pilnie jednak słuchała tego, co chciała przekazać jej matka.

- Tak jak wtedy, gdy kłócisz się lub nie zgadzasz z kimś, wpływa to na wszystkich dokoła - ciągnęła dalej lady Wentworth. - Podobnie jest, gdybyś postąpiła źle. Mogłoby to zmienić czyjeś życie w sposób, z którego nawet nie zdawałabyś sobie sprawy - i widząc zmieszanie w oczach córki pospieszyła z wyjaśnieniem: - Wiesz przecież, że dzieci z okolicznych wiosek uwielbiają cię. Jestem pewna, że gdyby dowiedziały się, że byłaś niegrzeczna lub zasmuciłaś czymś swoich rodziców, uznałyby, że wolno im zachowywać się w ten sam sposób!

Wspominając tamtą rozmowę z matką, Roberta pomyślała mimo woli, że tutaj, w Ameryce, nie ma nikogo, komu musiałaby dawać dobry przykład swoim zachowaniem. I nagle przypomniała sobie o Dannym. To prawda, że był jeszcze bardzo młody, ale przy tym i niezwykle spostrzegawczy. Cały czas uważał, że Roberta została przysłana z nieba przez jego matkę. Czy mogła pozwolić, aby widział, że zachowuje się niczym prosta dziewczyna z tancbudy dla poszukiwaczy złota?

- Muszę być godna szacunku, chociażby tylko Danny'ego - szepnęła Roberta do siebie czując, że jest to najcięższe zadanie, jakie kiedykolwiek przed nią stanęło w życiu.

Kiedy ubrawszy się weszła do bawialni, ujrzała tam to, co podświadomie spodziewała się zobaczyć. Stojąc przed sztalugą, Adam malował w skupieniu wazon z kwiatami, który ustawił tuż przed jednym z okien na małym stoliczku. Roberta z trudem powstrzymała uśmiech widząc, że nieposkromiona fantazja malarza kazała dorzucić mu do zwykłych kwiatków zebranych na łące kilka storczyków i lilii z ogrodu.

Zaskoczona niezwykłą kompozycją, nie mogła powstrzymać się od pytania:

- Czy sam zasadziłeś te lilie, czy też to pozostałość po byłych lokatorach tego domku?

- Nie było tu żadnych innych lokatorów poza mną - odparł Adam. - Mój ojciec podarował mi ten dom, gdy byłem w college'u. Twierdził, że nie może znieść hałasu, który czynimy w domu wraz z kolegami!

- Cóż za miły prezent! - stwierdziła Roberta.

- Tak samo myślałem, gdy go dostałem. Zawsze lubiłem kąpać się i pływać łodzią po morzu. Później, gdy wróciłem z Paryża, byłem bardzo zadowolony, że będę miał własną pracownię!

- Nigdy nie malowałeś przed swoim pobytem we Francji?

- Zawsze uwielbiałem rysować. Próbowałem też trochę swoich sił w akwareli i technice olejnej. Po skończeniu college'u postanowiłem jednak zwiedzić trochę świata i pojechałem najpierw do Londynu, a potem do Paryża.

- I co myślisz o Paryżu?

- Byłem nim oczarowany! Zrozumiałem, że wszystkie moje próby przeniesienia na płótno światła, które nas otacza, prowadziły do tego, co impresjoniści odkryli już dawno!

- I od tego czasu zająłeś się już tylko malowaniem?

- Długo się nad tym zastanawiałem - odparł Adam. - I teraz już wiem na pewno, że nie chcę robić w życiu nic innego!

Stanowczy ton, którym zostały wypowiedziane te słowa, świadczył o tym, że nie była to łatwa decyzja. Roberta nie chciała jednak zadawać mu dalszych pytań w obawie, że mógłby jej odpłacić tym samym. Poruszając się cicho po miękkim dywanie podeszła bliżej do Adama. On jednak nie odwrócił się do niej, tylko stwierdził kwaśno:

- Jak widzisz ciężko zarabiam dziś od rana na chleb i mam nadzieję, że będzie to przynajmniej chleb z masłem!

- Pewnie mi i tak nie uwierzysz - powiedziała Roberta patrząc mu przez ramię na płótno. - Myślę jednak, że ten obraz będzie wyjątkowo udany!

- Dla takich, którym odpowiada ten rodzaj malarstwa!

- No właśnie. Ja jestem jedną z nich - oznajmiła Roberta kierując się w stronę kuchni.

Adam roześmiał się ironicznie. W czasie śniadania nie odzywał się prawie w ogóle, nie patrząc nawet w kierunku Roberty. Dziewczyna czuła, że ma do niej żal o to, co stało się zeszłej nocy. Chcąc mu to jakoś wynagrodzić, powiedziała:

- Jeśli nuży cię praca, którą teraz wykonujesz, mogę pozować ci godzinę albo dwie.

- Lepiej będzie, jeżeli skończę czym prędzej ten przekłety kicz - odparł Adam sucho. - Jutro pojedę z nim do San Diego. Wyruszę wczesnym rankiem i powrócę przed zmrokiem. Mam nadzieję, że przywiozę dość pieniędzy na wystawne życie, które będziemy wieść od tej pory!

- Wszyscy będziemy się z tego cieszyć! - uśmiechnęła się do niego Roberta, lecz on nie odpowiedział jej uśmiechem.

Bez słowa wstał od stołu i wrócił do sztalug, po czym zabrał się ponownie do malowania. Ze swego miejsca w kuchni Roberta mogła dojrzeć, że szło mu to doskonale.

„Gdyby tylko chciał - pomyślała - mógłby zrobić niezły majątek na malowaniu takich obrazów, jakich ludzie oczekują od niego.”

Dziewczyna wiedziała, że starsze panie uwielbiają obrazy przedstawiające kwiaty. Jej babka miała kilka takich płócien w swoim salonie, a ciotka Emilia starannie wyszywała pokrowce na krzesła w jadalni w bogate, kwieciste wzory.

Zerkając ukradkiem na wspaniały profil Adama, Roberta dostrzegła jego zaciśnięte z tajoną pasją wargi i chłodne,

lekko pogardliwe spojrzenie, którym mierzył od czasu do czasu powstający pod jego pędzlem obraz.

„Niezmiernie trudno jest przeciwstawiać się ogólnie uznanym konwencjom” - pomyślała i w tej samej chwili przypomniał jej się ojciec. On też uciekł od życia wytyczonego po zbyt prostej, ogólnie uznanej za właściwą, drodze. Różnica między hrabią Wentworthem a Adamem polegała jednak na tym, że ten pierwszy dysponował odpowiednio dużym majątkiem, aby móc pozwolić sobie na taki wybryk, Adam zaś był biedny i jeśli chciał przeżyć, musiał raz na jakiś czas zadać gwałt swej artystycznej naturze, sprzedając talent, którym obdarzyła go natura, ludziom o pospolitych gustach, lecz pełnych portfelach.

Kiedy tuż przed obiadem obraz został skończony, Roberta nie mogła powstrzymać się jednak od okrzyków szczerego zachwyty.

- Jakie to piękne! - zawołała. - Musisz chyba sam to przyznać]

- Nie widzę w nim nic szczególnego. To tylko mnóstwo kwiatów wciśniętych do starej wazy. O wiele lepiej wyglądałyby, gdyby pozostawiono je tam, gdzie rosły!

Roberta roześmiała się.

- Teraz już jesteś nieznośny! - stwierdziła. - I proszę, przestań już mościć się na mnie za to, że uraziłam twoją dumę proponując d, że dołożę do naszego utrzymania kilka dolarów!

Adam spojrzał na nią ze zdumieniem i nagle roześmiał się także.

- No dobrze - przyznał. - Wygrałaś. Sprzedam ten obraz i kiedy wydamy wszystkie, pamiętaj: wszystkie pieniądze, które za niego otrzymam, pozwolę ci dołożyć twój wdowi grosz do naszego utrzymania, abyśmy przypadkiem nie umarli z głodu!

- To najbardziej sensowna rzecz, jaką powiedziałaś od dłuższego czasu - oznajmiła Roberta. - A kiedy wrócisz z San

Diego, będzie tu czekał na ciebie najwspanialszy i najwystawniejszy obiad, jaki można sobie wyobrazić!

- Do którego przywiozę butelkę najlepszego szampana - wpadł jej w słowo Adam. - A w razie braku takiego postaram się o najwspanialsze kalifornijskie wino. Jestem pewien, że takiego jeszcze nie próbowałaś w życiu!

- Obiecanki - cacanki! - drażniła się z nim Roberta.

Śmiali się już teraz obydwójce, a Adam ogarnawszy ją na chwilę ramieniem, przyciągnął ku sobie przytulając na chwilę jej głowę do swego policzka. Potem Roberta wróciła do kuchni, aby dokończyć gotowania.

Ciemne chmury, które zbierały się nad ich głowami, rozproszyły się ostatecznie i siedząc razem przy obiedzie wydawali się tak szczęśliwi i beztroscy jak nigdy dotąd. Wkrótce dołączył do nich Danny, który śmiejąc się i żartując wraz z nimi, ukradkiem podawał co smaczniejsze kąski czekającemu przy jego krześle Kolumbowi. Spoglądając na psa Roberta pomyślała, że wygląda on teraz zupełnie inaczej niż wtedy, gdy na wpół żywy z głodu musiał ukrywać się w krzakach. Jego sierść była gęsta i błyszcząca, a z mądrych brązowych oczu zniknął wyraz pełnej napięcia czujności, który nie tak dawno gościł w nich stale.

„Nawet on jest tu szczęśliwy”, pomyślała Roberta.

I nagle napotkała wzrok Adama, który obserwował ją ponad stołem z nieukrywaną czułością i tęsknotą. I wtedy pomyślała, że to nie jego powinna się obawiać, tylko siebie samej.

„Jak długo jeszcze zdołam się mu oprzeć, skoro zarówno moja dusza, jak i ciało wyrywa się, by należeć tylko do niego”, myślała z rozpaczą. Dobrze wiedziała, że pragnie go tak samo silnie, jak i on jej.

## ROZDZIAŁ 6

- Czy naprawdę musimy stąd wyjeżdżać, ciociu Roberto?  
- pytał żalonym głosem Danny już chyba po raz szósty.

Trzymając go za rękę, drugą Roberta usiłowała uchwycić wszystkie przygotowane już do drogi bagaże. Uporawszy się z tym, powiedziała:

- Mówiłam ci już, że musimy jechać do San Francisco!

- Nie chcę jechać do San Francisco! - upierał się Danny. -  
Chcę zostać tu, nad morzem, i pływać razem z wujkiem Adamem!

Roberta pomyślała, że ona też tego pragnie. Jak jednak miała wyjaśnić temu dziecku, że jedynym wyjściem dla niej jest porzucenie Adama? Czuła lęk wiedząc, że od tej chwili znów zdani są z Dannym tylko na siebie. Kto wie, jakie niebezpieczeństwa będą czyhać na nich, kiedy opuszczą gościnny domek nad morzem? Roberta zdawała sobie jednak sprawę z tego, że nie może postąpić inaczej, jeżeli naprawdę chce zawrócić z drogi prowadzącej donikąd.

Poprzedniej nocy, gdy tonąc we łzach, na próżno szukała wyjścia z sytuacji, w której się znalazła, myślała tylko o sobie i o Dannym. Wczorajszego wieczoru zrozumiała jednak, że powinna zatroszczyć się także i o Adama, ponieważ i on stanął wobec trudnego do rozwiązania problemu.

Kiedy ułożyła już Danny'ego do snu, odczuła lęk przed powrotem do bawialni, gdzie siedział Adam. Obawiała się, że znów zacznie ją całować i pieścić, a ona nie znajdzie w sobie dość siły, aby wyrwać się z jego objęć. Zamknawszy więc za sobą drzwi pokoju, w którym spał Danny, stanęła przy nich wahając się, czy ma iść dalej.

- Chodź do mnie, Roberto. Chcę z tobą porozmawiać! -  
odezwał się nagle Adam.

Siedział na sofie, tak jak wczoraj. Roberta zauważyła ze zdziwieniem, że ogień w kominku był rozpalony, mimo iż noc

wydawała się całkiem ciepła. Dziewczyna stała wciąż przy drzwiach od sypialni rozważając w duchu, czy nie lepiej byłoby zawrócić i zostawić Adama samego.

- Nie obawiaj się - powiedział Adam, jak gdyby umiał czytać w jej myślach. - Nie dotknę cię nawet, jeśli sobie tego nie życzysz. Usiądź tylko obok mnie i wysłuchaj, co chcę ci powiedzieć!

Ponieważ mówił spokojnym, niemal przygnębionym głosem, Roberta zdecydowała się go usłuchać. Podeszedłszy ku sofie, usiadła jednak na samym brzegu tak, że pomiędzy nią a Adamem pozostało jeszcze sporo miejsca.

Adam milczał jeszcze przez chwilę, patrząc w ogień.

- Bardzo mi było wstyd wczoraj, że przestraszyłem cię swoim nieodpowiedzialnym zachowaniem - rzekł cicho.

- Ależ... nic się nie stało - szepnęła Roberta rumieniąc się po same uszy.

- Stało się! - zaprotestował Adam. - Zachowałem się niewłaściwie i zdaję sobie z tego sprawę. Moim jedynym usprawiedliwieniem jest to, że w twojej obecności tracę rozum i sam już nie wiem chwilami, co robię!

Słyszając wzbierającą w jego głosie namiętność, Roberta zadrżała lekko. Adam dostrzegł to i dalej mówił już znacznie spokojniej:

- Istnieje wiele rzeczy, które musimy sobie wyjaśnić. Nie będzie to łatwe. Myślę jednak, że jako niezwykle inteligentna kobieta, potrafisz wiele zrozumieć!

- Nie musisz mi niczego wyjaśniać - pospieszyła Roberta z zapewnieniem. - Po prostu narzuciłam ci się wraz z Dannym i najlepiej byłoby, gdybyśmy odjechali stąd jak najprędzej!

- Jak mógłbym na to pozwolić, jeśli wasze towarzystwo jest wszystkim, czego pragnę? Nie potrafiłbym już teraz żyć bez was! - powiedział Adam, rozkładając dłonie w nieco bezradnym geście. Po chwili milczenia ciągnął dalej: - Kiedy



mieszkałem tu sam, nieraz rozpalałem ogień na kominku tak jak teraz i siadałem przed nim, gdyż wydawało mi się, że w ten sposób łatwiej mi będzie znieść samotność!

Brzmiało to jak skarga i Roberta ledwo powstrzymała się od tego, aby objąć go za szyję i utulić jego głowę w obu dłoniach ciepłym, matczynym gestem. Zamiast tego wcisnęła się w sam róg sofy, jak tylko mogła najdalej.

- Zamieszkałem tutaj - mówił Adam - aby spróbować, czy potrafię utrzymać się z malowania obrazów. Malarstwo jest dla mnie wszystkim i żeby móc je uprawiać, gotów jestem kłamać, oszukiwać, kraść, a nawet ryzykować własne życie!

Gdyby podniósł głos, słowa te zabrzmiałyby przesadnie patetycznie. Jednak on mówił cicho, spokojnie, patrząc na Robertę poważnym, niemal smutnym wzrokiem.

- Czasami wydaje mi się, że jeżeli nie powiodą się moje plany, nie będę miał po co dłużej żyć! - szepnął z rozpaczą.

- Ależ wszystko powiedzie ci się doskonale! - zapewniła go Roberta. - Jestem tego najzupełniej pewna!

- Bardzo pragnąłem usłyszeć takie właśnie słowa! - zawołał Adam, po czym dodał poważniejąc nagle: - Teraz gdy pojawiłaś się już w moim życiu, gdy wiem, ile dla mnie znaczysz, zrozumiałem, że stałaś się najgroźniejszą rywalką dla mojej pracy!

- Bardzo mi... przykro z tego powodu - szepnęła Roberta ze skruchą.

- Dobrze wiesz, że nie śmiałybym winić cię o nic! - odparł Adam. - Jesteś moją największą miłością, jedynym światłem moich oczu. Czasami wydaje mi się, że stanowimy jedno ciało i jedną duszę, bo jesteś tak nierozdzielnie związana z moim twórczym natchnieniem. Twoja obecność inspiruje mnie, jak nic dotychczas. Od kiedy pojawiłaś się w moim domu, widzę świat w zupełnie odmienny sposób niż do tej pory. Tyle

nowych pomysłów snuje mi się po głowie! Sam nie wiem już, co mam począć!

Roberta spojrzała na niego uważnie. Wyglądał, jakby zmagał się wewnętrznie z czymś, co nie dawało mu spokoju. Dziewczyna nie rozumiała wprawdzie, co to mogło być, lecz całym sercem pragnęła podtrzymać tego upartego, silnego mężczyznę w jego walce o prawo do głoszenia własnej prawdy artystycznej.

- Powiedz, co cię trapi - spytała ze szczerością, która płynęła z głębi serca. - Chciałabym... ci pomóc.

W następnej chwili pożałowała tego spontanicznego wyznania zrozumiałwszy, że choć twierdził, iż jest dla niego natchnieniem, nadal zapewne pragnie jej jako kobiety.

Adam milczał jednak przez dłuższą chwilę, po czym powiedział cicho:

- Ja... nie mogę zaproponować ci małżeństwa. Roberta spojrzała na niego zaskoczona, gdyż nie były

to słowa, jakich spodziewała się od niego usłyszeć. Zdawała sobie wprawdzie sprawę z tego, że w gruncie rzeczy małżeństwo z Adamem było tym, czego pragnęła najbardziej. Odrzucając jednak propozycję zostania jego kochanką nie spodziewała się, że kiedykolwiek będą rozmawiać na temat zawarcia ślubu.

- Z trudem udaje mi się zarobić na własne utrzymanie - mówił ze smutkiem Adam. - Czy w takiej sytuacji mógłbym brać na siebie odpowiedzialność za ciebie i Danny'ego oraz nasze własne dzieci, które przyszłyby na świat?

- Rozumiem cię doskonale... - szepnęła Roberta.

- Ja muszę malować! Po prostu muszę! Pokłóciłem się z własnym ojcem, gdyż on śmiał się tylko z moich planów. Powiedział, że nigdy nie dam sobie rady sam. On twierdzi, że jedyną drogą do osiągnięcia powodzenia w życiu jest

podporządkowanie się jego woli i wykonywanie zawodu, który mi przeznaczył!

Po długiej chwili milczenia Adam, wpatrując się w ogień, powiedział:

- Chciałbym, żebyś podczas mojej jutrzejszej nieobecności starannie rozważyła sytuację, w której się obydwójce znaleźliśmy. Kocham cię, Roberto. Żadnej innej kobiety nie kochałem nigdy tak jak ciebie. Wiem, że jesteś częścią mnie samego i nikt ani nic nigdy nas nie rozłączy! - westchnął głęboko, po czym mówił dalej: - W obecnej chwili mogę cię jednak błagać tylko o jedno: abyś została ze mną i pomogła mi przetrwać tę ciężką próbę moich sił. Muszę udowodnić sobie i innym, że potrafię sam coś osiągnąć w życiu. Jest to dla mnie jedyna droga, aby zachować szacunek dla samego siebie i pozostać wiernym moim ideałom!

Po raz pierwszy od czasu, gdy Roberta usiadła obok niego, zwrócił twarz w jej stronę i spojrzał w oczy.

- Kocham cię! - powtórzył. - Uwielbiam cię! Jesteś najwspanialszą kobietą na świecie!

W jego głosie brzmiało tak szczere wzruszenie, że Roberta poczuła szybsze bicie serca. Pomyślała, że gdyby tylko mogła, powiedziałaaby mu to samo. To on był najwspanialszym mężczyzną na świecie. Kiedy tak patrzyli na siebie w świetle migoczącego na kominka płomienia, Robercie wydało się nagle, że znów dostrzega w oczach Adama rozpalający się coraz bardziej żar pragnienia. Nagle Adam wstał z sofy i podszedłszy do okna zaczął patrzeć na morze.

- Nie dotknę cię dzisiaj wieczoru - powiedział. - Nie będę nawet próbował cię całować. Kiedy mnie jutro nie będzie, chcę, abyś pomyślała dobrze nad tym, o czym mówiłem przed chwilą. A mnie pozostanie jedynie prosić Boga, abyś po moim przyjeździe powiedziała mi to, co tak bardzo pragnę usłyszeć!

Roberta miała wrażenie, że jego cichy, spokojny głos porusza każdą strunę w jej sercu. Nerwowo spłotła dłonie zaciskając je tak silnie, aż zbieleły kostki palców. Ostatkiem sił bronila się przed nagłym impulsem, który nakazywał jej zerwać się czym prędzej z miejsca i rzucić Adamowi w ramiona. Tak bardzo chciała móc mu powiedzieć, że kocha go całym sercem i zostanie z nim na dobre i na złe! Doskonale przecież wiedziała, że dopóki trwałoby ich szczęście, on sam mógłby malować piękniej niż kiedykolwiek przedtem. I gdy szukała w myślach właściwych słów, by wyrazić choć część uczuć, które wypełniały ją całą, Adam powiedział miękko:

- Idź już spać, najdroższa. Z trudem przychodzi mi powstrzymanie się od dotknięcia choćby twojej ręki. Nie uczynię tego jednak, dopóki nie oznajmisz mi swojej decyzji!

Mówiąc te słowa otworzył drzwi na werandę, zszedł po schodkach i zniknął w ciemności. Stało się to tak nagle, że Robercie trudno było uwierzyć, iż została sama w bawialni. W pierwszym odruchu chciała biec za nim. Domyśliła się jednak, że wychodząc Adam dał jej do zrozumienia, że ich rozmowa została skończona. Gdyby mimo to usiłowała teraz dotrzymać mu towarzystwa, doprowadziłaby go zapewne do zachowania, którego pragnął uniknąć.

Roberta powoli wstała z sofy, przeszła do swojej sypialni, po czym rozebrała się i położyła do łóżka. W dwie godziny później usłyszała, jak Adam wraca do domu przez werandę. Przez cały ten czas leżała rozmyślając, wpatrzona w ciemność. Teraz już wiedziała na pewno, że wraz z Dannym będzie musiała odejść jak najszybciej z tego domu. Trudno było nie dostrzec, że obecność ich obydwójga źle wpływa na rozwój osobowości artystycznej Adama. Gdyby zostali z nim na dłużej, byłby zapewne często zmuszony do malowania obrazów przedstawiających kwiaty w wazonach, tak chętnie kupowanych przez bogate starsze panie.

„To byłoby dla niego najgorsze. Wiem o tym na pewno!" - myślała Roberta z rozpaczą w sercu.

W kilka godzin później, tuż przed świtem, Roberta usłyszała, jak Adam krząta się w bawialni. Nasłuchując pilnie myślała, że dobrze byłoby móc teraz wstać, przygotować mu śniadanie i pocałować na pożegnanie. Wiedząc jednak, że postępując w ten sposób skomplikowałyby tylko i tak niełatwą sytuację, nie ruszała się z miejsca. Kiedy wreszcie usłyszała, że wyszedł, poczuła taki przyływ tęsknoty, że z trudem powstrzymała się, by nie wybiec za nim na drogę. Nagle wydało się jej, że bez niego jest tak straszliwie samotna, iż sprawiło jej to niemal fizyczny ból.

Doszedłszy do wniosku, że i tak już nie zaśnie, Roberta wstała i zabrała się do pakowania.

Podając śniadanie, zdecydowała się powiedzieć Danny'emu, że muszą natychmiast wyjechać. Z początku chłopiec nie mógł w ogóle pojąć, o co jej chodzi.

- Wujek Adam powiedział mi, że wróci dziś wieczorem - oznajmił. - Chcę zaczekać tu na niego. Miał uczyć mnie pływać!

- Wiem o tym, kochanie. Tak się jednak stało, że musimy wyjechać - wyjaśniała mu cierpliwie Roberta, po czym dodała: - I nie mów już do mnie „mamo", tylko jak dawniej: „ciociu Roberto"!

- Dlaczego?

- Ponieważ od tej pory będziemy już zawsze mówić prawdę. - powiedziała dziewczyna stanowczo.

Nie powiedziała jednak Danny'emu wszystkiego. Postanowiła nie udawać już dłużej jego matki, ponieważ była przekonana, że taka mistyfikacja wkrótce znowu mogłaby ją wpędzić w sytuację, z której jedyną drogą wyjścia byłaby ucieczka. Gdyby Adam wiedział, z jak bardzo młodą i niedoświadczoną dziewczyną ma do czynienia, z pewnością

nie zaproponowałaby jej tak otwarcie wspólnego życia, a i jego pieśczoćy nie byłyby zapewne tak śmiałe i natarczywe. Niestety, zarówno on, jak i napotkany na drodze z Blue River woźnica uważali najwyraźniej, że skoro Roberta jest wdową, można postępować z nią bardziej obcesowo, niż gdyby była niewinną panienką.

„Zadnych więcej kłamstw! - przyrzekała sobie Roberta. - W San Francisco i tak nikogo nie będzie obchodziło to, czy Danny jest moim synem, czy może krewnym. W zasadzie jest on moim bratem ciotecznym, skoro ciotka Margaret adoptowała go oficjalnie!”

Kiedy wszystkie rzeczy jej i Danny'ego zostały już spakowane, Roberta rozejrzała się po bawialni. I nagle ogarnęły ją wątpliwości. Może popełnia błąd, decydując się na wyjazd? Może należało jednak zostać i spróbować znaleźć jakiś sposób na to, aby nie obciążać skromnych zasobów finansowych Adama?

„Nie, to się nigdy nie uda - stwierdziła Roberta ze smutkiem. - Po pierwsze, nie mam już sił dłużej go oszukiwać, a po drugie, on jest zbyt dumny, aby kiedykolwiek przyjąć ode mnie wsparcie finansowe. Musimy stąd odejść, i to natychmiast!”

Podczas, gdy Danny jadł śniadanie, Roberta napisała do Adama krótki list, który zamierzała pozostawić na stole w bawialni. List brzmiał następująco:

Kocham Cię z całego serca i dlatego wiem, że ja i Danny musimy odejść, abyś mógł osiągnąć cel, do którego dążysz. Być może kiedyś, gdy zdobędziesz już należną Ci sławę, zobaczymy się znowu. Zanim to jednak nastąpi, będę gorąco modlić się o Twój sukces i bardzo, bardzo za Tobą tęsknić.

Roberta

Na kuchennym stole zostawiła jedną porcję zimnej kolacji, przykrywszy ją czystą lnianą ściereczką. Serce bolało ją na

myśl o tym, że jest to ostatnia rzecz, jaką może zrobić dla Adama. Decyzja została już jednak podjęta. Mówiąc sobie, że im prędzej odważy się na krok w nieznaną, tym lepiej, Roberta zebrała bagaże i ujawszy protestującego Danny'ego mocno za rękę, wyszła z domu przez drzwi frontowe.

Postanowiła udać się w stronę stacji kolejowej. Domyślała się, w którym miejscu ma jej szukać, gdyż kiedyś, będąc na plaży usłyszała z tamtej strony odległy gwizd parowozu.

Droga dłużyła się nieznośnie. Bagaże wydawały się ważyć coraz więcej, a uwieszony ręki Roberty Danny narzekał płaczącym głosem, że bołą go nogi. W końcu pojawiły się przed nimi budynki niewielkiej stacji kolejowej. Człowiek, który wyszedł na ich widok z małego kantorka, okazał się zawiadowcą, kasjerem i tragarzem w jednej osobie. Przyglądając się Robertce z nietajoną ciekawością, sprzedał jej półtora biletu do stacji San Francisco. Kolumb mógł podróżować za darmo pod warunkiem, że nie będzie siadał na ławkach.

- To jest bardzo dobrze wychowany pies - zapewniła zawiadowcę Roberta, uśmiechając się do niego.

- W niektórych pociągach psy podróżują tylko w wagonie kierownika pociągu - oświadczył tamten z powagą w głosie.

- Cieszę się więc, że na tej linii nie ma tak surowych przepisów!

Za pół godziny pojawił się pociąg, który jechał z San Diego, zatrzymując się po drodze na wszystkich stacjach. Tym razem Roberta nie wykupiła biletu pierwszej klasy i w przedziale, w którym mieli podróżować wraz z Dannym siedziało już kilka osób. Wydawali się jednak przyjaźnie nastawieni. Mężczyźni na widok Roberty uchyliłi kapeluszy mówiąc: „Dzień dobry, madam”. Usadziwszy Danny'ego tuż przy oknie, dziewczyna zajęła miejsce między nim a mężczyzną, który siedział z nosem w jakichś papierach.

Widząc to Roberta pożałowała, że nie wzięła czegoś do czytania na drogę, co pozwoliłoby jej zapomnieć, że z każdą chwilą oddala się coraz bardziej od Adama i że być może nie zobaczy go już nigdy w życiu. Sama myśl o tym powodowała, że łzy napływały jej do oczu. Chcąc za wszelką cenę oderwać się od wspomnień, nachyliła się do Danny'ego i zaczęła pokazywać mu coś za oknem. Jednak chłopiec, ledwo rzuciwszy okiem na przesuwające się za oknem widoki, przywołał Kolumba, po czym objął go za szyję, szepcząc mu coś na ucho. Roberta patrzyła na to ze ściśniętym z żalu sercem. Przypomniała sobie bowiem, że tak samo chłopiec zachowywał się wtedy, gdy był zmuszony ukrywać Kolumba w krzakach, za ogrodem pastora. Prawdopodobnie poczuł się znów tak samo zagrożony jak wtedy. Roberta westchnęła głęboko. Wszak i ona nie była zbyt pewna siebie, zdążając do całkiem obcego miasta i nie wiedząc nawet, gdzie przyjdzie im spędzić następną noc. Rozglądając się po przedziale, dziewczyna przypadkiem rzuciła okiem na papiery, nad którymi ślęczał siedzący obok mężczyzna. Ku swemu zdumieniu stwierdziła, że było to tłumaczenie z języka arabskiego na angielski. Tekst zawierał wiele terminów technicznych dotyczących, jak jej się wydawało, pociągów. Nie mogąc opanować ciekawości, Roberta zerkała mężczyźnie przez ramię, zupełnie odruchowo porównując przekład z oryginałem. I nagle, nie bacząc na to, że nie powinna wtrącać się w nie swoje sprawy, rzuciła impulsywnie:

- Przepraszam, ale to słowo przełożył pan błędnie! Piszący mężczyzna uniósł głowę znad papierów, gapiąc

się na nią z zaskoczony. Był to całkiem młody człowiek; nie wyglądał na więcej niż trzydzieści lat. Gładkie uczesanie i druczane okulary nadawały mu typowy wygląd urzędnika.

- Błędnie? - powtórzył zdumiony. - Czy mam rozumieć przez to, że zna pani język arabski?



- Całkiem dobrze - odparła Roberta. - A słowo, które przetłumaczył pan przed chwilą to nie „list”, a „korespondent”.

Urzędnik patrzył na nią tak, jakby nie mógł uwierzyć własnym uszom. Roberta dodała więc wyjaśniającym tonem:

- Mukatib znaczy „korespondent”, a „list” to maktub!

- Doprawdy? - spytał młody człowiek spoglądając na przetłumaczony przez siebie tekst. - Dziękuję, że zwróciła mi pani na to uwagę!

- To całkiem zrozumiałe, że język ten może sprawiać kłopoty osobom, które zetkną się z nim po raz pierwszy - powiedziała Roberto. - Istnieją bowiem dwa rodzaje arabskiego: klasyczny oraz tak zwany język Koranu. Ten drugi jest obecnie częściej używany, zwłaszcza w kręgach handlowych.

Mężczyzna w drucianych okularach popatrzył z zakłopotaniem na leżące na jego kolanach papiery.

- Byłbym bardzo wdzięczny, madam, gdyby zechciała pani sprawdzić, czy nie zrobiłem jeszcze innych błędów - zaproponował nieśmiało.

- Obawiam się, że jest ich całkiem sporo - stwierdziła Roberta przeglądając pobieżnie tekst.

W odpowiedzi młody człowiek bez słów wręczył jej swój ołówek i podsunął czystą kartkę papieru. Czytając list, Roberta stwierdziła, że został on napisany przez kogoś, kto chciał kupić i sprowadzić do Afryki kilka parowozów. Tekst był utrzymany w charakterystycznym dla Arabów, niezmiernie kwiecistym stylu, tak że trudno było doszukać się w nim właściwej treści. W końcu Robertcie udało się jednak wyczytać, że jego nadawca pisał w imieniu szejka Mahmuda al - Akbara, który chciał założyć na swoich terenach linię kolejową i był zainteresowany najszybszymi i najnowocześniejszymi parowozami. Przeglądając przekład

listu Roberta, można było zorientować się, że młody człowiek niezbyt dobrze zrozumiał treść oryginału. Roberta zaś, władając językiem arabskim o wiele lepiej w mowie niż w piśmie, żałowała niezmiernie, że nie ma przy niej Francine: tylko ona mogłaby przetłumaczyć cały list z zachowaniem wszelkich niuansów. W końcu jednak dziewczyna uporała się z przekładem, oceniając go jako dostatecznie wierny, aby móc doszukać się w nim właściwego sensu. Wręczyła go niefortunnemu tłumaczowi, który nie mógł wprost znaleźć słów, aby wyrazić swoją wdzięczność.

- Jak mam pani dziękować? - pytał wciąż od nowa. - Gdybym nie poradził sobie, jak należy z przełożeniem tego listu, mógłbym już jutro znaleźć się bez pracy!

Roberta uśmiechnęła się.

- Nie wierzę, aby pański pracodawca okazał się aż tak nieczułym człowiekiem!

Urzędnik zaśmiał się krótko, bez cienia wesołości w głosie.

- Nie słyszała pani o panu Teodorze Garson? - spytał.

- Czy to właśnie on jest pańskim szefem? Przykro mi, ale to nazwisko nic mi nie mówi.

- Nic pani nie mówi? - niemal wykrzyknął młody człowiek. - Wszyscy znają pana Teodora Garson!

- A kto to jest? - spytała ciekawie Roberta. - Gubernator Kalifornii? Burmistrz San Francisco?

Urzędnik zaśmiał się znowu.

- Nie, ktoś znacznie ważniejszy! Pan Teodor Garson jest właścicielem zarówno tej linii kolejowej, jak i wielu innych na terenie całych Stanów!

- Ach, rozumiem! - powiedziała domyślnie Roberta.

Czytała o tym, że założyciele oraz posiadacze wielkich amerykańskich linii kolejowych mieli w tym kraju władzę wprost nieograniczoną, z czego korzystali w pełni.

- A więc to pan Garson z jest tym, który ma wysłać szejkowi parowozy! - stwierdziła myśląc jednocześnie, jak bardzo typowe było to zachowanie dla bogatego i wpływowego arabskiego władcy. Szejk zapewne nigdy w życiu nie widział parowozu, ale usłyszawszy o nim, zapragnął sprowadzić kilka sztuk nie bacząc na to, że nie ma jeszcze ani linii kolejowej, ani żadnych koniecznych do jej uruchomienia urządzeń. Niewykluczone jednak, że udana transakcja z arabskim możnowładcą oznaczałaby dla pana Garsona dalsze zamówienie, gdyż inni szejkowie zaczęliby wkrótce traktować posiadanie w swoich państwach parowozów jako sprawę prestiżową.

Roberta nie mogła się powstrzymać, aby nie zadać pytania:

- Dlaczego pan Garson nie zatrudnił jakiegoś Araba, aby przetłumaczył ten list?

- Chciał, aby dokonał tego ktoś z jego pracowników - odparł urzędnik. - Poza tym życzył sobie, aby zostało to zrobione w ciągu dwudziestu czterech godzin!

- I zlecił to wiedząc, że niezbyt dobrze zna pan arabski? - zdziwiła się Roberta. - Ależ to było zadanie nie do wykonania!

- Wszyscy w biurze myśleli tak samo, ale szef powiedział, że ma to być wykonane bez dyskusji!

Roberta spojrzała na książkę, którą urzędnik trzymał w ręku. Był to bardzo stary, w większości już nieaktualny słownik arabsko - angielski.

- To jedyny słownik, jaki udało mi się zdobyć - wyjaśnił młody człowiek tonem usprawiedliwienia.

- Nie dziwię się wobec tego, że przy tłumaczeniu napotkał pan spore trudności! - powiedziała Roberta. - Wiele arabskich słów jest bardzo podobnych do siebie, czasami mają one dwa albo trzy różne znaczenia, w zależności od kontekstu.

Westchnąwszy ciężko, urzędnik powiedział:

- Zastanawiam się, czy nie byłoby zbyt wielką śmiałością z mojej strony, gdybym powtórnie poprosił panią o pomoc. Być może w biurze czekają na mnie następne listy do przetłumaczenia! .

- Byłoby mi bardzo miło pomóc panu - odparła Roberta życzliwie. - Tylko nie wiem jeszcze, gdzie zatrzymamy się wraz z Dannym w San Francisco!

- Nigdy nie była pani w tym mieście?

- Nigdy. Prawdę mówiąc, pochodzę z Anglii.

- Z Anglii! - powtórzył zaskoczony urzędnik. - Wydawało mi się właśnie, że pani ma taki śmieszny akcent. Zastanawiałem się nawet skąd mógłby on pochodzić!

Roberta właśnie zamierzała odpowiedzieć mu ostro, iż z nich dwojga to on jest tym, który ma śmieszny akcent, lecz wtem przyszło jej na myśl, że nie powinna być niegrzeczna wobec tego człowieka. Tymczasem on przedstawił się jej jako Bert Weingart i zaczął opowiadać o tym, jak ciężkie są początki dla kogoś, kto pragnie pracować w jednym z biur Teodora Garson. On sam był zatrudniony u niego dopiero od trzech miesięcy, żyjąc w ciągłym strachu przed tym, że ktoś zarzuci mu niekompetencję.

- Niewiele wiem o liniach kolejowych - wyjaśnił. - Jednak władam biegle francuskim, co przydaje się nam bardzo w kontaktach z Nowym Orleanem. Mówię także po włosku i hiszpańsku oraz potrafię porozumieć się po chińsku.

Roberta roześmiała się wesoło.

- Teraz już rozumiem - powiedziała - dlaczego pan Garson uważał, że da pan sobie radę z arabskim tekstem. Język chiński jest przecież dużo trudniejszy!

- Nie mówię jeszcze po chińsku dość dobrze - przyznał się skromnie.

- Sądzę, że nauka tylu języków naraz świadczy dobrze o pana przedsiębiorczości - zauważyła dziewczyna. - Ja sama znając arabski, nie odważyłabym się już na naukę chińskiego!

Roberta słyszała, że w San Francisco mieszka wyjątkowo dużo Chińczyków. Wiedząc jednak, że stanowią oni społeczność dość zamkniętą i jeśli warunki nie zmuszają ich do tego, nie szukają kontaktu z przedstawicielami innych narodowości, spytała Berta, jak często zdarza mu się rozmawiać w ich języku. On zaś wyjaśnił jej, że w San Francisco często słyszy się na ulicach obcą mowę i nikogo to nie dziwi.

- Większość z tych ludzi przybyła do Kalifornii w czasach „gorączki złota” - powiedział. - I mimo iż pochodzą niemal ze wszystkich stron świata, zżyli się już z tym miastem i stanowią jego nierozdzielalną część. Na przykład większość Niemców i Węgrów zajmuje się uprawą winorośli, a rybacy, którzy łowią kraby w Zatoce San Francisco, to przeważnie Włosi.

Kiedy Bert zaczął opowiadać dalej o innych Włochach, którzy założyli pierwsze w mieście pakownię i zaraz otworzyli restaurację i fabrykę czekolady, o Irlandczykach, z których większość pracowała w policji lub w straży pożarnej, i o kolonii francuskiej stanowiącej podobnie jak chińska obszar zamknięty dla intruzów z zewnątrz, Roberta poczuła, że kręci się jej w głowie. Teraz bała się tego miasta jeszcze bardziej niż wtedy, gdy zdecydowała, że właśnie ono będzie celem jej podróży.

„Jeśli to wszystko okaże się zbyt przerażające - myślała w chwilach zwątpienia - zawsze możemy wrócić do Adama.”

Natychmiast jednak zakazała sobie surowo nawet myśleć o takim rozwiązaniu. Zdając sobie sprawę, że powrót byłby niewybaczalnym błędem z jej strony, próbowała skupić się na tym, co należało teraz zrobić. Pociąg wjechał już na

przedmieścia San Francisco i podczas gdy z jednej strony toru widać było rozległe wody Oceanu Spokojnego, z drugiej ukazała się Zatoka San Francisco. Patrząc na ten widok, wbrew wszystkim surowym reprimendum, których udzielała sobie samej, Roberta poczuła przemożną chęć zawrócenia z drogi i ukrycia się w bezpiecznym schronieniu ramion Adama. Czy jednak w istocie było ono aż tak bezpieczne?

„Nie wolno mi tracić odwagi właśnie teraz, kiedy dojeżdżam do celu - tłumaczyła sobie Roberta. - Kiedyś, po latach, będę wspominać wszystkie te zdarzenia jako najciekawszą przygodę mojego życia...”

- Jeśli nie będzie to zarzuci mi pani zbytnej ciekawości z mojej strony - zwrócił się do niej nagle Bert - czy wolno mi zapytać, gdzie zamierzacie zatrzymać się na dzisiejszą noc?

- Właśnie chciałam poprosić pana o polecenie mi jakiegoś godnego zaufania hotelu - odparła Roberta.

Bert Weingart zamyślił się na chwilę, po czym powiedział:

- Moja matka byłaby bardzo rada mogąc gościć panią pod swoim dachem. Nasz domek nie jest wprawdzie zbyt obszerny, jednak postaramy się, aby było pani u nas wygodnie!

- To bardzo uprzejmie z pana strony - odpowiedziała Roberta - ale...

Właśnie szukała odpowiednich słów, aby delikatnie dać do zrozumienia młodemu człowiekowi, że wolą wraz z Dannym radzić sobie sami, kiedy nagle pomyślała „a dlaczego nie?”. W końcu krótki pobyt u pani Weingart umożliwiłby jej znalezienie odpowiedniego mieszkania, a po sprowadzeniu pieniędzy z Anglii może nawet małego domku. Danny musi przecież chodzić do szkoły, a ona sama powinna pomyśleć o znalezieniu jakiegoś zajęcia, by nie siedzieć beczynn timer. Nie miała wprawdzie jeszcze żadnego pomysłu, co mogłaby przedsięwziąć, była jednak pewna, że wkrótce coś wymyśli.

Może, znając tyle języków obcych, mogłaby zatrudnić się gdzieś jako tłumaczka? Przecież znajomość arabskiego już okazała się pomocna...

Myśli Berta wydawały się podążać tym samym torem, gdyż odezwał się nagle:

- Może jestem strasznym egoistą, ale boję się, że pani zniknie mi nagle, podczas gdy w biurze czeka na mnie z pół tuzina listów od szejka. Nie poradzę sobie z nimi bez pani!

Roberta pomyślała, że obawy Berta są rzeczywiście uzasadnione. Głośno powiedziała jednak:

- Będziemy wraz z Dannym bardzo wdzięczni pańskiej matce za gościnę. Nie chcąc jednak sprawiać jej zbyt wiele kłopotu, jutro z samego rana poszukamy sobie innego lokum.

- Myślę, że moja matka będzie mogła pomóc pani i w tym względzie - odparł Bert.

Kiedy pociąg zajechał na stację, okazało się, że pomoc Berta jest wprost nieoceniona. W bardzo sprawny sposób zorganizował przeniesienie bagaży do wynajętego powozu, którym pomknęli w dół dość stromego wzgórza, aby zaraz potem wjechać na następne, równie okazałe. Roberta słyszała wprawdzie, że San Francisco zbudowane jest na siedmiu wzgórzach, nie przypuszczała jednak, że jazda po nich może być aż tak emocjonującym przeżyciem. Danny wydawał okrzyki radości, gdy powóz zjeżdżał pełną szybkością po stromych uliczkach i wraz z woźnicą zachęcał konia do wysiłku, gdy wspinali się na kolejne wzniesienie. Roberta patrzyła zafascynowana na roztaczające się ze szczytów pagórków widoki. Wzdłuż ocienionych rzędami drzew ulic stały otoczone bujną zielenią domy. Niektóre z nich miały fasady zdobione w niezwykle wymyślny sposób, który Robercie wydawał się śmieszny. Nie zdradziła się jednak z tymi myślami obawiając się, że Bert mógłby poczuć się urażony.

Powóz zatrzymał się w końcu na jednej z bocznych uliczek, wśród domów o dość skromnym wyglądzie. Kiedy Bert wprowadził Robertę i Danny'ego do jednego z nich, znaleźli się nagle w niezwykle schludnie utrzymanym salonie, w którym wszystko aż lśniło od czystości. Rozglądając się wokół Roberta stwierdziła, że tak pedantyczny porządek mógł być dziełem jedynie gospodyni niemieckiego pochodzenia. Istotnie, pani Weingart okazała się dość okazałą jejmością, odzianą w nieodłączny, wykrochmalony na sztywno fartuch kuchenny, a jej akcent dobitnie świadczył, że urodziła się i wychowała w samym centrum kontynentu europejskiego. Słyszając opowiadanie syna o tym, jak bardzo Roberta pomogła mu w pracy, pani Weingart rozpromieniła się i zaczęła również dziękować dziewczynie, starannie dobierając słowa. Natychmiast też na stole pojawiły się przeróżne smakołyki: gorące biskwity, strudel jabłkowy, ciasto ze śliwkami i biszkopt z truskawkami. Roberta dostała świetnie przyrządzoną kawę, a Danny - mleko. Odnosząc wrażenie, że obydwójce oczekują, że zdradzi im, co przywiodło ją do San Francisco, Roberta postanowiła, że będzie już mówiła tylko prawdę, nie przyznając się jednak do swego arystokratycznego pochodzenia. Opowiedziała więc, jak po śmierci ojca w Algierze wybrała się w podróż do Ameryki, aby zamieszkać z ukochaną ciotką, która swego czasu wyszła za mąż za tutejszego kaznodzieję. Wspomniała, że będzie opiekować się Dannym do czasu, gdy Clint Dulaine zakończy swoją podróż po kraju. Na szczęście ani Bert, ani pani Weingart nie dopytywali się zbyt wiele, co skłoniło ją do samotnej podróży do San Francisco. Praktyczna gospodyni poleciła natomiast Bertowi, aby dowiedział się w biurze, czy istnieje możliwość oficjalnego zatrudnienia Roberty jako tłumaczki korespondencji nadchodzącej z Afryki.



- Nie ma sensu, synu, abyś usiłował robić coś, o czym nie masz pojęcia - powiedziała do Berta. - Umiejętność przyznawania się do własnych błędów jest nie lada umiejętnością!

- Nie sędzę, aby pan Garson zechciał zatrudnić u siebie kobietę - zaczął wątpić Bert.

- Panna Worth nie musi przecież siedzieć przez cały dzień w biurze! - odparła pani Weingart. - Mógłbyś przynosić jej listy do domu i odbierać już przetłumaczone teksty. Czy jest to takie ważne dla pana Garsona, gdzie listy są przekładane, zważywszy że praca zostanie wykonana właściwie?

Roberta spostrzegła, że Bert rozważa coś w duchu. Sędząc po jego niewesołej minie, przypominał sobie zapewne, jak nieudolne były jego próby uporania się z arabskim tekstem.

- No dobrze - powiedział w końcu niechętnie. - Zrobię tak, jak chcesz, mamu. Ale jeżeli on wyrzuci mnie za drzwi, będzie to wyłącznie twoja wina!

- Zniosę to jakoś! - oświadczyła sucho pani Weingart. - Nie przypuszczam, aby było mu łatwo znaleźć kogoś, kto włada tyloma językami, co ty!

Słyszając te słowa Bert rozpromienił się wyraźnie i widać było, że jest wyjątkowo dumny ze swoich uzdolnień.

- Myślę, że to wspaniale, iż pani syn próbuje nauczyć się chińskiego - zwróciła się do pani Weingart. - Mówiono mi zawsze, że to najtrudniejszy język na świecie!

- Bert zawsze był ambitny i uparty, zupełnie jak jego ojciec - odpowiedziała tamta. - I nie zraża się łatwo trudnościami!

Po posiłku gospodyni zaprowadziła Robertę i Danny'ego na górę, gdzie pokazała im dwa niewielkie pokoiki, w których mieli spać. Były one oszczędnie umeblowane, lecz tak jak i reszta domu nieskazitelnie czyste.

W godzinę później pani Weingart podała do stołu niezwykle obfity posiłek, który wzbudził szczególny zachwyt Danny'ego. Widząc na talerzu ogromną górę klusek polanych gęstym gulaszowym sosem, Roberta poczuła, że nie będzie w stanie zjeść nawet połowy tego dania. A kiedy na stole pojawiły się brzoskwinie zapiekane w cieście, skapitulowała.

Pan Weingart okazał się wysokim, łysawym jegomościami, którego twardy, niemiecki akcent aż nadto wyraźnie świadczył o jego pochodzeniu. Był właścicielem niewielkiej, lecz dobrze prosperującej masarni, która przynosiła dochód wystarczający dla zapewnienia utrzymania domu.

- Bert już w dzieciństwie nie mógł znieść zapachu świeżo przyrządzanych kiełbas - zwierzyła się Roberta szeptem pani Weingart, upewniwszy się przedtem, że jej mąż nie słucha. - A że był przy tym bardzo dobrym uczniem, chcieliśmy, aby znalazł sobie taką pracę, w której jego zdolności językowe zostałyby w pełni wykorzystane.

- Całkowicie to rozumiem - mruknęła Roberta.

- Byliśmy bardzo szczęśliwi, gdy udało mu się dostać pracę w biurze pana Garsona. To niewątpliwie bardzo nieprzystępny i wymagający człowiek, ale to zaszczyt pracować u niego!

Z tego, co Roberta słyszała do tej pory o panu Garsonie, zaczęła wyobrażać go sobie jako wszechpotężną, budzącą lęk istotę o niemal ponadludzkich cechach. Jakież więc było jej przerażenie, gdy następnego dnia po powrocie z pracy, Bert oznajmił jej, że pan Garson życzy sobie z nią rozmawiać.

- Rozmawiać ze mną! - wykrzyknęła Roberta, zaskoczona.

- Kiedy opowiedziałem mu, w jaki sposób pomogła mi pani przetłumaczyć list, najpierw skarcił mnie za to, że nie potrafiłem wykonać tej pracy sam. Gdy jednak wyjaśniłem mu, na czym polegały moje trudności, i pokazałem poprawki,

które naniosała pani na mój tekst, oznajmił, że chce się z panią zobaczyć!

- Czy nie mówił mu pan, że najchętniej tłumaczyłabym te listy w domu, podczas gdy pan przynosiłby mi je z biura?

- Powiedziałem mu to - odparł Bert. - On jednak oznajmił mi, że punktualnie o czwartej przyśle powóz, który zawiezie panią do jego położonego tuż za miastem domu.

Zerknąwszy na zegarek Roberta stwierdziła z przerażeniem, że właśnie dochodzi czwarta. Czym prędzej pobiegła więc na górę, aby się przebrać. Danny ruszył w ślad za nią.

- Zostaniesz tutaj, kochanie - powiedziała do niego Roberta. - Zostaniesz i będziesz czekał grzecznie, dopóki nie wrócę!

- Chcę jechać z tobą, ciociu Roberto! - upierał się Danny, a ponieważ Roberta milczała, dodał: - Proszę, weź nas ze sobą. Kolumb i ja będziemy czekać na ciebie w powozie. Nie zostawiaj nas tutaj samych!

Roberta domyślała się, że bezpośrednią przyczyną lęku Danny'ego było wciąż zakorzenione w nim przekonanie, że jeśli tylko straci ukochaną osobę na chwilę z oczu, zniknie ona na zawsze z jego życia. Ten zaledwie siedmioletni chłopiec doświadczył już tylu gwałtownych i przerażających zmian, że nie należało się dziwić, iż postanowił trzymać się kurczowo jedynej bliskiej istoty, która mu jeszcze pozostała. Uświadomiwszy to sobie, Roberta uśmiechnęła się do niego.

- Oczywiście, że możecie jechać ze mną - powiedziała. - Obawiam się jednak, że będziecie musieli siedzieć grzecznie w powozie, dopóki nie porozmawiam z panem Garsonem. Żadnego biegania po ogrodzie ani wokół domu!

- Będziemy siedzieć bardzo spokojnie! - przyrzekł Danny.

Powóz pojawił się dokładnie o wyznaczonej godzinie, po czym Roberta, Danny i Kolumb udali się w kolejną, fascynującą podróż po stromych wzgórzach San Francisco.

Roberta ustaliła z panią Weingart, że pozostanie w jej domu przez kilka dni, i przez ten czas będzie szukać wygodnego mieszkania, w którym mogłaby zatrzymać się na dłuższy czas. Okazało się, że takich mieszkań, a nawet domków do wynajęcia jest całkiem sporo. Roberta udała się więc do poleconego jej przez ojca Berta banku i zażądawszy widzenia się z dyrektorem wyjaśniła mu, kim jest i jak sprawa sprowadza ją do niego. Przedstawivszy mu kopię ostatniej woli hrabiego Wentwortha, jego korespondencję z bankiem londyńskim oraz zaświadczenie o aktualnym stanie konta, poprosiła o przeniesienie dość sporej sumy pieniędzy z Londynu do San Francisco i złożenie w depozycie na jej nazwisko.

Dyrektor banku oznajmił, że z przyjemnością udzieli jej wszelkiej możliwej pomocy przy załatwianiu niezbędnych formalności. Zadał przy tym kilka pytań, które dobitnie świadczyły o tym, że chętnie dowiedziałby się czegoś więcej o powodach podróży Roberty do Ameryki. Dziewczyna wyjaśniła mu więc, że przyjechała tu do swojej ciotki, po czym na miejscu okazało się, że lady Margaret Dulaine zmarła.

- Mam wrażenie, że to nazwisko nie jest mi obce - powiedział dyrektor najwyraźniej usiłując coś sobie przypomnieć. - Gdzież to ja mogłem się z nim spotkać?

Przymknawszy oczy, zamyślił się na chwilę, po czym sięgnął po leżący na biurku dzwonek. Na jego dźwięk w drzwiach gabinetu pojawił się jeden z urzędników.

- Proszę przynieść mi wczorajszą gazetę - polecił mu dyrektor.

- Którą, panie dyrektorze?

- „Heralda”.

Gdy urzędnik zniknął za drzwiami, bankier wyjaśnił Robercie:

- W San Francisco mamy tyle gazet, i to wydawanych w różnych językach, że czasami trudno mi jest sobie przypomnieć, którą z nich czytałem ostatnio. Jestem jednak niemal pewien, że tym razem był to „Herald”.

W minutę później, przeglądając przyniesioną przez urzędnika gazetę, dyrektor chrząknął w pewnej chwili z zakłopotaniem.

- Obawiam się, lady Roberto, że nie mam dla pani dobrych wieści - powiedział ze smutkiem.

Nachyliwszy się nad wskazanym jej przez bankiera akapitem, Roberta czytała:

### ŚMIERĆ W ROCKY MOUNTAINS

Jeden z poszukiwaczy złota, Bill Evans, doznał kilka dni temu w czasie burzy wypadku, w wyniku którego złamał nogę. Został znaleziony w górach przez wędrownego kaznodzieję, pana Dulaine, który usiłując ratować poszkodowanego, postanowił przenieść go w bezpieczne miejsce.

Obydwaj zostali jednak zepchnięci przez wyjątkowo silny wiatr do przepaści, wprost w nurty wezbranej rzeki. Mimo upadku z dużej wysokości, pan Dulaine próbował jeszcze uratować zarówno rannego, jak i siebie. Niestety, obaj zostali wessani przez prąd w głąb wodospadu i utonęli.

Roberta przeczytała notatkę prasową dwukrotnie, jakby nie mogła uwierzyć własnym oczom.

- To dla mnie straszna wiadomość, mimo iż nie znałam osobiście męża mojej ciotki - powiedziała. - Miałam nadzieję, że spotkam się z nim, gdy wróci do Blue River!

- Jest mi niezmiernie przykro, że mimo woli dostarczyłem pani tak smutnych wiadomości - westchnął bankier.

Roberta zamyśliła się głęboko, po czym stwierdziła:

- Skoro zarówno moja ciotka, jak i jej mąż już nie żyją, wolałabym, aby nikt z Blue River nie dowiedział się, gdzie przebywam obecnie. Prosiłabym pana o zachowanie daleko posuniętej dyskrecji w przypadku rozmowy z kimkolwiek z tego miasteczka.

- W pełni panią rozumiem, droga lady Roberto - odparł dyrektor banku. - W obecnej chwili nie ma powodu, aby musiała pani kontaktować się z mieszkańcami Blue River. Pani życzenie jest dla mnie rozkazem.

- Dziękuję panu - skinęła głową Roberta.

Po podpisaniu wszystkich niezbędnych dokumentów Roberta opuściła bank zostawiając dyrektorowi swój tymczasowy adres. Pieniądze miały zostać sprowadzone z Anglii w możliwie jak najkrótszym czasie, chociaż Roberta zapewniała bankiera, że dysponuje jeszcze całkiem sporą gotówką. Zanim bowiem opuściła dom Adama, wydobyla część zaszytych w obrąbku sukni banknotów, resztę pozostawiając jednak w ukryciu na wypadek, gdyby w czasie podróży przydarzyło się jej utracić bagaż. Pieniądze dotarły jednak do San Francisco bezpiecznie i było ich jeszcze dosyć, aby zapewnić zarówno jej, jak i Danny'emu kilka miesięcy całkiem dostatniego życia.

Wychodząc z banku, Roberta myślała o tym, że teraz ona jest jedyną osobą odpowiedzialną za losy Danny'ego. Cokolwiek postanowi w sprawie ich miejsca zamieszkania czy swojej pracy, musi brać pod uwagę również i dobro chłopca. Równocześnie jednak mogła być teraz już całkiem pewna, że nikt nie spróbuje go jej odebrać. Przelotnie pomyślała też, jak dobrze byłoby opowiedzieć Adamowi o wszystkim, co się zdarzyło, i wysłuchać jego rad dotyczących przyszłości chłopca. O tym jednak nie było teraz mowy.

„Muszę dać sobie radę sama” - postanowiła z determinacją.

W drodze do domu pana Garsona Danny przytulił się do jej boku, a kiedy wyjechali z miasta, zaczął wzdychać co chwila z wyraźnym niepokojem.

- Na pewno nie zapomnisz wrócić do nas, ciociu Roberto?  
- pytał niespokojnie co chwila.

- Oczywiście, że nie! - uśmiechała się do niego. - Powóz musi zabrać nas z powrotem do miasta. Chyba nie wyobrażasz sobie, że miałabym ochotę wracać pieszo taki kawał drogi!

Danny roześmiał się wesoło.

- Twoje nogi byłyby chyba bardzo, bardzo zmęczone! - powiedział.

- No właśnie - zgodziła się z nim Roberta. - A więc obiecuję ci, że wrócimy wszyscy razem do domu zaraz po mojej rozmowie z tym panem, który chce się ze mną zobaczyć!

Dziewczyna widziała, że chłopiec spogląda tęsknie na ogród, do którego właśnie wjechali. Była jednak pewna, że skoro go o to prosiła, nie ulegnie pokusie i pozostanie wraz z Kolumbem w powozie aż do jej powrotu.

Dom, pod który zajechał powóz, okazał się obszernym, piętrowym budynkiem zbudowanym z białego kamienia w dość charakterystycznym dla tutejszej architektury hiszpańsko - meksykańskim stylu. Służący, który otworzył drzwi, uśmiechnął się słuchając wyjaśnień Roberty, że jest umówiona na spotkanie z panem Garsonem.

- Wygląda pani zbyt młodo, aby pracować z naszym panem! - stwierdził bez ogródek.

Roberta spojrzała na niego zaskoczona myśląc, że żaden z angielskich służących nie pozwoliłby sobie nigdy na taką poufałość względem gości swego pana. Ten starszy mężczyzna patrzył na nią jednak z nieukrywaną sympatią,

- Jestem o wiele starsza, niż na to wyglądam - oświadczyła dziewczyna stanowczo.

- Chce mnie pani przekonać, że wzrok zaczyna mi już szwankować? - spytał tamten takim tonem, że Roberta musiała się roześmiać.

Cały czas żartując służący poprowadził ją długimi, jasnymi korytarzami aż do położonych w głębi domu drzwi. Zbliżając się do nich umilkł i spoważniał nagle, a Roberta pomyślała, że znów spotkała na swej drodze człowieka, który podobnie jak Bert Weingart boi się pana Garsona jak ognia.

Otworzywszy ciężkie dębowe drzwi, służący oznajmił:

- Oto młoda dama, której pan oczekuje, proszę pana!

Za olbrzymim, zawalonym papierami biurkiem siedział człowiek, o którym Roberta wiedziała tylko tyle, że budzi pełen szacunku lęk wśród swoich pracowników.

Mimo lekko szpakowatych skroni, brwi mężczyzny czarne były jak skrzydło kruka, zbiegając się w jedną linię tuż u nasady nosa, w sposób charakterystyczny dla ludzi o twardej, upartej naturze. O silnym charakterze świadczył także mocny zarys kwadratowej szczęki i stanowczo zaciśnięte wąskie usta.

Roberta zbliżyła się do biurka widząc, że pan Garson mierzy ją od stóp do głów uważnym i nieco podejrzliwym wzrokiem. Ponieważ nie odezwał się ani słowem, postanowiła przemówić pierwsza:

- Dobry wieczór! Przyjechałam, gdyż chciał się pan ze mną widzieć.

- Przyjechała pani, bo posłałem po nią! - sprostował pan Garson. - Ten młody głupiec z mojego biura, który uważa, że jest poliglotą, powiedział mi, że zna pani język arabski!

- To prawda - odparła Roberta. - Spędziłam sporo czasu podróżując po terenach Północnej Afryki i sędzę, że znam arabski całkiem dobrze.



Mężczyzna za biurkiem chrząknął jak gdyby z dezaprobatą, po czym spytał głosem pełnym powątpiewania:

- Skąd mogę być pewien, że mówi pani prawdę? Roberta spojrzała na niego zaskoczona.

- Może pan dać mi do przetłumaczenia dowolny tekst pisany po arabsku - powiedziała. - Można też znaleźć kogoś, kto również włada tym językiem, aby ocenił moje umiejętności!

Mówiąc to pamiętała doskonale, że Bert mówił, iż nie zna żadnych Arabów, którzy mieszkaliby w San Francisco.

Pan Garson milczał, jak gdyby rozważając coś w duchu. W końcu widząc, że Roberta zerka w stronę stojącego przed biurkiem krzesła, burknął:

- Proszę, niech pani usiądzie!

- Dziękuję, to bardzo miło z pana strony - odpowiedziała Roberta siadając. - A teraz, panie Garson, czy byłby pan tak uprzejmy i wyjaśnił mi, w jakim celu wezwał mnie pan do siebie?

Mężczyzna spojrział na nią zaskoczony, po czym odparł:

- Miałem wrażenie, że chce pani pracować dla mnie jako tłumaczka!

- Oczywiście mogę rozważyć pańską propozycję zatrudnienia mnie na tym stanowisku - stwierdziła Roberta ze spokojem. - Ponieważ jednak dopiero co przyjechałam do San Francisco, może zdarzyć się, że ktoś inny zaoferuje mi bardziej atrakcyjne zajęcie!

Mówiąc to stwierdziła z rozbawieniem, że ryba połknęła haczyk. Ten pewny siebie bogaty człowiek przywykł do tego, że ludzie błagali go o pracę, z niepokojem czekając na jego niepodważalną decyzję.

- Gdzie się pani zatrzymała? - spytał nagle Garson.

- W domu państwa Weingartów - odparła dziewczyna. - Rodzice pana Berta byli tak mili, że udzielili mi gościny na kilka dni, dopóki nie znajdę sobie odpowiedniego mieszkania.

Zapadła chwila milczenia.

- Nie zamierzam czekać z tłumaczeniem wszystkich listów do czasu, aż pani poszukiwania dobiegną końca. Lepiej będzie, jeśli na jakiś czas sprowadzi się pani tutaj!

- Tutaj? - powtórzyła Roberta patrząc na niego z niedowierzaniem. Była pewna, że się przesłyszała.

- W moim domu jest dość wolnych pokoi - stwierdził Garson. - A ja muszę mieć panią pod ręką w przypadku, gdyby trzeba było przetłumaczyć coś natychmiast. Nie mam ochoty zatrudniać w biurze kobiety, żeby zawróciła w głowie tym wszystkim młodym ludziom. Jestem pewien, że traciliby tylko czas gapiąc się na panią, zamiast pracować jak należy!

- Nie miałam wcale zamiaru pracować u pana w biurze - wyjaśniła Roberta. - I myślę, że popełniłabym błąd przyjmując pańskie zaproszenie, jakkolwiek to bardzo uprzejme z pana strony, że zaproponował mi pan gościnę u siebie!

Mówiąc to żałowała w duchu, że nie może przyjąć propozycji Garsona, gdyż dla Danny'ego o wiele lepiej byłoby, gdyby mieszkał poza miastem, w czystym wiejskim powietrzu.

- Potrzebuję pani tutaj! - oświadczył ostro Garson. - Nie mogę tracić czasu na posyłanie listów do pani i odbieranie tłumaczeń przez posłańców!

- Potrafię to zrozumieć - zgodziła się z nim Roberta.

- Nie życzę sobie żadnych zbędnych dyskusji! - ostrzegł ją Garson. - Może pani sprowadzić się tu natychmiast albo wcale. Poślę powóz po pani bagaże!

Rzuciwszy okiem na piętrzące się na biurku papiery, Roberta pomyślała z pewnym rozbawieniem, że Garson

spodziewa się najwyraźniej, że ona usiądzie do pracy natychmiast i będzie tłumaczyła przez całą noc.

- To, co pan mówi, brzmi niezwykle interesująco - zaczęła ostrożnie. - Tylko, że ja musiałabym zabrać kogoś ze sobą.

- Kogoś? - spytał ostro Garson. - Ma pani na myśli jakiegoś mężczyznę? Myślałem, że jest pani niezamężna!

- Bo tak jest w istocie - odparła Roberta. - Osoba, o której mówię, to mały chłopiec. Jest moim krewnym, którym opiekuję się po śmierci jego rodziców.

- Chłopak? Nie zniosę, żeby jakiś dzieciak hałasował i bałaganił w moim domu!

Roberta uśmiechnęła się lekko.

- Wiedziałam, że pan tak powie - stwierdziła ze spokojem, po czym podnosząc się z krzesła dodała: - Oczywiście zawsze może pan na mnie liczyć. Jeśli nie uda się panu zatrudnić odpowiedniego tłumacza, pan Bert będzie wiedział, gdzie można mnie znaleźć.

Po tych słowach odwróciła się i skierowała w stronę drzwi. Zanim jednak znalazła się przy nich, Garson zawołał:

- Dokąd pani idzie, do licha?

- Myślałam, że zakończyliśmy już naszą rozmowę!

Przez chwilę wydawało jej się, że Garson zadławi się słowami, które cisnęły mu się na usta. Opanowawszy się jednak warknął tylko:

- Gdzie jest ten chłopak? W mieście?

- Nie. Czeka na zewnątrz, w powozie.

W ciszy, która teraz zapadła, słyhać było jedynie ciężki oddech Garsona. W końcu burknął głosem, który brzmiał po trosze jak pomruk wzbierający w gardzieli głodnego lwa:

- Proszę go tu przyprowadzić. Chcę go zobaczyć! Uśmiechnąwszy się, Roberta otworzyła drzwi i poszła długim

korytarzem w kierunku drzwi frontowych. W hallu czekał już na nią służący.

- Pan Garson pragnie zobaczyć chłopca, który przyjechał wraz ze mną - wyjaśniła mu dziewczyna i nie zważając na wyraz osłupienia, który zagościł na poczciwej twarzy lokaja wychyliła się przez okno.

- Danny, chodź tutaj! - zawołała w stronę powozu. Natychmiast jego drzwi otworzyły się i Danny razem z nieodłącznym Kolumbem zeskoczyli na podjazd.

- Właściciel tego domu chce z tobą mówić - powiedziała Roberta podchodząc do chłopca i biorąc go za rękę.

Służący poprowadził tym razem ich oboje aż do drzwi gabinetu Garsona i otworzył je. Kolumb kręcił się pod nogami Roberty, wszystko dokładnie obwąchując.

Garson siedział wciąż za swoim biurkiem. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że jest niezmiernie czymś zajęty. Roberta odniosła jednak wrażenie, że dostrzega na jego twarzy starannie ukrywaną ciekawość. Popchnęła lekko Danny'ego w kierunku biurka i chłopiec podszedł śmiało do nieznanego mężczyzny, który mierzył go takim samym badawczym spojrzeniem, jak przedtem Robertę. Ku zaskoczeniu dziewczyny Danny nie zatrzymał się jednak przed biurkiem, tylko obszedłszy je dookoła stanął tuż przy panu Garsonie.

- Pan Bert mówił, że buduje pan najszybsze parowozy na całym świecie! - powiedział głośno. - Czy mógłbym zobaczyć któryś z nich?

Roberta nie miała pojęcia, że Danny przysłuchiwał się uważnie jej rozmowie z Bertem, kiedy to młody człowiek zaczął opisywać z entuzjazmem najnowszy model parowozu zaprojektowany przez Garsona. Według tego, co mówił, miała to być największa i najszybsza maszyna parowa na całym kontynencie amerykańskim.

- To będzie prawdziwa sensacja! - zapalał się Bert. - Proszę sobie wyobrazić: najszybszy pociąg ekspresowy na świecie! Nasi konkurenci pękną ze złości, kiedy się o tym dowiedzą!

- Co wiesz o moim nowym silniku parowym? - spytał Garson podejrzliwie.

- ...że parowóz, który będzie go miał w środku, prześcignie z łatwością wszystkie inne! - mówił Danny z wypiekami na policzkach. - A ja, kiedy już dorosnę, zostanę jego maszynistą!

- Dlaczego interesujesz się pociągami? - indagował Garson.

- Bo szybko jeżdżą, a ja lubię szybką jazdę. Mogą przewozić ludzi z miejsca na miejsce w całkiem bezpieczny i wygodny sposób. Można nimi jechać, gdzie się tylko chce!

- To jest najbardziej trafne wyjaśnienie, jakie słyszałem w życiu! - zauważył Garson. - Jak masz na imię, młody człowieku?

- Wszyscy mówią na mnie „Danny” - powiedział chłopiec. - Ale na chrzcie dostałem imię „Daniel”.

Robercie przypomniało się nagle opowiadanie ze Starego Testamentu, kiedy to imiennik Danny'ego obłaskawił groźne lwy, które miały go pożreć.

„Zdaje mi się, że historia lubi się powtarzać” - pomyślała z humorem.

Srogi lew i tym razem nie miał zamiaru pożerać bezbronного Daniela. Wręcz przeciwnie: rozłożył na biurku jakieś plany imponujących rozmiarów, po czym zaczął udzielać chłopcu wyjaśnień. Danny od czasu do czasu zadawał mu niezwykle roztropne pytania, na które Garson odpowiadał z całą powagą. Gdy zaczął objaśniać mu, w jaki sposób parowóz będzie mógł uzyskać niespotykaną dotąd szybkość, chłopiec aż westchnął z zachwytem.

- To będzie strasznie fajny pociąg! - stwierdził. - Najfajniejszy na całym świecie! Czy będę mógł nim pojechać, jak tylko zostanie zbudowany? Proszę mi obiecać!

Garson musiałby chyba mieć serce z kamienia, gdyby odrzucił prośbę chłopca, patrząc w jego pełne nadziei, szeroko otwarte oczy i przejętą dziecienną buzię. Ten surowy mężczyzna wydawał się zresztą całkowicie zawojowany przez Danny'ego, co wprawiało Robertę w niemałe zdumienie.

- Być może będziesz pierwszą osobą, która pojedzie moim nowym parowozem - powiedział konstruktor składając plany. - Muszę ci tylko, młody człowieku, uświadomić jedną bardzo ważną sprawę. Jesteś pierwszą osobą spoza mojego biura, która widziała projekt tej maszyny. Wiedz, że mam wrogów, którzy dużo by dali za to, aby znaleźć się na twoim miejscu, gdyż jedyną rzeczą, o której marzą, to wykradzenie tych planów!

- Czy to oznacza, że wtedy nie pan, a oni wybudowaliby ten parowóz?

- Dokładnie tak! - potwierdził Garson. - Musisz więc zachować to, co widziałeś, w najgłębszej tajemnicy. Rozumiesz?

- Obiecuję, że nie pisnę nikomu ani słówka! - obiecał Danny z przejęciem i podchodząc bliżej pana Garsona spytał: - Czy powiedział pan, że będę pierwszą osobą, która wypróbuje pańską maszynę?

- Oczywiście! - odparł tamten. - Jeśli będziesz jeszcze tutaj w czasie, gdy zostanie skończona!

Widząc, że Roberta patrzy na niego wyczekująco, oświadczył:

- No dobrze, niech będzie tak, jak pani sobie życzy. Możecie sprowadzić się tu obydwójcie. Jeśli chłopak musi się bawić i hałasować, niech robi to tak, abym tego nie słyszał!

Spojrząwszy nagle ze zgrozą na Kolumba, dodał nie znoszącym sprzeciwu tonem:

- Ale żadnych psów! Nie zniosę, aby jakiś kundel kręcił mi się po domu!

Danny podszedł do pana Garson i położył mu rękę na ramieniu.

- Kolumb nie jest zwyczajnym psem - powiedział patrząc mu błagalnie w oczy. - Jest bardzo spokojny i dobrze wychowany. Jeśli nie życzy pan sobie go widzieć, ukryje się tak, że nikt nie będzie nawet wiedział, iż jest tutaj!

- Może tu mieszkać, ale tylko w psiej budzie! - powiedział twardo gospodarz.

- Więc ja zamieszkać w niej razem z nim - oznajmił Danny. - A wtedy pan zapomni o naszej umowie i wyśle parowóz w pierwszą podróż beze mnie! - Danny mówił patrząc śmiało w surowe oblicze pana Garson. - Proszę, bardzo proszę, niech pan się zgodzi na Kolumba. Nie będzie z nim żadnego kłopotu. Będę się nim opiekował sam, a on będzie się opiekował mną!

- Dobrze, spróbujemy! - rzucił ostro konstruktor. - Ale jeżeli chociaż raz usłyszę jakiś hałas albo pies coś nabroi, wyprowadzicie się stąd wszyscy troje. Zrozumiano?

- Obawiam się, że stawia pan warunki, których trudno nam będzie dotrzymać! - powiedziała śmiało Roberta.

- Dobry Boże, kobieto! - wykrzyknął pan Garson. - Przecież to pani osiągnęła wszystko, o co jej chodziło! Chłopiec i pies w moim domu! Czego można chcieć więcej?

Roberta roześmiała się.

- Przysięgam, że nie sprawimy panu kłopotu - zapewniła go. - A ja naprawdę znam arabski na tyle dobrze, żeby dopomóc panu w zaopatrzeniu w parowozy wszystkich szejków na świecie!

Mówiąc te słowa spostrzegła coś jakby cień uśmiechu, który czaił się w kącikach ust pana Garsona.

- W porządku - oświadczył konstruktor. - Proszę posłać powóz po bagaże pani i chłopca oraz udać się do mojej gospodyni. Wskaże ona wam pokoje, w których będziecie mieszkać. I proszę pamiętać: nie chcę słyszeć żadnego szczekania!

- Kolumb na pewno będzie cicho! - powiedział Danny, po czym dodał z przejęciem - chyba że przyjdzie ktoś, kto będzie chciał ukraść plany parowozu. Wtedy będzie bardzo głośno ujadął i na pewno pogryzie złodzieja!

Zanim pan Garson zdążył coś powiedzieć, Roberta odezwała się czym prędzej:

- Sprowadzając nas do swego domu, zyskuje pan więc nie tylko tłumacza, ale także bardzo skuteczną ochronę osobistą!

Przez chwilę miała wrażenie, że gospodarz nie wytrzyma i roześmieje się w głos. Zdołał jednak opanować się na tyle, aby mruknąć gderliwie:

- Musiałem chyba stracić rozum!

- Na pewno nie będzie pan miał powodów do narzekań - zapewniła go Roberta. - Kiedy tylko urządzimy się w naszych pokojach, przyjdę tu z powrotem, aby niezwłocznie zabrać się do pracy!

- Bardzo dobrze. I proszę nie zwlekać zbyt długo! - ostrzegł ją Garson i jak gdyby pragnąc przypomnieć wszystkim, kto tu rządzi, dodał: - Jest wiele do zrobienia, jutro rano wszystko powinno być gotowe!

- Zrobię, co będzie w mojej mocy - uśmiechnęła się do niego Roberta i zwróciła się do chłopca: - Chodź, Danny. Pójdziemy obejrzeć nasze pokoje!

Widząc, że chłopiec nie podąża jej śladem, odwróciła się i ujrzała ze zdumieniem, że Danny podszedł do pana Garsona i wsunął z ufnością swoją małą rękę w jego dużą kościstą dłoń.



- Cieszę się, że przyjechaliśmy do pana - powiedział. - I myślę, że to bardzo mądrze z pana strony, że projektuje pan takie wielkie maszyny, które są szybsze od wszystkiego na świecie! Kiedy wyruszymy w pierwszą podróż pana parowozem, wszyscy po drodze będą nas pozdrawiać i uśmiechać się do nas!

- Mam nadzieję, że tak się stanie - powiedział Garson poważnie skłaniając głowę. - Pamiętaj jednak, że od projektu do konstrukcji wiedzie długa i niełatwa droga. Nie wszystko może udać się tak, jak tego pragniemy.

- Pomogę panu! - zapewnił go Danny gorąco.

- Będę ci bardzo wdzięczny - oświadczył pan Garson uśmiechając się lekko po raz pierwszy od chwili, gdy Roberta go poznała.

Danny podbiegł do Roberty wraz z Kolumbem podskakującym radośnie u jego boku.

- Będziemy mknąć tak szybko, ciociu Roberto - zawołał - że wszyscy pomyślą, iż mamy czarodziejskie skrzydła. Pomyśl tylko! To najszybszy parowóz na świecie, a ja będę nim jechał!

## ROZDZIAŁ 7

- Możesz iść do ogrodu, Danny - powiedziała Roberta. - Tylko pamiętaj: nie baw się w pobliżu domu, a w żadnym razie pod oknami gabinetu pana Garsona. Wiesz, jak on nie lubi hałasu!

- Ani Kolumb, ani ja nie hałasujemy nigdy, gdy pan Garson jest w domu - - odpowiedział chłopiec z powagą.

Roberta musiała przyznać, że Danny mówił prawdę. Najbardziej zadziwił ją fakt, że mały wydawał się bardzo przywiązany do tego szorstkiego w sposobie bycia człowieka. Po smutnych doświadczeniach z pastorem Danny odnosił się z nieufnością do wszystkich obcych mężczyzn, nawet do pana Weingarta i Berta. Jednak w jego sposobie odnoszenia się do pana Garsona nie wyczuwało się ani odrobiny lęku czy nieśmiałości.

Kiedy pan Garson pracował, Danny zachowywał się wyjątkowo grzecznie i cicho, tak jakby go wcale nie było w domu. Kiedy jednak konstruktor kończył pracę lub wracał wieczorem z fabryki, chłopiec czekał już na niego w hallu. Ujrawszy go podbiegał szybko i zasypywał mnóstwem pytań dotyczących postępów w konstruowaniu nowej maszyny.

Ku zaskoczeniu zarówno Roberty, jak i reszty domowników takie zachowanie chłopca wydawało się wcale nie przeszkadzać panu Garsonowi. Spokojnie odpowiadał na wszystkie pytania Danny'ego, mówił, co działo się danego dnia w fabryce, oraz potwierdzał swoją obietnicę podróży nowym parowozem, skoro tylko zostanie ukończony.

W głębi ducha Roberta żywiła głęboką wdzięczność dla swego pracodawcy za pełen życzliwości sposób traktowania Danny'ego. Po tygodniu pracy w charakterze tłumaczki mogła również przekonać się, że ten najbardziej wymagający z szefów w San Francisco zwykł sprawiedliwie regulować swoje zobowiązania finansowe.

- Będę płacił pani tyle samo, co Weingartowi - oświadczył po prostu pewnego ranka. - A ponieważ oprócz tego daję wam dach nad głową i wyżywienie, nie ma pani chyba powodów do narzekań!

- Mam tylko nadzieję, że w zamian za to zdołam zadowolić pańskie wymagania! - odparła odrobinę przekornie Roberta.

Nie zwracając uwagi na lekką ironię w jej głosie, Garson odparował natychmiast:

- Jeśli nie, będzie pani musiała odejść!

Dziewczyna wciąż jeszcze porządkowała zaległą korespondencję, której nazbierała się już wielka sarta. Jednocześnie zaś tłumaczyła te wszystkie listy, które przychodziły na bieżąco, i to niemal codziennie. Trudno jej było wyjaśnić panu Garsonowi, że większość z nich zawierała jedynie barwne i kwieciste zwroty grzecznościowe, wśród których długo trzeba było szukać właściwej treści, sprowadzającej się do wyrażenia chęci nabycia jednego lub kilku parowozów. Zazwyczaj długo trzeba było wyjaśniać arabskim szejkom, że oprócz parowozu powinni jeszcze nabyć i inne części wyposażenia linii kolejowej. Okazało się więc, że praca tłumaczki w tak specyficznej dziedzinie wymaga oprócz dobrej znajomości języka także pewnej dozy dyplomacji, aby zadowolić każdą ze stron.

Patrząc na bawiącego się w ogrodzie Danny'ego Roberta pomyślała, że mimo iż jej obecne zajęcie jest bardzo interesujące, wolałaby dołączyć w tej chwili do chłopca i pobiegać razem z nim. Musiała też uczciwie przyznać, że najbardziej ze wszystkiego pragnęłaby popływać w morzu razem z Dannym i Adamem.

Nie mogła przestać myśleć o Adamie. Nieraz budziła się w środku nocy i płakała wiedząc, że prawdopodobnie nie zobaczy go już nigdy w życiu. Modliła się przy tym gorąco,

aby znalazł się ktoś, kto doceni jego talent i przyczyni się do uzyskania przez malarza upragnionej sławy. Czy jednak można było marzyć o tym, aby uznano go w kraju, w którym ludzie pragnęli mieć w swoich salonach klasyczne obrazy przedstawiające kwiaty lub tak jak tu, w San Francisco, okręty na tle wzburzonego morza?

- Och Adamie, Adamie! - wzdychała patrząc w ciemność.  
- Jakże bardzo tęsknimy za tobą, ja i Danny!

Brakowało jej jego spojrzeń, wesołych żartów i roztropnych rad. Wiedziała, że nikt tak jak on nie potrafiłby poradzić jej, jaką ma decyzję podjąć w sprawie posłania Danny'ego do szkoły. Mimo iż chłopiec rzadko wspominał o szkole, do której uczęszczał w Blue River, Roberta wiedziała, że odgrywała ona ważną rolę w jego życiu.

Pamiętając jednak, ile ten chłopiec przeszedł ostatnio, nie chciała narażać go na nowe, mogące zaważyć na jego życiu zmiany. Nie miała pojęcia, jak długo będzie jeszcze pracować dla pana Garsona. Prawdopodobnie byłoby dużym błędem z jej strony, gdyby posłała Danny'ego teraz do szkoły tu, na wsi, aby po ponownej przeprowadzce do miasta przenieść go do innej.

„Chciałabym, aby ktoś doradził mi naprawdę mądrze, jak mam uporać się z tym problemem” - myślała zdając sobie sprawę z tego, że podświadomie pragnie, aby tym kimś był Adam. On na pewno zrozumiałby jej rozterki i postarał się pomóc. Tylko jemu mógłby zwierzyć się z niepokoju, który odczuwała patrząc, jak Danny rozpaczliwie szuka kogoś, kto zastąpiłby mu ojca. Na razie znalazł oparcie w osobie pana Garsona i jego idei konstruowania najszybszych pociągów świata. Słuchając opowieści Roberty o bohaterskiej śmierci Clinta Dulaine, chłopiec nie wydawał się przerażony. Jednak od tej pory stale trzymał się blisko niej, co pozwalało

przypuszczać, że wiadomość o stracie kolejnej bliskiej osoby zachwiała jego poczucie bezpieczeństwa.

Obserwując chłopca, Roberta czuła zadowolenie na myśl, że wygląda on już znacznie lepiej niż wtedy, gdy ujrzała go po raz pierwszy. Wydawał się taki szczęśliwy, mimo że jedynym towarzyszem jego zabaw był Kolumb. Obydwaj zresztą w krótkim czasie stali się ulubieńcami gospodyni pana Garsona, która dosłownie bez przerwy starała się podtykać im jakieś smakołyki. Ani Roberta, ani Danny nie jadalili posiłków wspólnie z panem domu, mając do tego celu specjalnie przeznaczoną niewielką jadalnię. Taki stan rzeczy odpowiadał Robertcie najbardziej, toteż w głębi serca odczuwała głęboką wdzięczność do pana Garsona za jego pełne taktu postępowanie. Gospodarz przeznaczył także dla Roberty niewielki pokój do pracy, położony tuż obok jego gabinetu, gdzie mogła zajmować się tłumaczeniami w całkowitym spokoju. Wysławszy Danny'ego do ogrodu, dziewczyna zamierzała właśnie udać się do swego małego biura, gdy nagle podszedł do niej jeden z osobistych sekretarzy konstruktora.

- Pan Garson życzy sobie widzieć panią, panno Worth! - powiedział.

Był zaniepokojony w tak widoczny sposób, że Robertę ogarnęły złe przeczucia. Weszła więc czym prędzej do gabinetu. Pan Garson siedział za biurkiem trzymając w dłoni jakąś kartkę.

Gdy dziewczyna weszła, rzucił jej krótkie spojrzenie spod krzaczastych brwi, po czym powiedział:

- Dzisiaj w nocy jedne z drzwi prowadzących do ogrodu były otwarte wbrew moim wyraźnym poleceniom. Przesłuchałem już w związku z tym całą służbę. Czy pani ma mi coś do powiedzenia na ten temat? Kto to zrobił: pani czy chłopak?

- Żadne z nas - odpowiedziała Roberta pewnym głosem. - Danny nie wychodził już z domu po kolacji, a ja byłam bardzo zmęczona i poszłam wcześniej spać. Jeden ze służących zgodził się wyprowadzić Kolumba na wieczorny spacer!

Pan Garson zacisnął z gniewem wargi.

- Kłamstwa, wierutne kłamstwa! - krzyknął. - Wszyscy moi pracownicy bez przerwy kłamią, wypierając się w żywe oczy, jeśli zdarzy się im popełnić jakieś wykroczenie! Dlaczego, do licha, jestem przez całe życie otoczony przez samych kłamców?

- Jeśli chce pan usłyszeć ode mnie szczerą odpowiedź - rąbnęła bez ogródek Roberta - to przyczyna leży w tym, że oni wszyscy panicznie się pana boją!

Garson spojrział na nią zaskoczony do ostatnich granic.

- To nie może być powód do mówienia kłamstw! - prychnął pogardliwie.

- Oczywiście, że może! - zaproponowała Roberta. - Ludzie kłamią wtedy, kiedy czują się zagrożeni. Chyba zdaje pan sobie sprawę z tego, że budzi lęk wśród wszystkich, którzy pracują dla pana!

- U wszystkich z wyjątkiem pani!

- Czasami i ja odczuwam strach przed panem - przyznała dziewczyna. - Jednak na pewno nie muszę obawiać się, że wyrzuci mnie pan na bruk. Potrafię utrzymać się z moich własnych zasobów Finansowych!

Słyszając to pan Garson uniósł ze zdziwieniem brwi.

- Czy mam rozumieć, że dysponuje pani pewnym majątkiem? - spytał.

- Wystarczająco dużym, abym nie musiała unikać mówienia prawdy! - odparła Roberta z godnością.

Niespodziewanie konstruktor roześmiał się.

- Zabawna z pani osóbka, panno Worth - powiedział. - A wracając do sprawy drzwi: chyba domyśla się pani, że moi

wrogowie byliby w stanie przekupić kogoś z tego domu po to, aby dobrać się do planów nowego parowozu!

- Musi pan być pewien, że to się nigdy nie stanie!

- Nie puściłbym im tego płazem! - powiedział groźnie pan Garson. - Nie możemy jednak nawet dopuścić możliwości zaistnienia ryzyka. Dom musi być lepiej strzeżony, i to jest mój rozkaz!

- Przysięgani więc, że będziemy wraz z Dannym bardzo ostrożni - obiecała Roberta. - Jeśli trzeba będzie wyjść z Kolumbem wieczorem, zrobimy to osobiście, dokładnie zamykając drzwi na klucz po powrocie!

- Tego właśnie od was oczekuję! - stwierdził krótko gospodarz i uznawszy, że temat został wyczerpany, wręczył Robertcie kolejny list od szejka, który nadszedł wraz z poranną pocztą.

- Czego on chce tym razem? - spytał szorstko.

Późnym popołudniem, kiedy Roberta kończyła właśnie odpisywać na list szejka, wydało jej się, że słyszy w sąsiednim pokoju głos Danny'ego. Była pewna, że się przesłyszała, gdyż chłopiec miał surowy zakaz przekraczania progu gabinetu pana Garson, chyba że został tam przez niego wezwany. Po chwili jednak uszu dziewczyny dobiegł ponownie wysoki, pełen przejęcia dziecienny głos. Wstała więc i przeszła do pokoju obok. Ku swojemu zaskoczeniu ujrzała Danny'ego, który siedział na kolanach pana Garsona pochylając się wraz z nim nad rozłożonymi na biurku planami. Byli tak zajęci rozmową, że nawet nie zauważyli stojącej na progu pokoju Roberty. Dziewczyna wycofała się więc cicho i wyszła, pozostawiając drzwi lekko uchylone. Stojąc przez chwilę na korytarzu, słyszała jednak pytania, które zadawał Danny, i wydało jej się, że były one niezwykle roztropne. Pan Garson udzielał na każde z nich krótkich, rzeczowych odpowiedzi.

„Ten człowiek popełnił błąd nie zakładając rodziny - pomyślała Roberta. - Powinien był zawczasu pomyśleć o kimś, kto przejmie jego ogromny majątek oraz poprowadzi dalej rozbudowę sieci kolejowych, a także będzie projektował coraz szybsze parowozy!”

Danny opowiadał jej o planach nowej maszyny z takimi szczegółami, że czasami miała wrażenie, iż sama mogłaby z łatwością narysować jej plany z dużą dokładnością.

„Mechanika fascynuje wszystkich mężczyzn, małych i dużych - rozważała Roberta. - Wszystkich, z wyjątkiem Adama...”

Westchnęła głęboko, myśląc o tym, że wszyscy mężczyźni przekonani są, iż ich zadaniem na świecie jest dokonywanie rzeczy wielkich i dążenie do sukcesu, podczas gdy kobietom przypada w udziale rola dość podrzędna. Wydawało się jej, że wieki całe minęły od dnia, w którym widziała Adama po raz ostatni. Tęskniła do niego rozpaczliwie, całą duszą i całym ciałem tak, iż czasami wydawało się jej, że nie zniesie tego ani chwili dłużej.

„Nadejdzie w końcu taki dzień, kiedy będę miała dość siły, by się z nim spotkać - pocieszała samą siebie. - Wrócę wtedy do niego, chociażby po to, aby zapytać, czy jeszcze mnie kocha! Bo ja nigdy nie przestanę marzyć o nim!”

Łzy sprawiły, że arabskie litery pisanego przez nią listu zaczęły rozmazywać się przed jej oczami. Na próżno jednak usiłowała wytłumaczyć sobie, że powinna wystrzegać się wspomnień. Także i nocą, kiedy cały dom tonął już w ciszy, powracająca wciąż wizją twarzy Adama nie pozwalała jej zasnąć. Na wpół śpiąc, na wpół czuwając Roberta miała wrażenie, że ukochany jest tuż przy niej. Czuła uścisk silnych ramion Adama, jego usta na swoich ustach. Wiedziała, że nigdy nie zapomni już tych doznań, które wzbudził w niej ich pierwszy pocałunek na werandzie. Pamiętała też doskonale,



jak trudno było jej odepchnąć go od siebie, gdy leżeli razem na sofie, a ich ciała lgnęły ku sobie...

„Dlaczego nie pozwoliłam mu wtedy, aby uczynił to, czego pragnął?” - powtarzała z żalem.

W takich chwilach wydawało się jej, że prędzej czy później będzie musiała powrócić do niego, aby zrobić z nią, co zechce, i pozwolił jej zostać przy nim tak długo, jak będzie sobie życzył.

- Ale to byłoby złe... tak! Złe! - powiedziała głośno w ciemność i w tej samej chwili pomyślała, że to zupełnie niemożliwe, aby coś tak pięknego, tak doskonałego, co zdarzyło się między nimi, było złem.

Długo przewracała się z boku na bok nie mogąc zasnąć i myślała z rozpaczą, że rankiem będzie zbyt znużona, aby wykonać jakąkolwiek pracę dla pana Garsona.

Nagle usłyszała warczenie Kolumba. Głuchy pomruk, który dobywał się z jego gardła, świadczył o tym, że poczuł się czymś zaniepokojony. Było to dziwne, gdyż Kolumb warczał bardzo rzadko.

„Może coś mu się przyśniło” - pomyślała Roberta.

Dźwięk powtórzył się jednak coraz głośniejszy i bardziej natarczywy. Roberta zapaliła więc świeczkę i przeszła z nią do sąsiedniego pokoiku, gdzie Danny miał swoją sypialnię. Ostrożnie otworzyła drzwi i niemal krzyknęła, gdyż Kolumb rzucił się naprzód omal jej nie przewracając. Pies zatrzymał się przy prowadzących na zewnętrzny korytarz drzwiach i warknąwszy raz jeszcze zaczął drapać łapą w podłogę zupełnie tak, jak gdyby chciał wykopać w niej dziurę.

- Co się stało, piesku? - spytała Roberta cicho, aby nie obudzić Danny'ego.

Kolumb wciąż tkwił uparcie pod drzwiami. Dziewczyna pomyślała, że może domaga się, aby wyprowadzić go na dwór. Nigdy dotąd jednak nie zachowywał się w ten sposób.

Narzuciwszy więc szlafrok otworzyła drzwi na korytarz, zamierzając wypuścić psa do ogrodu. Nie musiała brać ze sobą świeczki, gdyż na polecenie pana Garsona we wszystkich pomieszczeniach wewnętrznych paliły się w nocy lampy gazowe. Do obowiązków nocnego stróża należał cogodzinny obchód wszystkich korytarzy. Roberta wiedziała jednak, że człowiek o imieniu Sam, którego pan Garson zatrudnił w tym charakterze, był już bardzo stary, i podejrzewała, że nieraz przesypiał w jakimś fotelu porę nocnej rundy. Wszyscy lubili go bardzo i nikt nie miał ochoty powiadomić pana Garsona o jego zbyt długich drzemkach.

Kolumb nie czekał jak zwykle na Robertę, tylko natychmiast po otwarciu drzwi rzucił się na dół, po czym znikł w korytarzu prowadzącym do gabinetu pana Garsona.

- Kolumb! - zawołała za nim Roberta przytłumionym głosem.

Pies nie zwracał jednak na nią uwagi. Nie pozostało jej więc nic innego, jak czym prędzej pobiec za nim. Drżała z niepokoju, że nocny hałas może zbudzić pana Garsona, z czego musiałyby gęsto się tłumaczyć.

Na ponowne zawołanie Roberty Kolumb zawrócił jednak i podbiegł ku niej. Chwyliła go mocno za obrożę.

- Co ty wyprawiasz? - zbesztła go szeptem.

Ku jej zdumieniu pies zawarczał ponownie i sierść zjeżyła mu się na karku. Patrząc na niego dziewczyna poczuła, jak zimny dreszcz przebiega jej po plecach. Czyżby Kolumb wyczuł w domu kogoś obcego? Tylko taka sytuacja byłaby logicznym wytłumaczeniem tego dziwnego zachowania. Roberta nakryła więc dłonią jego nos gestem, który podpatrzyła u Danny'ego w czasach, gdy Kolumb musiał ukrywać się przed pastorem.

- Spokój, Kolumb! Siedź cicho! - szepnęła.

Wydawało się, że pies pojął doskonale, o co jej chodzi, gdyż ucichł przywierając nisko do podłogi. Po chwili jednak rzucił się naprzód pociągając Robertę za sobą w kierunku gabinetu pana Garsona. Dziewczyna dojrzała w szparze pod drzwiami do pokoju smugę światła. Kolumb miał rację: tam ktoś był!

Dziewczyna zamarła w bezruchu, nasłuchując. Teraz była już pewna, że z gabinetu dobiegają jakieś odgłosy. Widoczne pod drzwiami światło migotało, jak gdyby pokój oświetlony był świeczką. A więc osoba znajdująca się w środku nie była panem Garson, gdyż on bez wątpienia zapaliłby lampę gazową!

Uznawszy, że powinna czym prędzej zawiadomić o swoim odkryciu Sama, Roberta pociągnęła za sobą opierającego się Kolumba w głąb korytarza, który prowadził do hallu. Panowała w nim ciemność, gdyż jedyna lampa znajdowała się przy drzwiach gabinetu.

I nagle, szukając po omacku wyjścia, Roberta zderzyła się z jakimś mężczyzną. Było to tak niespodziewane, że dziewczyna nie zdołała powstrzymać okrzyku przerażenia. Zaskoczyło ją też zachowanie Kolumba, który ani nie warczał, ani nie szczekał na intruza, tylko zaczął na niego skakać z radości. Roberta poczuła nagle, jak obejmują ją czyjeś silne ramiona, i usłyszała dziwnie znajomy głos:

- Moja najdroższa, moja ukochana, skąd się tutaj wzięłaś?

Dziewczynie wydało się nagle, że śni. Tym, kto przemawiał do niej czule trzymając ją w ramionach, był nikt inny, tylko Adam! To właśnie jego Kolumb rozpoznał.

I nagle mózg Roberty przeszyło jak błyskawica wspomnienie słów Adama: „Mógłbym oszukiwać, kraść, a nawet narażać swoje życie tylko po to, aby móc malować!" A więc dlatego zjawił się tutaj!

- Nie! Nie! Adamie! - niemal krzyknęła próbując go odepchnąć. - Nie wolno ci tego robić! Złapią cię i pójdiesz do więzienia. Wiem, że człowiek, któremu pomagasz, jest w tej chwili w gabinecie, a ja... muszę powiedzieć Samowi, żeby włączył alarm!

Uścisk ramion Adama zelżał na moment tak, jak gdyby słowa Roberta zaskoczyły go niezmiernie.

- Proszę cię, odejdz stąd! - mówiła gorąco Roberta kładąc mu dłoń na piersi. - I tak nie uda ci się ich stąd zabrać. Muszę natychmiast wszystkich ostrzec!

- Ostrzec wszystkich... przed czym? - spytał Adam zdumiony do ostatnich granic.

- Dobrze wiesz, o czym mówię!

- Nie mam najmniejszego pojęcia! - odparł kręcąc głową.  
- Wiem tylko, że cię odnalazłem. Jak mogłaś mnie opuścić? Jak mogłaś zniknąć nagle bez słowa tak, że nie wiedziałem nawet, gdzie mogę cię szukać!

Mówiąc to próbował przytulić ją mocniej do siebie. Roberta jednak stawiała mu opór.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie przyszedłeś tutaj po to, aby... ukraść plany parowozu? - spytała.

- Oczywiście że nie! - odparł wzruszając ramionami. - Nic mnie nie obchodzą żadne przeklęte parowozy! Ważne, że ty tutaj jesteś!

- A więc w gabinecie jest złodziej! - szepnęła gorączkowo Roberta. - Och, Adamie, nie możesz dopuścić do tego, aby ukradł plany. To byłoby straszne dla pana Garsona i... Danny'ego!

Adam wypuścił ją z objęć.

- Idź i zawiadom Sama! - rzucił krótko. - Resztę pozostaw mnie!

- Ale to może być niebezpieczne... - zaczęła mówić Roberta, lecz on biegł już w stronę gabinetu. Kolumb skoczył za nim bez chwili wahania.

Zrozumiawszy, jak ważną sprawą jest jak najszybsze wypełnienie polecenia Adama, dziewczyna rzuciła się w kierunku hallu. Ujrzała tam Sama schodzącego ze schodów. Prawdopodobnie obchodził pomieszczenia na pierwszym piętrze, podczas gdy złodzieje włamali się do domu przez któreś z okien na parterze.

Roberta podbiegła czym prędzej do stróża. Dysząc ciężko ze zmęczenia i emocji wyrzuciła z siebie:

- Szybko! Szybko, proszę włączyć alarm! Tam... w gabinecie pana Garsona są złodzieje! Chcą... ukraść plany!

Przez moment stróż stał jak wryty gapiąc się na dziewczynę. Potem, jakby zrozumiawszy wreszcie, co oznaczają jej słowa, podbiegł do wiszącej w hallu syreny alarmowej i zakręcił jej korbką. Ciszę nocną rozdarł przeraźliwy, jęczący dźwięk wzmocniony przez liczne głośniki rozmieszczone po całym domu oraz na północnej ścianie budynku.

Nie zwlekając, Roberta zawróciła pędem w kierunku gabinetu. Czuła śmiertelne przerażenie na myśl, że Adam nie jest uzbrojony. Była pewna, że rabusie, którzy wkradli się do domu, mają przy sobie rewolwery i użyją ich bez żadnych skrępułów.

„Boże! Nie pozwól, aby stało mu się coś złego!”, modliła się po drodze.

Dobiegając do drzwi gabinetu ujrzała pana Garsona, który w szlafroku stanął w progu pokoju. W sekundę później drobna, mała sylwetka przemknęła obok Roberty w tym samym kierunku. Dziewczyna wyciągnęła rękę, aby zatrzymać Danny'ego, lecz on wymknął się jej i zatrzymał obok pana domu.

- Co się stało? Czy złapaliście złodzieja? - usłyszała jego dziecinny głosik.

Obydwaj stanęli obok siebie patrząc bez słowa w głąb pokoju. Roberta poczuła, że nogi uginają się pod nią. Zmusiwszy się do pokonania kilku kroków, które dzieliły ją od nich, zajrzała im przez ramię.

Na podłodze, tuż obok szafy pancерnej leżało bezwładne ciało jakiegoś mężczyzny. Adam klęczał obok niego, krępując mu nogi oderwanym od zasłon sznurem. Stojący tuż za nim Kolumb warczał głucho pochylając łeb ku nieprzytomnemu rabusiowi. Był to potężnie zbudowany człowiek o prostych, jakby z grubsza ciosanych rysach twarzy. Mimo iż leżał powalony na podłogę, można było domyślić się, że dysponował ogromną siłą. Najwyraźniej jednak udało się Adamowi w jakiś sposób go rozbroić, gdyż nie opodał Roberta dojrzała rewolwer, który został wytracony rabusiowi z ręki, zanim ten zdążył z niego wystrzelić.

Jękliwy dźwięk syreny alarmowej umilkł wreszcie i Roberta usłyszała głos Danny'ego:

- On chciał ukraść plany, a wujek Adam go powstrzymał!

Adam uniósł głowę i uśmiechnął się do chłopca.

- Tak, udało mi się go powstrzymać... - zaczął mówić i nagle przerwał ujrawszy, kto stoi obok Danny'ego.

Przez chwilę patrzyli z panem Garsonem na siebie bez słowa.

Potem Adam dokończył wiązania złodzieja zwracając się ponownie do Danny'ego:

- To Kolumb skoczył mu pierwszy do gardła!

- Widzicie, jaki on jest dzielny?! - wykrzyknął chłopiec i ciągnąc pana Garson za rękaw szlafroka dodał: - A mówiłem? Prawda, że Kolumb jest świetnym obrońcą? To on pomógł uratować plany!

Jednak pan Garson milczał. Roberta zauważyła, że nie spuszczał wzroku z Adama, a jego palce zacisnęły się wokół dłoni Danny'ego.

- Co ty tu robisz? - spytał wreszcie nieswoim głosem.

- Wróciłem, ojciec - odparł Adam. - Wróciłem i pragnę oznajmić ci moją decyzję. Przyjmuję propozycję pracy w twoim biurze przy projektowaniu linii kolejowych!

- Dlaczego? - rzucił krótko pan Garson.

Ku zaskoczeniu Roberty Adam podszedł szybko do niej i ogarnął ją ramieniem.

- Oto odpowiedź na twoje pytanie, ojciec - odparł. - Żyjąc sam przekonałem się, że potrafię zarobić na sobie jako malarz. Na siebie tak, ale nie na żonę i dzieci. Wobec tego powróciłem tam, gdzie moje miejsce. Jestem gotów zostać twoim wspólnikiem, tak jak sobie tego życzyłeś!

Roberta nie mogła uwierzyć własnym uszom. Chcąc upewnić się, że nie śni, spojrzała w oczy Adama i na moment zapomniała, gdzie się znajduje. Patrzyli na siebie tak bez słowa czując, jak serca biją im w zgodnym, pełnym uniesienia rytmie. W ciszy, która zapadła na chwilę, jak wystrzał zabrzmiał nagle szorstki głos pana Garsona:

- Przykro mi, Adamie, ale przybywasz za późno!

- Za późno, ojciec? Jak to? - spytał Adam zwracając się w jego stronę.

- Miejsce, które czekało na ciebie przez tyle lat, zostało już zajęte przez kogoś innego - odparł konstruktor. - A mój nowy wspólnik interesuje się maszynami parowymi bardziej niż ty kiedykolwiek w swoim życiu!

Adam patrzył na ojca szeroko otwartymi oczami, skamieniały ze zdumienia. Pan Garson zaś ciągnął dalej, a kąciki ust drgały mu od wstrzymywanego uśmiechu:

- Myślałem sobie właśnie, że jeśli kiedykolwiek powrócisz do domu, z przyjemnością przedstawię ci Danny'ego. Widzę jednak, że już się znacie!

Słyszając te słowa Adam roześmiał się, kręcąc głową z niedowierzaniem.

- Wprost nie mogę w to uwierzyć - stwierdził. - Nie, to nie może być prawda!

- To jest prawda! - odparł z naciskiem jego ojciec. - Będę musiał poczekać jeszcze trochę, aż nieco podrośnie, lecz już teraz widzę, że jest to dokładnie taki młody człowiek, jakiego mi potrzeba. On już wie, do czego służą tłoki, przekładnie i zawory, podczas gdy ty nigdy nie interesowałeś się tym zanadto!

Adam roześmiał się znowu, jednak Roberta zauważyła, że wyglądał na lekko rozczarowanego. Pan Garson mówił jednak dalej:

- Jeśli przyjechałeś tu, synu, z zamiarem odebrania mi panny Worth, muszę cię ostrzec, że użyję wszystkich dostępnych mi środków, aby do tego nie dopuścić!

- Chcę ją poślubić - powiedział Adam cicho.

- W takim razie wyjście jest tylko jedno: musisz przenieść tutaj swoją pracownię malarską! Ten dom jest wystarczająco duży, aby pomieścić nas wszystkich wraz z pasjami, którym poświęciliśmy nasze życie. A Roberta jest mi tu bardzo potrzebna!

- Czy dobrze cię rozumiem, ojcze? - wykrzyknął ze zdumieniem Adam. - Zgadzasz się na to, abym malował nadal?

- Po prostu nie chcę utracić cię znowu - powiedział ze smutkiem pan Garson, po czym dodał znacznie ciszej: - Brakowało mi ciebie, synu.

Nadal obejmując mocno Robertę, Adam postąpił krok naprzód i wyciągnął do ojca rękę. Aby ją ująć, pan Garson



puścił dłoń Danny'ego, który podbiegł natychmiast do Kolumba.

Kiedy Adam odezwał się, Roberta, która wciąż nie mogła oderwać oczu od jego twarzy, usłyszała w jego głosie pełną wdzięczności ulgę:

- Dziękuję ci, ojcze. Cieszę się, że wróciłem... Przez chwilę Roberta miała wrażenie, że oczy pana

Garsona zwilgotniały nieco. Zaraz jednak, jak gdyby wstydząc się chwili słabości, puścił rękę syna i spytał ostro:

- Gdzie się podziali wszyscy, do licha? Ta syrena zrobiła chyba wystarczająco dużo hałasu, aby obudzić nawet umarłych!

Prawdę powiedziawszy, cała służba już dawno zgromadziła się w korytarzu nie mogąc wejść do gabinetu, gdyż w progu stał sam pan domu. Teraz jednak mężczyźni wynieśli nieprzytomnego wciąż rabusia, podczas gdy Danny dopytywał się niespokojnie, czy aby na pewno plany nie zostały ruszone z sejfu. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy pan Garson pokazał mu je, otworzywszy szafę pancerną.

Adam pociągnął Robertę za sobą w kąt pokoju, gdzie stanąwszy przy oknie odsunął zasłonę. Wśród blednących gwiazd dziewczyna ujrzała na horyzoncie pierwsze odblaski rychłego świtu.

- Tęskniłaś za mną? - spytał Adam cichym szeptem.

- Bardzo!

- Omal nie oszalałem z rozpaczy, kiedy odkryłem, że odeszłaś. Nie mogłem znieść myśli, że ślad po tobie zaginał!

- Myślałam, że... to najlepsza rzecz, jaką mogę... zrobić dla ciebie!

- I rzeczywiście był to najlepszy sposób, aby uświadomić mi, że nie potrafię żyć bez ciebie. Zdecydowałem więc, że rzucę malowanie po to, abyśmy mogli się pobrać i być już zawsze razem!

- Nigdy nie mogłabym się na to zgodzić!

- Nikt nie mógłby mnie przed tym powstrzymać, skoro już raz zdecydowałem! - powiedział gorąco Adam.

Patrząc w jego pełne uczucia oczy, Roberta wyczytała z nich więcej, niż mogły wyrazić słowa.

- Nie ma dla mnie ważniejszej na świecie rzeczy niż ty, najdroższa - szepnął Adam. - Myślę, że to jest właśnie miłość...

- Więc ty naprawdę... mnie kochasz? - spytała Roberta czując, jak łązy ciepłą falą napływają jej do oczu i biegną po policzkach. Adam osuszył je lekkim pocałunkiem. Rozejrzawszy się wokoło Roberta stwierdziła, że wszyscy wyszli już z pokoju. Tylko pan Garson i Danny sprawdzali uważnie zawartość sejfu, aby upewnić się, czy nic nie zginęło.

- Kocham cię! - powiedział Adam. - I potrzebuję całego życia na to, żeby udowodnić ci, jak bardzo!

- Czy twój ojciec naprawdę zgodził się, abyś malował tutaj?

- Tak, najdroższa. Powiedział, że nie ma ochoty puścić cię od siebie!

- Wydawało mi się, że mówił raczej o tobie!

Nie trzeba było więcej słów. Adam przygarnął ją mocniej do swojej piersi, a Roberta, kładąc mu głowę na ramieniu poczuła się nagle taka spokojna i bezpieczna, jak gdyby po długiej i pełnej przygód podróży dotarła wreszcie do domu.

- Ten sejf jest zupełnie do niczego! - stwierdził pan Garson przyglądając się uszkodzeniom, których zdołał dokonać rabuś. - Jutro zamówię inny. Musi być tak solidny, żeby już żaden złodziej nie pomyślał, iż łatwo jest wynieść cokolwiek z tego domu!

- Gdyby nie wujek Adam, plany na pewno zostałyby skradzione! - przypomniał mu Danny.

- Nie wolno nam dopuścić, aby taka sytuacja zaistniała kiedykolwiek w przyszłości! - oświadczył pan Garson.

- Tak, dopilnujemy tego na pewno - przyświadczył chłopiec poważnym tonem.

Roberta uśmiechnęła się do niego. Przyglądając jej się uważnie, pan Garson zapytał:

- Panno Worth, czy naprawdę ma pani zamiar poślubić mojego syna?

Dziewczyna roześmiała się cicho.

- Wprawdzie zaklinał się nie tak dawno, że nie porzuci malowania tylko po to, aby się ożenić, ale chyba zmienił zdanie! - powiedziała wesoło.

- Myślałem tylko, że biedny impresjonista to zbyt mało dla kogoś takiego jak lady Roberta Worth! - pokiwał głową konstruktor.

- Skąd pan wie, kim jestem? - spytała Roberta, zaskoczona.

- Dyrektor mojego banku mówił mi o pani - odparł pan Garson. - Nie mógł wytrzymać, aby nie pochwalić się, z jak utytułowanymi klientami ma do czynienia!

Śmiejąc się z całego serca, Roberta zauważyła, że Adam patrzy na nią z konsternacją.

- Czy to oznacza, że nie jesteś panią Boscombe? - spytał podejrzliwie.

Roberta zarumieniła się nagle i bez słowa pokazała mu obie dłonie. Nie było już na nich ślubnej obrączki matki Danny'ego.

- Tak bardzo się bałam, że odbiorą mi Danny'ego - wyjaśniła z zakłopotaniem - Tak się bałam, że... postanowiłam odegrać rolę jego prawdziwej matki!

Adam gapił się na nią, kompletnie zbity z tropu.

- Ile masz lat? - spytał, kiedy tylko odzyskał głos.

- Dziewiętnaście.

- Wiedziałem! - wykrzyknął usłyszawszy jej słowa. Domyślałem się, że coś tu nie gra! Powiedz, ilu jeszcze kłamstw musiałem od ciebie wysłuchać?"

Roberta zerknęła nerwowo na pana Garsona.

- To naprawdę wszystko - powiedziała. - Byłam tak przerażona myślą, że po śmierci mojej ciotki, która adoptowała Danny'ego, chłopiec zostanie oddany do sierocińca!

Na dźwięk tego słowa Danny poderwał się z podłogi jak oparzony.

- Ale teraz, kiedy już wszystko się wyjaśniło, oni nie każą mi tam iść, prawda, ciociu Roberto? - spytał z niepokojem.

Widząc, że chłopiec jest naprawdę przestraszony, pan Garson powiedział szybko:

- Gdyby były z tym jakieś kłopoty, mogę adoptować Danny'ego w każdej chwili!

- Myślę, że to bardzo dobry pomysł, ojczy - wtrącił Adam. - Danny z pewnością wynagrodzi ci wszystkie rozczarowania, których doznałeś z mojego powodu. A jeśli chodzi o projektowanie i prowadzenie parowozów, sądzę, że nie znajdziesz dla siebie lepszego następcy!

Danny chwycił pana Garsona za rękę.

- Jeśli mnie pan adoptuje, będzie pan moim tatą! - zawołał z radością. - Zawsze chciałem mieć takiego tatę! Kocham pana i kocham wujka Adama i ciocię Robertę też! I będziemy wszyscy jedną rodziną, prawda?

Roberta poczuła, że pragnęła podświadomie takiego rozwiązania już od dłuższego czasu, mimo iż nigdy nie ośmieliłaby się przyznać do tego nawet sama przed sobą. W gruncie rzeczy każdy człowiek na świecie tęskni w głębi ducha do spokojnej przystani, gdzie wszyscy darzą się nawzajem miłością i szacunkiem i nikt nie czuje się samotny ani zagrożony.

- Masz, młody człowieku, całkowitą rację! - uśmiechnął się pan Garson. - Będziemy jedną rodziną i sądzę, że niedługo powiększy się nam ona znacznie!

Mówiąc to zerknął w stronę Roberty, która spłonawszy rumieńcem ukryła twarz na ramieniu Adama.

- A teraz, moi drodzy - oświadczył pan Garson ożywionym tonem - proponuję, żebyśmy uczcili ten szczególny splot szczęśliwych wydarzeń. Mój syn wrócił do domu, a plany zostały uratowane! Czuję, że chętnie napiłbym się czegoś mocniejszego, a także z przyjemnością coś zjadł. Chodź, Danny - powiedział pociągając chłopca za sobą - powiemy służbie, żeby nakryto dla nas w jadalni!

I wyszedł wraz z uwieszonym swej ręki chłopcem. Kolumb towarzyszył im podskakując i machając ogonem. Roberta i Adam zostali w gabinecie sami. Adam przyciągnął dziewczynę ku sobie mówiąc:

- Lady Roberto Worth, czy zechce pani uczynić mi ten zaszczyt i zostać moją żoną?

- Myślałam, że już nigdy o to nie zapytasz! - odparła Roberta z mimowolnym westchnieniem ulgi. Lekkie drżenie głosu zdradziło jednak, że ma ochotę się roześmiać.

- Jak mogłaś przypuszczać, że odnalazłszy cię wreszcie, pozwolę ci znowu wymknąć mi się z rąk? - spytał z wyrzutem Adam całując jej włosy, po czym dodał: - I jak mogłaś zwodzić mnie tak haniebnie, udając zameżną kobietę? Przecież całując cię czułem, że trzymam w ramionach młodą, niewinną i niedoświadczoną dziewczynę!

Ujawszy ją dłonią za podbródek, zwrócił jej twarz ku sobie, uważnie patrząc w oczy.

- Bo to jest prawda, czyż nie? - spytał. - Nie było w twoim życiu żadnego innego mężczyzny?

- Oczywiście, że nie było! - szepnęła Roberta. - Och, Adamie! Tak bardzo cię kocham! Czy naprawdę możemy... się pobrać?

- Weźmiemy ślub już jutro, a właściwie dzisiaj! - powiedział gorąco Adam patrząc na jaśniejące niebo. - Nie zamierzam czekać ani chwili dłużej! I żeby ukarać cię za to, że opuściłaś mnie tak nagle, zapowiadam, że nie będzie żadnego hucznego wesela!

- Jak możesz przypuszczać, że mogłabym pragnąć czegoś tak bezsensownego! - powiedziała Roberta z udanym oburzeniem, po czym znów oparła głowę na jego ramieniu czując, że łzy płyną jej po policzkach. Tym razem jednak były to łzy szczęścia. Wszystko, co złe, przeminęło. Świat wydał jej się nagle radosny i tak pełen światła, jak obrazy, które malował Adam.

- Przecież ty nic o mnie nie wiesz - powiedziała nagle unosząc głowę. - Jest tyle rzeczy, które chciałabym ci opowiedzieć...

- Wiem tylko, że mnie kochasz, najdroższa - odparł czule Adam. - I to jest dla mnie najważniejsze!

- I pomyśleć, że mogłam w ogóle nie przyjechać do Ameryki! - Roberta zadrżała przytulając się mocniej do ukochanego. - Mój ojciec radził mi, umierając, abym udała się do ciotki Margaret do Kalifornii. Mogłam jednak postąpić wbrew jego woli i powrócić do Anglii!

- Dzięki Bogu, że okazałaś się tak posłuszną córką - stwierdził Adam ogarniając ją ramionami. - Gdybym nie spotkał ciebie, pozostałbym zapewne samotny aż do końca życia!

- Właściwie mógłbyś być całkiem szczęśliwy, malowałbyś całymi godzinami. Jednak pojawiłam się ja i nic już na to nie poradzisz. Jestem przy tobie i kocham cię całym sercem!

- I ja kocham i uwielbiam cię nade wszystko!

Po tych słowach Adam nachylił się do jej ust. Całował ją jak dawniej: zaborczo, namiętnie, lecz równocześnie czule i delikatnie, jak gdyby obawiał się, że może znów ją stracić. I znów Roberta poczuła, że świat wiruje wokół nich w zawrotnym tempie tak, jakby za chwilę obydwójce mieli ulecieć wysoko, aż do gwiazd. Adam całował jej mokre oczy, łzy płynące wciąż po policzkach i później znowu usta.

- Moja najdroższa, moja ukochana! - szeptał. - Nigdy nie będziesz wiedziała, jak bardzo cierpiałem myśląc, że utraciłem cię na zawsze! Przez ostatnie cztery dni przemierzałem ulice San Francisco wzdłuż i wszerz, żywiąc wciąż nadzieję, że wydarzy się cud i ujrzę cię w tłumie. Byłem niemal we wszystkich hotelach i pensjonatach w mieście pytając, czy ktoś nie widział pięknej, młodej kobiety z małym chłopcem! - roześmiał się gorzko, jakby wciąż nie mógł się uwolnić od wspomnień tego, co czuł wtedy. - Wczorajszego wieczoru odwiedziłem jeszcze chyba z tuzin hoteli, po czym postanowiłem wrócić do domu mojego ojca, aby przespać się przynajmniej kilka godzin. I nawet przez myśl mi nie przeszło, że mógłbym zastać cię właśnie tutaj!

- Dlaczego nie powiedziałeś mi, że twój ojciec jest takim znanym i ogólnie poważanym człowiekiem w mieście?

- Był czas, kiedy pragnąłem wymazać z pamięci zarówno jego, jak i wspomnienia całego dzieciństwa. To było wtedy, gdy pokłóciwszy się z ojcem o to, kim mam być w przyszłości, opuściłem dom. On chciał wykształcić mnie na konstruktora parowozów i nie mógł pojąć tego, że musiałem malować. Nie mogłem zrozumieć mojego kompletnego braku zainteresowania liniami kolejowymi i szybkimi pociągami. W końcu oświadczyłem mu, że potrafię utrzymać się sam, bez żadnej pomocy z jego strony!

- Teraz już wiem, dlaczego był taki dobry dla Danny'ego, gdy ten okazał żywe zainteresowanie konstrukcją maszyn parowych - powiedziała domyślnie Roberta. - Po prostu brakowało mu ciebie!

- I ja tęskniłem za nim - przyznał Adam. - Myślę, moja najdroższa, że to twoja obecność w tym domu wpłynęła na niego w ten sposób, że stał się bardziej wyrozumiały i przystępny dla wszystkich. Nigdy przedtem nie zachowywał się w ten sposób!

- To nie moja zasługa, lecz Danny'ego! - sprostowała Roberta. - Małego chłopca, który patrzy w niego jak w obraz i wydaje się także zaprzędany całą duszą idei budowania najszybszych pociągów na świecie!

Adam roześmiał się.

- A więc mój ojciec zyskał wreszcie wymarzonego pomocnika! - zauważył wesoło. - A ja urządzę tu sobie najdoskonalszą pracownię, o jakiej tylko może marzyć każdy malarz. A jeśli zapagniemy być sami, co zapewne będzie zdarzało się dosyć często, zawsze możemy wrócić do domku nad morzem!

- Podoba mi się ten pomysł - uśmiechnęła się Roberta. - Z tobą jestem szczęśliwsza niż kiedykolwiek dotąd w moim życiu!

- I będziemy cały czas razem - wpadł jej w słowo Adam. - Ani jednej nocy aż do końca, moich dni nie zamierzam już spędzić bez ciebie! - i widząc, że Roberta przymyka z rozmarzeniem oczy, dodał: - Oczywiście będę też uczył pływać wszystkie nasze dzieci!

Widząc nagły rumieniec na policzkach Roberty, roześmiał się głośno.

- Dziewiętnastoletnia dziewczyna! - zawołał, - Jak mogłem być takim durniem, aby uwierzyć w to, że byłaś zameżna!



Zbliżając usta do jej ust, wyszeptał:

- Kiedy ten dzień dobiegnie końca, nie będziesz już musiała udawać mężatki, moja najdroższa. Ty nią już będziesz naprawdę!

Roberta ukryła zarumienioną twarz na jego ramieniu, a on ciągnął dalej:

- Istnieje tyle rzeczy, których pragnę cię nauczyć i tyle miłości, którą mogę ci ofiarować! Całym sercem wierzę, moja piękna przyszła żono, że wspólnie uda nam się odnaleźć tę światłość przewodnią, która powinna towarzyszyć szczęśliwemu życiu. Może uda mi się wreszcie uchwycić ją na płótnie w jej właściwej, doskonałej postaci?

- Światło, o którym mówisz, to po prostu miłość - szepnęła Roberta. - A miłość jest najwyższym szczęściem. Czy mogłoby nam przydarzyć się coś piękniejszego? Och, Adamie, jak hojnie los nas obdarzył!

- Uwielbiam cię, najmilsza!

Gdy Adam całował ją znowu, przez okno wpadł pierwszy promień wschodzącego słońca, oświetlając ich obydwoje ciepłym, złotym blaskiem. I znów tak jak kiedyś wydało się Robertcie, że światło przenika ich na wskroś, jak gdyby stanowili doskonałą jedność w czasie i przestrzeni.